cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #229 12/2025–01/2026

Mateusz Matyszkowicz
RUSKIE ALGORYTMY SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Rozmowa Wołodźki
INTELIGENT I CHAM. O KŁOPOTACH Z ELITAMI

Hanna Shen
JAPOŃSKA „ŻELAZNA DAMA", KTÓREJ BOI SIĘ PEKIN

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



2027?

My musimy być gotowi

ISSN 1895-4960

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl a3976d4b30

TEMAT NUMERU 4–15



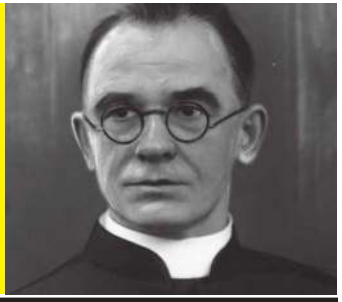
Wojna w 2027 roku? Polskie szanse na przetrwanie / 4

IDEE 16–34



Co pieniądz zrobił, co pieniądz zabił? / 16

HISTORIA 42–62



Walczył o polskość i los biednych... / 42

KULTURA 64–72



Teatr jest światem / 64

ŚWIAT 78–93



Japońska „Żelazna Dama", której boi się Pekin / 78

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Wojna w 2027 roku? Polskie szanse na przetrwanie / 4

Grzegorz Wierzchołowski
Zielone światło dla GRU. Jak rząd Tuska rozbroił Polskę / 10

IDEE

Jakub Maciejewski
Co pieniądz zrobił, co pieniądz zabił? / 16

Mateusz Matyszkowicz
Ruskie algorytmy sztucznej inteligencji / 22

Ewa Polak-Pałkiewicz
O czym socjolog Ci nie powie – cz. II. Rodzina jest niezniszczalna / 26

Małgorzata Matuszak
Między podsumowaniem a nadzieją. O ludzkiej potrzebie zaczynania od nowa / 32

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Walczył o polskość i los biednych. Niemcy wysłali wspaniałego księdza do gazu / 42

Agnieszka Kowalczyk
Płomień samarytańskiej miłości. O błogosławionej Hannie Chrzanowskiej / 48

Dariusz Jarosiński
Marii Hulewiczowej życie u boku / 54

Z Istvanem Belovai rozmawia Mark Ruszczyński
Pierwszy węgierski oficer w NATO / 60

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Teatr jest światem / 64

Krzysztof Karnkowski
Norymberga oczami psychiatry / 70

ŚWIAT

Hanna Shen
Japońska „Żelazna Dama", której boi się Pekin / 78

oprac. Antoni Rybczyński
Nowy atomowy wyścig zbrojeń? / 82

Stefan Czerniecki
Okaleczeni / 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 92

Antoni Rybczyński
Potrójne życie zdrajcy Roberta Hanssena / 94

eprasa.pl a3976d4b30

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Demokracja walcząca służy Putinowi
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Cena pokoju za wszelka cenę
PAPKULTURA 9



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Inteligent i cham. O kłopotach z elitami
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 36



Małgorzata Matuszak
Czym jest... nadziejność
KATECHIZM INTELIGENTA 32



Marek Kalinowski
Między mistycyzmem a popkulturą
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 73



Krzysztof Wołodźko
Polska, czyli agony
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 74



Tomasz Sakiewicz
Czego boją się Niemcy
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)
DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Demokracja walcząca służy Putinowi

Jeśli ekipa 13 grudnia nie zawróci z drogi bezprawia, jeśli nie zaprzestanie kwestionowania i sabotowania instytucji państwa – jako społeczeństwo nie będziemy gotowi stawić czoła jakiejkolwiek odsłonie wojny.

Odporność państwa na agresję z zewnątrz to coś znacznie ponad sprawną armię. Podstawą musi być choćby minimalne poczucie wspólnoty, rozumienie, czym jest interes kraju, a także duma z dziedzictwa, które przekazały nam poprzednie pokolenia. Znajdujemy się w niebezpiecznym punkcie dziejów. Imperialny plan Federacji Rosyjskiej nie został powstrzymany, napaść na Ukrainę – będąca jego elementem – jest dla Moskwy przeogromnym kosztem, lecz zdaje się, iż na tym etapie ciągle opłacalnym i zachęcającym do realizacji kolejnych punktów zbrodniczego planu, o którym mówił w Tbilisi śp. prezydent Lech Kaczyński. Sytuacja wewnętrzna w Polsce jest zapewne oceniana na Kremlu jako zachęta do działania przeciwko naszemu państwu. Nie było w historii III RP rządu, który tak bardzo zdestabilizowałby sytuację w kraju jak drugi – obecny – rząd Donalda Tuska. Polacy od lat trwają w bardzo ostrym sporze, nasza polityka karmi się agresją i budowaniem podziałów, ale konflikt rozpętany przez koalicję 13 grudnia i jej lidera to jedno z najbardziej destrukcyjnych zjawisk, z jakimi musimy się zmierzyć. Władza wykonawcza kwestionuje prawo opozycji do istnienia, masowo nie stosuje się do przepisów, wyłącza mechanizmy chroniące wolność obywateli, nie uznaje wyroków sądów, mechanizmem pozaprawnym mianuje prokuratorów, aktami niższego rzędu zmienia konstytucję, podejmuje działania mające na celu podważenie wyniku wyborów prezydenckich, używa służb specjalnych jak policji politycznej. To bardzo skrótowe podsumowanie stanu naszego państwa. Można bez nadmiernego ryzyka postawić tezę, że wszystko to wpływa na politykę Putina i, niestety, może przyspieszyć lub uruchomić projekt agresji wobec Rzeczypospolitej. Premier Donald Tusk zachowuje się tak, jakby największym zagrożeniem dla niego nie była polityka Rosji, a jakby byli nim ludzie, których uznaje za swoich politycznych przeciwników. Instytucje władzy wykonawczej, część sądownictwa zbuntowana przeciwko prawu wkładają całą siłę w wojnę wewnętrzną, kompletnie lekceważąc narastające zagrożenie ze Wschodu. W godzinie zero Polska będzie nieprzygotowana do odparcia ataku przede wszystkim w wyniku zbudowania śmiertelnie głębokich podziałów społecznych i zniszczenia zaufania do państwa. Gdy zagrożenie będzie już na tyle wyraźne i nieodległe, że nawet rozszalałe polityczne tituszki koalicji 13 grudnia nie będą w stanie go zignorować, część Polaków nie podejmie współdziałania ze służbami przez przekonanie o nieuczciwości ekipy Tuska. Mam wrażenie, iż nie doceniamy niebezpieczeństwa, w które lider Koalicji Obywatelskiej wepchnął naszą ojczyznę swoją demokracją walczącą. W samej grupie rządzącej nie ma refleksji w tej sprawie. Czy wszyscy rzeczywiście nie dostrzegają tego śmiertelnego zagrożenia, czy zakładają, iż w razie ataku z zewnątrz sytuacja społeczna jakoś się ułoży? Otóż nie ułoży się. Jeśli ekipa 13 grudnia nie zawróci z drogi bezprawia, jeśli nie zaprzestanie kwestionowania i sabotowania instytucji państwa – jako społeczeństwo nie będziemy gotowi stawić czoła jakiejkolwiek odsłonie wojny. Więcej. Każdy dzień demokracji walczącej zachęca Kreml do agresji wobec Rzeczypospolitej. ■

W GODZINIE ZERO POLSKA BĘDZIE NIEPRZYGOTOWANA DO ODPARCIA ATAKU PRZEDE WSZYSTKIM W WYNIKU ZBUDOWANIA ŚMIERTELNIE GŁĘBOKICH PODZIAŁÓW SPOŁECZNYCH I ZNISZCZENIA ZAUFANIA DO PAŃSTWA.

eprasa.pl a3976d4b30

Piotr Grochmalski



Wojna w 2027 roku? Polskie szanse na przetrwanie

Naczelny Dowódca Sił NATO w Europie, gen. Alexus Grynkewich, stwierdził dobitnie w lipcu 2025 roku, iż istnieje realna groźba równoczesnego ataku Chin na Tajwan i Rosji na państwo NATO już w 2027 roku. Celem może być Polska, która z uwagi na skalę destrukcji instytucji państwa dokonywaną przez ekipę Tuska i totalną wojnę toczoną przez niego z opozycją, staje się coraz bardziej osłabiona.



FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI

Dwa lata bezcennego czasu dla naszego bezpieczeństwa ekipa Tuska zmarnowała na toczący się nadal scenariusz pełzającego zamachu stanu, którego jednym z celów była anihilacja PiS jako kluczowej opozycyjnej partii. To bezpowrotnie straconych, bezcennych 730 dni. Według ocen gen. Grynkewicha już za niespełna dwa lata możliwe jest skoordynowane uderzenie Chin na Tajwan i Rosji na państwa Sojuszu, co oznaczałoby wybuch globalnego konfliktu. Eksperci wskazują, iż atak na Polskę dałby największe, strategiczne korzyści Kremlowi, bo w kluczowym miejscu zablokowałby całą logistykę wschodniej flanki NATO i przeciąłby niemal na pół długą linię styku między siłami Sojuszu a Rosją.

Przed ogromnym, strategicznym wyzwaniem

Prawdopodobieństwo takiego scenariusza jest znaczące. W pragmatycznej kalkulacji mamy więc niecałe dwa lata do zamknięcia pierwszej fazy przygotowań, aby skutecznie odstraszyć FR. Jednak zamiast wspólnej, narodowej strategii bezpieczeństwa jako ramowy dokument, który wskazywałby nam drogę, mamy brak elementarnej współpracy między ekipą 13 grudnia, której symbolem staje się duet Tusk–Czarzasty, a prezydentem. Zmierzamy w przyszłość z logiką samobójcy, a nie narodu ciężko doświadczonego w swej historii.

Profesor John J. Mearsheimer w polskim wstępie do swego najważniejszego dzieła „Tragizm polityki mocarstw" zwrócił się do nas z ważnym ostrzeżeniem: „Historia Polski powinna skłaniać jej mieszkańców do studiowania polityki międzynarodowej, by mogli zrozumieć jej brutalność i potrafili odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ich kraj tak często padał ofiarą mocarstw. Nie należałoby też zaniedbywać głębokiej refleksji nad przyszłością Polski. Jak duże zagrożenie stanowią dla niej Niemcy i Rosja? Czy Stany Zjednoczone pozostaną zaangażowane w Sojusz Północnoatlantycki i obronę Europy? I w końcu – w jaki sposób Polska może zwiększyć swoje szanse na przetrwanie w XXI wieku?". Nie ulega wątpliwości, że USA w przyspieszonym tempie przygotowują się do wielkiej wojny.

Pete Hegseth, szef Pentagonu, przyrównał obecną sytuację geopolityczną do stanu, jaki panował w 1939 roku, który doprowadził do wybuchu II wojny światowej. Jego wystąpienie 7 listopada 2025 roku w Narodowej Akademii Wojennej (National War College) w Fort McNair w Waszyngtonie zostało poddane szczegółowej analizie w Pekinie, Moskwie i Teheranie. My też powinniśmy traktować je z pełną powagą. Hegseth przemawiając do

eprasa.pl a976d4b30

dowódców wojskowych, administracji odpowiedzialnej za zamówienia obronne i przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego, powiedział: „Cel jest prosty: przekształcić cały system zaopatrzenia, aby mógł działać w warunkach wojny". Dla Polski położenie nacisku przez Hegsetha w jego wystąpieniu na 1939 rok ma jednoznacznie porażającą konotację. Oznacza to, że znajdujemy się, jako naród i państwo, przed ogromnym, strategicznym wyzwaniem. Dokładnie w tym historycznie najważniejszym momencie od 1939 roku, a więc od 86 lat, Niemcom udało się osadzić w Polsce ekipę, która będzie zdolna paraliżować strategiczne możliwości Polski i ograniczać nasze zdolności do adekwatnych odpowiedzi na zagrożenie naszego bezpieczeństwa.

Każdy dzień na wagę naszego bezpieczeństwa

Mearsheimer jasno stwierdza, iż polityka międzynarodowa jest brutalna i ostatecznie liczy się nasza narodowa zdolność do przetrwania. Los Ukrainy w zderzeniu z grą mocarstw nie zależy tylko od woli jej mieszkańców i żołnierzy. Polska od pierwszego dnia II wojny światowej przeciwstawiała się III Rzeszy, a potem Związkowi Sowieckiemu, a jednak zakończenie tego gigantycznego konfliktu oznaczało dla nas katastrofę. Nie obroniliśmy ani centymetra suwerennej Rzeczypospolitej.

Berthold Kohler z „Frankfurter Allgemeine Zeitung" podkreśla w komentarzu z 21 listopada, że europejskie stolice zostały całkowicie zaskoczone informacjami o zaawansowanych negocjacjach prowadzonych przez administrację Donalda Trumpa i rosyjskie władze. Ogłoszone 28 punktów propozycji pokojowych miało wiele elementów, które mogły oznaczać zagrożenie integralności NATO. Już trzeci punkt owego planu był zdumiewający. Głosił on: „Oczekuje się, że Rosja nie dokona inwazji na kraje sąsiednie, a NATO nie będzie się dalej rozszerzać". Jest to w istocie fragment owego ultimatum, jakie Rosja złożyła USA i Sojuszowi w grudniu 2021 roku. Jedno z żądań dotyczyło tej kwestii. Problem w tym, iż fundament, na którym opiera się Sojusz, traktat północnoatlantycki, przyjęty w Waszyngtonie 4 kwietnia 1949 roku, mówi jasno w art. 10: „Strony mogą, za jednomyślną zgodą, zaprosić do przystąpienia do niniejszego traktatu każde inne państwo europejskie…". Rosja chciała zdetonować bombę w fundamentach NATO, bo przyjęcie trzeciego punktu musiałoby oznaczać konieczność zmiany traktatu, co mogłoby się zakończyć potężnym klinczem i paraliżem instytucjonalnym. A punkt 9 wręcz pozbawiał nas suwerenności. Zawierał bowiem zapis, że „europejskie myśliwce będą stacjonowały w Polsce". Z pewnością w ten sposób Kreml chciał podważyć nasze zaufanie do USA. Bo w umowie pokojowej nie mogą się mieścić zapisy dotyczące państwa, które nie jest stroną konfliktu, a któremu narzuca się pewne rozwiązania bez uzyskania na nie akceptacji.

Doktor Greg Mills, doświadczony analityk Royal United Services Institute, założonego w 1831 roku najstarszego na świecie think tanku zajmującego się bezpieczeństwem, sugerował, że 28-punktowy plan ma taki kształt, jakby był napisany przez Putina. Jak podkreślał w swej analizie opublikowanej 24 listopada: „Zgodnie z warunkami tej propozycji, Ukraina w rzeczywistości oddałaby Moskwie klucze do Kijowa, oddając strategicznie ważne obszary wokół Kramatorska w Donbasie, redukując liczebność swojej armii o około 30 proc. i rezygnując z broni dalekiego zasięgu. Nie stawiają one Rosji tych samych żądań i wraz ze zniesieniem sankcji stanowią zaproszenie do kolejnej rundy wojny". Zaznaczał też: „Opublikowany przez media 20 listopada plan pokojowy w znacznej części (choć nie w pełni) pokrywa się z – ogłaszanymi także publicznie – maksymalistycznymi żądaniami Moskwy, będącymi de facto warunkami kapitulacji Ukrainy. Bardzo prawdopodobne, że draft dokumentu opracowywano na podstawie niejawnych memorandów rosyjskich, a jego kluczowe parametry omawiano podczas spotkań Witkoffa na Kremlu".

Związek między agresją w Donbasie a rokowaniami

Po rokowaniach w Genewie, w których Francja, Niemcy i Wielka Brytania, bez udziału Polski i państw Europy Środkowej, co samo w sobie jest historycznym skandalem, przedstawiły własną wersję porozumienia pokojowego, ostatecznie USA i Ukraina dokonały dużych zmian w dokumencie, redukując go do 19 punktów, które dotyczyły jedynie relacji Rosji i Ukrainy. Usunięto m.in. ów punkt 3 i skorzystano z niektórych zapisów wypracowanych przez Berlin, Londyn i Paryż. Wywołało to niezadowolenie Moskwy.

Próbę wciągnięcia USA i Zachodu w rokowania na warunkach Rosji można też postrzegać jako element gry, który miał dać dodatkowy czas Moskwie, a przy tym miał osłabić spójność Zachodu i NATO i zmniejszyć dostawy broni dla Ukrainy. Istnieje ścisły związek między determinacją, z jaką Putin realizuje operację w Donbasie, a rokowaniami. Presja Waszyngtonu na Ukrainę i radykalne zmniejszenie dostaw broni otworzyło rosyjskiej armii szansę na przełamanie linii obrony Ukrainy w Donbasie. Tylko dzięki ogromnej determinacji Kijowa udało się wyhamować uderzenie Rosji. Jack Watling, ekspert Royal United Services Institute, w artykule „Najcięższa zima na Ukrainie" opublikowanym w „Foreign Affairs" zauważa, że „Rosja

eprasa.pl a3976d4b30

postrzega obecnie swój strategiczny cel, jakim jest podporządkowanie Ukrainy, jako realizację trzech faz, z których tylko pierwsza obejmuje faktyczne walki. Po pierwsze, Moskwa dąży do zajęcia lub zniszczenia wystarczającego terytorium Ukrainy, aby zapewnić, że to, co pozostało, będzie ekonomicznie egzystowało tylko za zgodą Rosji. Rosyjscy planiści oceniają, że można to osiągnąć, utrzymując cztery zaanektowane obwody i dodając do nich charkowski, mikołajowski i odeski, co skutecznie odcięłoby Ukrainę od Morza Czarnego. W tych warunkach Kreml dążyłby do zawieszenia broni, wierząc, że mógłby przejść do drugiej fazy, w której wykorzystałby wpływy gospodarcze i wojnę polityczną, podsycaną groźbą ponownej inwazji, aby przejąć kontrolę nad Kijowem. W trzeciej fazie Rosja wchłonęłaby Ukrainę w swoją orbitę w sposób podobny do tego, jaki miał miejsce na Białorusi. Obecnie jednak Rosji wciąż daleko do osiągnięcia pierwszego z tych etapów". Według tego analityka to zachowanie społeczności międzynarodowej skłoniło Rosję do kontynuowania agresji. Jak podkreśla: „Waszyngton musi zdać sobie sprawę, że zawieszenie broni nie nastąpi za pomocą symbolicznych gestów i ustępstw wobec Moskwy".

Czas bije na alarm dla Polski

Berthold Kohler z „Frankfurter Allgemeine Zeitung" ostrzega przed upadkiem Ukrainy, bo Europa może stracić kluczowy bastion obrony. Plan pokojowy, który chciał narzucić Putin, byłby w zasadzie aktem kapitulacji Kijowa. Byłby to moment przełomowy, bo Rosja przesunęłaby swoją granicę wpływów bezpośrednio na zachód, docierając do państw NATO i uzyskując pozycję pozwalającą na wywieranie stałej presji militarnej oraz politycznej na Europę Środkowo-Wschodnią. Zwiększyłoby się ryzyko rosyjskich operacji hybrydowych i cyberataków, a region stałby się terenem permanentnej destabilizacji. Jednocześnie osłabieniu uległaby wiarygodność całego Zachodu, który po raz kolejny nie zdołałby powstrzymać agresora – i to mimo wcześniejszych deklaracji o nienaruszalności europejskich granic.

Także Polska powinna przygotować się na najgorsze, bo znaleźlibyśmy się na pierwszym miejscu wśród potencjalnie zagrożonych państw. Granica rosyjskiego wpływu przesunęłaby się bowiem bezpośrednio na granice NATO, a każdy kolejny ruch Moskwy mógłby być wymierzony w Warszawę i inne stolice regionu. Nawet jeśli Rosja nie zdecydowałaby się na bezpośrednią agresję, Polska stałaby się głównym celem działań politycznych, cybernetycznych i militarnych demonstracji siły – uważa Kohler. Rosja mogłaby próbować testować determinację NATO, a Polska – jako kluczowy kraj na wschodniej flance – byłaby pierwszą areną takiej próby.

Również Carlo Masala przedstawia scenariusz działań Kremla, który ma być silnym ostrzeżeniem. We wstępie do polskiego wydania „Jeśli Rosja wygra. Scenariusz" zwraca uwagę, że „[…] także w Polsce funkcjonują bardzo wyidealizowane wyobrażenia o gwarancjach bezpieczeństwa w ramach NATO, a zarazem wciąż nie docenia się pełnego znaczenia rosyjskiej napaści na Ukrainę". Masala podkreśla, że „ta wojna to coś znacznie więcej niż tylko rosyjska napaść wymierzona w ukraińską państwowość i tożsamość narodową. To konflikt, którego wynik będzie współdecydował o tym, w jakim świecie my – Europejczycy – będziemy żyć w XXI wieku. […] Zaangażowanie sześciu z dziewięciu światowych mocarstw nuklearnych pokazuje jasno: to nie lokalny konflikt, to walka o kształt przyszłego ładu światowego. Ukrainę wspierają mocarstwa nuklearne – USA, Francja i Wielka Brytania. Naprzeciwko nich Rosja – również mocarstwo nuklearne – która otrzymuje otwartą pomoc od Korei Północnej i zakulisowe wsparcie z Chin. […] To mówi samo za siebie: nie obserwowalibyśmy takiej konstelacji graczy, gdyby stawką konfliktu nie był przyszły ład światowy, ale jedynie regionalny spór".

Jak Putin chciał zniszczyć Polskę i Europę

Putin rozpoczął tę wojnę z przekonaniem, że łatwo spacyfikuje Ukrainę. Miał też wówczas gotowy dalszy plan na Polskę i NATO. Z ujawnionych w marcu 2023 roku przez The Sun Online dokumentów, które pochodzą z FSB, wynika, że był przekonany, iż szybkie unicestwienie Ukrainy spowoduje rozpad NATO i pozwoli mu narzucić swoją wolę upokorzonej Europie. Tarik Tahir, autor artykułu na ten temat, który ukazał się 4 marca 2023 roku, twierdzi, że opierał się na dokumentach FSB. Kluczowy był mail wysłany wkrótce po inwazji, w którym opisane są przewidywane przez Putina skutki wojny. Miały być one porażające dla Europy. Wykorzystując polityczny szok, Kreml miał postawić Zachodowi twarde ultimatum, by zaakceptował okupację Ukrainy i przyjął do wiadomości, że nad Polską i krajami bałtyckimi Rosja wprowadzi strefę zakazu lotów. Aby zwiększyć presję i pokazać swoją determinację, Putin postawiłby w stan gotowości strategiczny arsenał lądowej, powietrznej i morskiej broni nuklearnej. Pod porażającą presją i w obliczu miażdżącego zwycięstwa Rosji w Ukrainie, które ukazałoby pełną bezsilność Sojuszu Północnoatlantyckiego wobec brutalnej siły FR, niektóre kraje wycofałyby się z NATO. Uruchomione przez ultimatum procesy doprowadzić miały do „fundamentalnego upadku Zachodu". Nagle, zaledwie w ciągu kilku dni, zacząłby

eprasa.pl a3976d4b30

się rozpadać, budowany po 1991 roku, system instytucjonalny. Według Tarik Tahira Putin uważał, że przerażone rządy państw, za plecami innych, wystosowywałyby „oddzielne apele do FR, że nie prowadzą agresywnych działań przeciwko Rosji i nie wezmą udziału w ewentualnej wojnie". W krótkim czasie Putin miałby realną potęgę porównywalną do tej, jaką posiadali przywódcy Związku Sowieckiego – a nawet większą, bo USA doświadczyłyby śmiertelnego ciosu, nie będąc w stanie ochronić Ukrainy.

Według źródeł Tarika Tahira Putin był przekonany, że „negocjacyjna siła Rosji będzie porównywalna z siłą ZSRS". Paradoksalnie w rzeczywistości, mimo że potencjał armii rosyjskiej byłby radykalnie mniejszy od sowieckich sił zbrojnych, Kreml uzyskałby strategicznie lepszą sytuację do stłamszenia Europy, zdegradowania jej i narzucenia jej własnych rozwiązań. Według przewidywań Putina ujawnionych przez Tarika Tahira doprowadziłoby to do „fundamentalnego upadku Zachodu", a niektóre kraje europejskie, za cenę własnego bezpieczeństwa i szczególnych relacji z Moskwą, byłyby nawet skłonne zaakceptować ataki rakietowe na Polskę i kraje bałtyckie.

Niepokojący scenariusz

Wróćmy do fundamentalnego pytania prof. Mearsheimera: w jaki sposób Polska może zwiększyć swoje szanse na przetrwanie w XXI wieku? Lekcja ukraińskiej wojny pokazuje, że wsparcie ze strony Zachodu, z wyjątkiem Polski i państw bałtyckich, w krytycznych momentach było warunkowe i wykorzystywane jako element politycznej presji. Ale decydująca była postawa samego prezydenta Bidena. Jak zauważa David E. Sanger w głośnej pracy „Nowe zimne wojny", to spektakularne zwycięstwa Ukraińców spowodowały, że USA zamiast ich wzmocnić, włączyły hamowanie. Sanger zauważa: „Po sukcesach Ukraińców pod Charkowem i Chersoniem Waszyngton nawiedziło niepokojące przeczucie: Rosjan udało się wypchnąć z niespodziewanym powodzeniem, więc Putin może dojść do wniosku, że ma tylko jedną szansę na uniknięcie upokorzenia: sięgnąć po arsenał atomowy. – To właśnie paradoks nuklearny – mówił przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów Mark Milley… – Im lepiej Ukraińcom idzie odpieranie rosyjskiego najazdu, tym większa szansa, że Putin zagrozi użyciem bomby albo nawet po nią sięgnie". Ten lęk sparaliżował myślenie strategiczne Bidena i spowodował presję na Ukraińców. Nagle w kuluarach Białego Domu zaczęto mówić, że sukces pod Charkowem to był przypadek. Putin umiejętnie wykorzystał ten instrument zastraszania w krytycznych dla siebie momentach. Przy podejściu Milleya do owego „paradoksu nuklearnego" najgorszym rozwiązaniem dla Bidena byłoby zwycięstwo Ukrainy.

To dla nas kardynalna lekcja. Kluczową kwestią dla naszego przetrwania musi być posiadanie silnej, lądowej armii, zdolnej do odstraszania Rosji. W ocenie niezależnych rosyjskich blogerów militarnych ambitny plan zbrojeniowy Zjednoczonej Prawicy czynił z nas potęgę w ramach europejskich armii NATO. Po dwóch latach wiele elementów zostało zwiniętych, stracono czas. Z trudnością trwa budowa 1. Dywizji Piechoty Legionów, która ma wzmocnić naszą wschodnią flankę. A 8. Dywizja Piechoty Armii Krajowej jest w zasadzie na papierze. Łącznie sześć dywizji to absolutne minimum dla skutecznej obrony ze strony Rosji. Ale Kosiniak-Kamysz stracił bezcenny czas na działaniach pozorowanych. Potrzeba nam jednak w pełni uzbrojonych 10 dywizji – taką wizję przedstawił prezydent Nawrocki. Jednak zajechana przez rząd Tuska gospodarka, obciążona gigantycznym zadłużeniem, nie udźwignie takiego wysiłku finansowego.

We wspomnianym scenariuszu Carla Masali, opublikowanym w tym roku, Ukraina właśnie w 2025 roku zostaje zmuszona do podpisania pokoju, który w istocie jest jej kapitulacją. Doprowadza to do stopniowej realizacji scenariusza ujawnionego w 2023 roku. Oburzenie Ukraińców powoduje chaos polityczny. Coraz większe wpływy zdobywają nastroje antyzachodnie i przekonanie o zdradzie państw NATO. A w 2028 roku Rosja wkracza do dwóch małych, przygranicznych miejscowości w Estonii, zamieszkanych przez ludność rosyjskojęzyczną. Rząd estoński jest zaskoczony. „Odnotowano też koncentrację mniejszych rosyjskich jednostek przy granicy, nie sądzono jednak, że może wiązać się to z poważniejszym niebezpieczeństwem. Przecież w kraju stacjonują wojska NATO, 17 000 żołnierzy w ramach Enhanced Forward Presence (EFP) i 600 żołnierzy amerykańskiej piechoty w Voru. Już oni zadziałają odstraszająco – uspokajano się". Rosjanie tajnymi kanałami przekazują informację do USA, że to wyczerpuje ich cele. Operacja była wynikiem polityki Estonii wobec mniejszości rosyjskiej w tych miejscowościach. Ale jeśli USA będą eskalować konflikt, to Rosja odpowie adekwatnie. Estonia występuje do NATO o uruchomienie art. 5. Zbiera się Rada Północnoatlantycka, 32 stałych przedstawicieli państw. W tle europejskich wydarzeń Chiny przejmują mały atol należący do Filipin. Manilia domaga się wsparcia ze strony USA. Podczas spotkania Rady kilka państw, w tym USA, uznaje, że nie można rozpętać III wojny światowej w imię obrony dwóch małych miasteczek, a Rosja nie dąży do eskalacji konfliktu. Estonia jest zmuszona wycofać prośbę o uruchomienia art. 5. Jak zauważa Masala, w ciągu zaledwie kilkunastu godzin potęga NATO i USA zostaje złamana. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Marcin Wolski

Cena pokoju za wszelką cenę

Wojny toczone są z bardzo wielu powodów. Powód pierwszy: najczęściej ze strachu. Jedno państwo obawia się ataku ze strony drugiego i zadaje wyprzedzający cios. Bywa, że wygrywa, ale najczęściej przypieczętowuje własny upadek.

Powód drugi: to wojna jako eksport problemów wewnętrznych. Głęboki kryzys gospodarczy, niepokoje społeczne, konflikt w łonie władz – i wojna jak magiczna różdżka zmienia wszystko. Cichną malkontenci, naród gromadzi się wokół flagi…

Wojny rewindykacyjne to niekończący się spór o terytoria, utracone, potem odzyskane, znowu utracone… Najlepszym przykładem są tu zmagania Niemiec i Francję o Alzację i Lotaryngię. Albo trwające od ponad pięciu stuleci „zbieranie ziem ruskich" przez Moskwę, która miała do tego najmniejszy tytuł.

Kolejny typ to wojny kolonialne – podbijanie bliskiej i dalekiej okolicy tylko dlatego, że jest się silnym i nikt nic nam nie zrobi. Tak wyrastały imperia rzymskie, otomańskie, brytyjskie, a także amerykańskie – owszem, Luizjanę kupili, ale Kalifornia sama im w ręce nie wpadła.

Najgorszy gatunek wojen, i zapewne też najokrutniejszy, to wojny religijne, podejmowane w przekonaniu, że tylko my mam rację, a inni błądzą i trzeba im pomóc zostać nami. Mieszczą się tu i ekspansja islamu, i chrześcijańska rekonkwista, a także wojny totalitaryzmów, traktowanych przez swych wyznawców jako świeckie religie – nazizm i komunizm.

Skądinąd to właśnie religie próbowały ograniczać eksplozje przemocy. W starożytności wprowadzano pokój olimpijski na czas igrzysk; w średniowieczu narodził się obyczaj Treuga Dei – zakaz walk w okresie świąt Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli, w czasie Adwentu i Wielkiego Postu. Wprowadzono też zakaz walk od czwartkowego wieczora aż do poniedziałkowego poranka – co pozostawiało naprawdę niewiele czasu na wzajemne wyżynanie. Chrześcijaństwo też reinterpretowało przykazanie „Nie zabijaj", wprowadzając zasadę obrony koniecznej, a jednocześnie wojny sprawiedliwej.

Tyle że która wojna jest niesprawiedliwa? Agresor prawie zawsze znajdował usprawiedliwienie dla swojej działalności – czasem tak miałkie jak rzekoma napaść Polaków na radiostację gliwicką w 1939 roku czy rejestr rzekomych win ukraińskich, usprawiedliwiających ruską inwazję w 2023 roku.

Stwierdzenie: „Napadamy na was, bo jesteście słabsi" albo „bo mamy taką ochotę" – zdarza się znacznie rzadziej.

Propagandowy szum nieodzowny jest też pod koniec konfliktów – rzadko dochodzi do bezwarunkowej kapitulacji, częściej do mniej lub bardziej zgniłego kompromisu, oczywiście ubranego w odpowiednie słowa.

Nakłanianiu Ukrainy do ugięcia się przed rosyjskim dyktatem towarzyszą głośne lamenty nad stratami, rozlewem krwi. Orędownicy pokoju wydają się zapominać, że rzeź i zniszczeni towarzyszyły od pierwszych dni agresji na Ukrainę, ale większość świata kibicowała obronie Kijowa, nie namawiając jego władz do rejterady, a armii do złożenia broni.

Co się zmieniło? Światowa opinia publiczna znudziła się tematem, wojna przestała się opłacać producentom broni, siły Ukrainy dramatycznie zaczęły się wyczerpywać…?

W efekcie wielokrotny ludobójca okazuje się cenionym partnerem, zabory cudzych ziem zostają przyjęte do wiadomości, a zbrodnie mają zostać wybaczone i zapomniane… Wszystko dla pokoju.

Tymczasem historia uczy, że koniec każdej wojny stanowi potencjalne zarzewie nowej, często straszniejszej. W tym sensie II wojna światowa okazała się spotworniałą kontynuacją tej pierwszej! W traktacie wersalskim Niemcy osłabiono i upokorzono, ale niekonsekwentnie. W efekcie szybko stanęły na nogi i pokazały światu, z kim ma do czynienia. Usankcjonowanie bezprawia nie stępia apetytu agresora, lecz go wyostrza.

Upragniony rozejm na Ukrainie w każdym przypadku jest sukcesem Rosji – rozgrzeszona ze zbrodni, obdarowana zdobyczami terytorialnymi, dostała czas na dalsze zbrojenie i przygotowanie do kolejnej inwazji. Ale to krajów, które mają szczęście nie graniczyć Federacją Rosyjską, wydaje się nie obchodzić. ■

eprasa.pl a3976d4b30



Grzegorz Wierzchołowski

Tragedia, której cudem uniknęliśmy w połowie listopada, mogła zapisać się w historii jako jeden z najczarniejszych dni III RP. Rosyjski wywiad wojskowy chciał doprowadzić do eksplozji na kluczowej magistrali oraz wykolejenia pociągu pasażerskiego. Na szczęście Rosjanom się nie powiodło, ale z nieudanego listopadowego zamachu zapamiętamy białą flagę, jaką w obliczu wojny hybrydowej wywiesiło państwo Donalda Tuska: otwarte granice dla agentury, paraliż służb zajętych polityczną wendetą i wypuszczenie na wolność kluczowych świadków.

Zielone światło dla GRU. Jak rząd Tuska rozbroił Polskę



FOT. X.COM/MSWIA_GOV_PL

epaper.pl a3976d4b30

Dziś wiemy już z całą pewnością: tylko niewiarygodny zbieg okoliczności i przytomność umysłu jednego człowieka uratowały zdrowie, a może i życie pasażerów podróżujących w niedzielny poranek 16 listopada trasą kolejową nr 7. Maszynista składu Kolei Mazowieckich, jadącego z Warszawy Zachodniej do Dęblina, w ostatniej chwili dostrzegł wyrwę w torowisku w pobliżu miejscowości Życzyn, nieopodal stacji PKP Mika. Metrowa dziura w szynie nie była efektem zużycia materiału, lecz skutkiem eksplozji.

Gdyby pociąg nie wyhamował, mogłoby dojść do nieszczęścia. Jak wykazały późniejsze oględziny, sprawcy nie ograniczyli się do wysadzenia torów. Kilkaset metrów dalej, na tej samej strategicznej trasie łączącej stolicę z Dorohuskiem, zamontowano na szynach masywną stalową obejmę. Miała ona zagwarantować, że jeśli wybuch nie zniszczy składu, dokona tego fizyczna przeszkoda, wyrzucając wagony z torów. Obok natrafiono na taśmę izolacyjną, powerbank i telefon – zestaw służący najpewniej do zarejestrowania przebiegu zamachu lub jego transmisji do mocodawców.

W normalnie funkcjonującym państwie, w godzinę po takim zdarzeniu, na nogi postawiono by wszystkie służby, a opinia publiczna otrzymałaby rzetelny komunikat o zagrożeniu. W Polsce pod rządami koalicji 13 grudnia zapanowała jednak cisza, przerywana jedynie dezinformacją. Przez ponad dobę usiłowano sprowadzić akt państwowego terroryzmu do rangi incydentu technicznego. Pierwotne przecieki sugerowały „nieprawidłowości w infrastrukturze" lub „młodzieżowy wybryk". Dopiero presja medialna, wywarta w dużej mierze przez dziennikarzy TV Republika, którzy jako pierwsi dotarli do świadków sobotniej eksplozji w powiecie garwolińskim, zmusiła rządzących do przerwania milczenia.

▶ Medialna zmowa milczenia

Jak wynikało z doniesień Republiki, już w sobotę 15 listopada wieczorem, po godz. 21, policja otrzymała zgłoszenie o donośnym wybuchu opodal stacji Mika. Funkcjonariusze ograniczyli się, niestety, tylko do przyjazdu na miejsce zgłoszenia (choć huk słyszeli świadkowie, a eksplozja – jak się potem okazało – została nagrana przez monitoring!). Dziś już wiemy, że tylko pomyślne zrządzenie losu ocaliło pasażerów pociągów przejeżdżających tymi torami sobotniego wieczoru. Na szynach zamontowano bowiem ładunek, który eksplodował o godz. 20:58. Donald Tusk informował potem, że chodziło o „ładunek wybuchowy typu wojskowego C4", co oznacza, że był to prawdopodobnie materiał plastyczny o dużej sile, którego głównym składnikiem był heksogen (około 91 proc.). Do jego zdetonowania konieczny był impuls z zapalnika, co tłumaczy, dlaczego w pobliżu znaleziono kabel elektryczny prowadzący do pobliskiego parkingu.

Wróćmy jednak do niedzieli 16 listopada. Podczas gdy rząd i podległe mu służby nabrały wody w usta, TV Republika relacjonowała wydarzenia na żywo, docierając do kluczowych świadków i lokalnych urzędników. To na jej antenie starosta powiatu garwolińskiego, Iwona Kurowska, która była na miejscu zdarzenia, jako pierwsza przedstawicielka władzy publicznej odważyła się nazwać rzeczy po imieniu. „Służby nie mają co do tego wątpliwości, zdarzył się akt dywersji, zdarzył się akt sabotażu. Była eksplozja, huk, materiał wybuchowy" – mówiła stanowczo.

Wkrótce okazało się, że incydent w powiecie garwolińskim nie był odosobniony. Tego samego dnia, w niedzielę wieczorem, doszło do kolejnego niebezpiecznego zdarzenia na tej samej linii kolejowej. Między stacjami Puławy Azoty a Puławy Chemia awaryjnie zatrzymano pociąg Intercity relacji Świnoujście –Rzeszów, którym podróżowało 475 osób. Oględziny dokonane w niedzielę wieczorem wykazały, że dywersanci uszkodzili sieć trakcyjną nad torem, co spowodowało wybicie szyb w jednym z wagonów wspomnianego składu Intercity, a kilkaset metrów dalej zainstalowali na torze obejmę stalową, która przypuszczalnie miała spowodować wykolejenie się pociągu (obok przytwierdzono taśmą izolacyjną telefon z powerbankiem mający zarejestrować tragedię lub monitorować przebieg akcji dywersyjnej). Obejma została przecięta przez przejeżdżające wcześniej pociągi. Dwa ataki w nieodległych od siebie miejscach – na tej samej, strategicznie ważnej trasie, i to w ciągu jednego dnia – nie były z pewnością dziełem przypadku.

Gdy media prorządowe milczały, czekając – jak można się domyślać – na oficjalny przekaz z kancelarii premiera, tylko dziennikarze Strefy Wolnego Słowa informowali społeczeństwo o realnym zagrożeniu. Tomasz Sakiewicz podsumował: „Gdyby nie było Telewizji Republika, społeczeństwo mogłoby się o tym nie dowiedzieć". W wyniku medialnej presji największej stacji telewizyjnej w Polsce rząd Donalda Tuska nie mógł dłużej udawać, że nic się nie stało. Jednakże sposób, w jaki próbował zarządzać kryzysem informacyjnym, okazał się kolejną kompromitacją.

▶ „Nowoczesny challenge"

Obowiązkiem państwa w obliczu realnego zagrożenia terrorystycznego powinno być – zdawałoby się – natychmiastowe i rzetelne informowanie obywateli na temat tego, co się stało i co może się stać. Rząd Donalda Tuska nie tylko nie sprostał temu zadaniu, lecz

eprasa.pl a3976d4b30

także świadomie pogłębił chaos, serwując Polakom festiwal sprzecznych komunikatów, półprawd i otwartych kłamstw.

Pierwszy oficjalny komunikat pojawił się dopiero w niedzielę po godz. 16, gdy rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka napisała: „Sprawę bada policja i prokuratura. Na ten moment brak podstaw, by mówić o celowym działaniu osób trzecich. Apelujemy o rozwagę". Oświadczenie to, w świetle zebranych już dowodów – relacji o wybuchu, znalezionego przewodu elektrycznego i słów starosty Iwony Kurowskiej – było jawną próbą zakłamywania rzeczywistości.

Wicepremier Krzysztof Gawkowski dopowiadał zaś: „Może być sabotaż, może być też kradzież. Ludzie w takich sytuacjach wycinają jakieś tory, działają z premedytacją, czasami to jest też głupota, bo ktoś może być, kto zrealizował jakiś zakład albo inne wyzwanie, które było nowoczesnym challenge'em".

Jednak prawdziwy chaos informacyjny rozpętał się godzinę później. Premier Donald Tusk, najwyraźniej zaniepokojony pogłębiającym się rozdźwiękiem między oficjalnymi enuncjacjami a zatrważającymi doniesieniami medialnymi, napisał na portalu X, że jest „niewykluczone, że mamy do czynienia z aktem dywersji". W jednej chwili Polacy otrzymali więc dwa całkowicie sprzeczne sygnały od kluczowych osób w państwie. Były minister cyfryzacji Janusz Cieszyński komentował na antenie TV Republika: „O 16 pani rzecznik ministerstwa spraw wewnętrznych [...] pisze »nie spekulujmy«, a po 17 odzywa się Donald Tusk i co robi? Spekuluje. To jest po prostu kompletne partactwo".

Z kolei wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Maciej Duszczyk, pytany w Polsat News o sprawę uszkodzenia torów na trasie Warszawa–Dęblin, zaznaczył, że od dłuższego czasu mamy w Polsce do czynienia z wieloma różnego rodzaju sabotażami. Zaapelował wszak o to, by... nie posądzać o każde działanie Rosji. „Bo Rosja nie jest aż tak potężna, żeby każde podpalenie, każda tego typu sytuacja była prowokowana przez Rosję" – stwierdził.

Zamiast wyjaśnić sytuację, rządowa machina propagandowa ruszyła do ataku na osobę, która jako pierwsza odważyła się mówić prawdę – starostę Iwonę Kurowską. Rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Jacek Dobrzyński w skandalicznym wpisie oskarżył ją o „przechwalanie się" rzekomymi informacjami od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. „Stanowczo oświadczam, że nikt z ABW nie kontaktował się ze starostą garwolińskim ani nie udzielał żadnych informacji" – grzmiał Dobrzyński.

Reakcja starosty Kurowskiej była natychmiastowa. W rozmowie z red. Michałem Rachoniem określiła wpis Dobrzyńskiego wprost jako kłamstwo. Wyjaśniła, że nigdy nie twierdziła, iż kontaktowała się z nią ABW, a informacje o dywersji uzyskała od lokalnych służb obecnych na miejscu zdarzenia. „Pan Jacek Dobrzyński kłamie i ja proszę o sprostowanie albo podanie mojej odpowiedzi, do tej pory się nie doczekałam. Nie sądzę, żeby mnie za to przeprosił i sprostował" – powiedziała z goryczą. Dodała też – obnażając niekompetencję rzecznika służb specjalnych – że działania na miejscu prowadziło Centralne Biuro Śledcze Policji, a nie ABW.

▶ Bomby w paczkach herbaty

Dziś wiemy, że sprawcami nie byli, jak próbowano początkowo sugerować, przypadkowi wandale czy autorzy „głupiego żartu". Za atakami na polską kolej stali profesjonalni dywersanci, działający na zlecenie rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU.

19 listopada na konferencji prasowej prokuratury oficjalnie poinformowano, że postawiono zarzuty dwóm obywatelom Ukrainy – Ołeksandrowi K. (rocznik 1986) oraz Jewhenijowi I. (rocznik 1984). Jak podkreślili śledczy, mężczyźni mieli dokonać „aktów dywersji o charakterze terrorystycznym na rzecz wywiadu Rosji przeciwko Polsce". Według ustaleń sabotaż był nie tylko nagrywany przez sprawców, lecz także transmitowany.

Choć prokuratura posługiwała się inicjałami, tożsamość jednego z kluczowych sprawców jako pierwszy ujawnił portal Niezalezna.pl. Chodzi o Jewhenija Iwanowa, urodzonego w 1984 roku w obwodzie charkowskim. Iwanow nie jest anonimowym najemnikiem. To człowiek od dawna znajdujący się na radarze ukraińskich służb, zwerbowany przez oficera GRU, Jurija Syzowa. Co najbardziej kompromitujące dla polskich władz, Iwanow na kilka miesięcy przed atakiem w Polsce został zaocznie skazany przez sąd we Lwowie za akty dywersji na terenie Ukrainy.

Media na Ukrainie, choćby portal Sądowy Reporter (SR), już w lipcu 2024 roku z detalami omawiały jego dywersyjne działania. Z informacji SR wynika, że Iwanow koordynował na zlecenie GRU próbę wysadzenia zakładu produkującego drony NWP Athlon Avia we Lwowie. Zwerbował do tego zadania byłego pracownika zakładu; za podłożenie ładunków wybuchowych obiecał mu 40 tys. dolarów. Szczęśliwie cała operacja była kontrwywiadowczo kontrolowana przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), która unieszkodliwiła bomby, a następnie, po sfingowanym wybuchu, doprowadziła do ujawnienia rosyjskich mocodawców. Mimo że Iwanow przebywał już wtedy w Rosji, został mu postawiony zarzut m.in. zdrady stanu i udziału w dywersji.

Jak wspomnieliśmy – oficerem prowadzącym Iwanowa na Ukrainie był oficer rosyjskiego wywiadu woj-

eprasa.pl a3976d4b30

skowego Jurij Syzow. Na ukraińskich stronach rządowych znajduje się akt oskarżenia przeciw niemu. Został on oskarżony o terroryzm, dywersje, kierowanie grupą przestępczą i nielegalne przekraczanie granicy. Jego formalne stanowisko to starszy specjalista wydziału operacji specjalnych zarządu operacji specjalnych Głównego Zarządu Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych FR.

Ukraiński akt oskarżenia stwierdza, że do obowiązków Syzowa, jako przedstawiciela służb specjalnych Federacji Rosyjskiej, należało prowadzenie działalności wywiadowczo-dywersyjnej przeciwko Ukrainie. Werbował obywateli Ukrainy do poufnej współpracy w celu ich dalszego wykorzystania do działań na szkodę Ukrainy.

Syzow pozyskał Iwanowa, który zajmował się także poszukiwaniem i tworzeniem sieci agenturalnej spośród osób zamieszkujących terytorium Ukrainy. Wiadomo, że w kwietniu 2024 roku Syzow planował zamachy terrorystyczne w Kijowie. Zaangażował (znowu) Iwanowa, a następnie Borysenkę (współpracującego ze służbami) oraz Dmytra Biłokonia. Celem były wybuchy w sieciach handlowych Leroy Merlin w Kijowie oraz przy kawiarni Ofenziva. Sizow zorganizował przekazanie Borysence (poprzez nieświadomego kuriera) 15 urządzeń wybuchowych ukrytych w paczkach herbaty. Eksplozja miała nastąpić 10 maja 2024 roku – dokładnie o godz. 4 – lecz operacja została przerwana dzień wcześniej w wyniku zatrzymania Biłokonia na miejscu udaremnionego zamachu. „Przestępstwo nie zostało dokończone z przyczyn niezależnych od woli sprawcy (Syzowa)" – można przeczytać w akcie oskarżenia.

Współpracownicy siatki GRU na wolności

Iwanow i Kononow (bo tak brzmi pełne nazwisko podejrzanego K.) przechytrzyli polskie służby i zbiegli. Osiem dni po próbie zamachu prokuratura poinformowała, że przedstawiła zarzut trzeciej osobie: Wołodymirowi B. – chodzi o pomocnictwo w sprawie aktów dywersji.

Ale w ręce Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz policji wpadło również czterech innych obywateli Ukrainy, byłych mieszkańców okupowanego Donbasu. Byli oni bezpośrednim zapleczem logistycznym dla grupy dywersyjnej, która podłożyła ładunki pod Garwolinem. Niestety… wyszli na wolność.

Dotyczy to również mężczyzny o inicjałach odgrywającego rolę „kuriera", który osobiście woził po Polsce dwóch współpracowników rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU – Iwanowa i Kononowa. I prawdopodobnie zapewniał im transport niezbędny do przeprowadzenia rekonesansu, podłożenia ładunków oraz – co najważniejsze – bezpiecznej ucieczki w kierunku wschodniej granicy. Mimo tak kluczowej roli, polska prokuratura uznała tłumaczenia kierowcy za… wiarygodne. Mężczyzna przekonywał śledczych, że „nie miał pojęcia, kogo wozi, ani w jakim celu". Ta linia obrony – o przypadkowym, nieświadomym, pokrzywdzonym wręcz „kurierze", który bezwiednie obsługuje terrorystów wysadzających strategiczną infrastrukturę państwa NATO – została przyjęta przez śledczych bez większego sceptycyzmu. To niebywałe, wszakże w świecie służb specjalnych i terroryzmu kurierzy oraz logistycy są często równie cennym źródłem informacji co sami wykonawcy zamachów. To oni znają punkty kontaktowe, lokale, trasy przerzutu, systemy komunikacji.

Decyzja o wypuszczeniu podejrzanych wywołała irytację w szeregach służb specjalnych (oczywiście polskich, bo w rosyjskich nastroje musiały być szampańskie). Jak donosiły media, funkcjonariusze ABW, którzy przez dwa dni pracowali nad namierzeniem siatki wspierającej Rosjan, czują się zdradzeni. Argumenty operacyjne, wskazujące na spójność materiału dowodowego i oczywiste powiązania całej czwórki z rosyjską agenturą, zderzyły się – no właśnie: ze ścianą prokuratorskiego formalizmu czy też celowej obstrukcji? Jedynym zarzutem, jaki usłyszał jeden z zatrzymanych, było ukrywanie dokumentów – rosyjskich paszportów należących do sprawców. Ale w tym przypadku sąd – uwaga – nie przychylił się do wniosku o areszt. W efekcie ludzie, którzy stanowili oczy i uszy GRU w Polsce, mogą teraz swobodnie zacierać ślady lub, co gorsza, po prostu zniknąć z radarów, tak jak zrobili to ich mocodawcy.

Postawa prokuratury bulwersuje tym bardziej, gdy przyjrzymy się *modus operandi* dywersantów, których ów „niewinny" kierowca obsługiwał, zwłaszcza Jewhienijowi Iwanowowi. Werbował on ludzi, oferując duże pieniądze (w przypadku lwowskiej fabryki dronów było to, jak już pisaliśmy, 40 tys. dolarów) za podkładanie ładunków wybuchowych. Przelewał również pieniądze ze środków otrzymanych od Syzowa na Ukrainę dla bezpośrednich wykonawców poleceń, a także zapewniał transport środków oraz narzędzia potrzebne do aktów dywersji. Do jego zadań należało tworzenie siatki agenturalnej – werbował więc również stałych i świadomych współpracowników służb; należało zatem już na samym początku założyć, że pomocnicy Iwanowa w Polsce byli właśnie jego zasobem agenturalnym, a nie przypadkowymi najemnikami.

Granica otwarta dla terrorystów

Premier Donald Tusk podczas swojego wystąpienia w Sejmie sam dostarczył dowodu na kompletną bezradność służb. Przyznał, że sprawcy „po dokonaniu aktu dywersji w miejscowości Mika opuścili teren Pol-

eprasa.pl a3976d4b30

ski przez przejście graniczne w Terespolu. Tuż po przeprowadzeniu tego zamachu, gdy nie byli jeszcze zidentyfikowani przez służby".

Szczególnie uderza fakt, że dywersanci wjechali do Polski i wyjechali z naszego kraju przez przejście w Terespolu. Przypomnijmy: w nocy z 11 na 12 września 2025 roku zostało ono zamknięte ze względów bezpieczeństwa, w związku z nalotem na Polskę rosyjskich dronów i ćwiczeniami wojskowymi Zapad 2025. Jednak zaledwie dwa tygodnie później, w nocy z 24 na 25 września, rząd Donalda Tuska – mimo braku jakichkolwiek przesłanek, że Białoruś choć na krok odstępuje od wrogiej antypolskiej polityki – podjął niezrozumiałą decyzję o jego ponownym otwarciu.

Rzecz jasna rodzi się też zasadnicze pytanie: jak to możliwe, że człowiek skazany za dywersję w Ukrainie mógł bez problemu przekroczyć polską granicę? Otóż polskie służby nie zrobiły absolutnie nic, by go zweryfikować. Jak ujawniła na antenie TV Republika redaktor Katarzyna Gójska, „Ukraina ma system informatyczny, w którym można bez problemu, dosłownie w ciągu kilku minut, zweryfikować, czy taki delikwent jak ten skazany we Lwowie […], figuruje właśnie jako taki człowiek w ukraińskich kartotekach". Wystarczył jeden telefon do Kijowa, prośba o sprawdzenie w bazie danych, by dowiedzieć się, że obywatel Ukrainy wjeżdżający na terytorium RP z Białorusi to potencjalny zamachowiec. Tego telefonu nikt nie wykonał. Państwo polskie okazało się ślepe i głuche, a jego bierność stworzyła idealne warunki do przeprowadzenia zamachu.

Problem z otwarciem państwa polskiego na penetrację przez rosyjską agenturę jest niestety znacznie szerszy. Od miesięcy kwitnie bowiem zdumiewający proceder codziennych (!) kursów autobusowych z polskich miast na tereny Ukrainy okupowane przez Rosję. Firmy transportowe o takich nazwach jak CrimeaBus czy DonbassTrans operują bez przeszkód, reklamując swoje usługi w internecie. Bilet z Dworca Zachodniego w Warszawie do Doniecka, Ługańska czy Mariupola można kupić za 250–300 euro. Trasy wiodą przez Litwę, Łotwę, Estonię, a następnie przez terytorium Rosji. Na stronach przewoźników widnieją instrukcje dla „obywateli Ukrainy podróżujących na terytorium okupowane", sugerujące loty z Mińska do Moskwy, gdzie pasażerowie przechodzą kontrolę rosyjskiej FSB. Fakt, że polskie służby tolerują istnienie takich kanałów komunikacyjnych, którymi bez trudu mogą przemieszczać się agenci, kurierzy i dywersanci, jest zdumiewający.

▶ Służby na smyczy politycznej zemsty

Dlaczego polski kontrwywiad jest tak bezradny – rzec by można wręcz: ślepy – wobec rosyjskiego zagrożenia? Odpowiedzi na to pytanie można udzielić bez liku – i zapewne gros z nich będzie miała uzasadnienie – ale jedna z pewnością brzmi następująco: Rosjanie mogli pozwolić sobie na tak wiele, ponieważ służby zajęte były realizacją poruczeń wykraczających poza ich ustawowe zadania. Zamiast tropić agentów Putina, zarówno kontrwywiad wojskowy (SKW), jak i cywilny (ABW), pod rządami koalicji 13 grudnia zostały przekształcone w narzędzia politycznej zemsty, wymierzone w opozycję, w osobistych wrogów (jak choćby prof. Sławomir Cenckiewicz czy gen. Gromadziński) oraz w instytucje demokratycznego państwa (na przykład ośrodek prezydencki).

Obsesja rozliczeń, na którą cierpi obecna władza, doprowadziła do paraliżu zdolności obronnych kraju. W momencie gdy Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego powinna infiltrować środowiska prorosyjskie i monitorować przybyszów ze Wschodu, jej zasoby są marnowane na inwigilację przeciwników politycznych Donalda Tuska. Jak celnie zauważył były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro: „Tusk dla zemsty na dzisiejszej opozycji świadomie osłabił bezpieczeństwo Polski". Wskazał on, że narracja o rzekomym wykorzystywaniu systemu Pegasus do celów politycznych stała się zasłoną dymną, za którą zdemontowano skuteczne narzędzia operacyjne. „Za naszych rządów służby rozbiły rosyjską grupę dywersyjną, która chciała wykolejać pociągi, a Pegasus okazał się pomocny. Tusk woli jednak chronić swój korupcyjny układ niż Polaków" – przypomniał Ziobro w mediach społecznościowych.

Dzisiejsza rzeczywistość służb to, jak wyliczał dyrektor programowy TV Republika Michał Rachoń, „ściganie wydumanej grupy przestępczej od garnków i kół gospodyń wiejskich" oraz nękanie dziennikarzy. Służby sparaliżowane strachem przed podejmowaniem odważnych decyzji operacyjnych, zarządzane przez ludzi bojących się wykroczyć poza politycznie poprawny szablon walki z „pisizmem", stają się bezużyteczne w starciu z bezwzględnym przeciwnikiem, jakim są GRU i Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.

Symbolicznym obrazem tej dysfunkcji jest konflikt na linii rząd–prezydent. Jak alarmował ośrodek prezydencki zaledwie tydzień przed zamachami pod Garwolinem, szefowie służb specjalnych – na polecenie Donalda Tuska – odmówili spotkania z prezydentem Karolem Nawrockim. Takie odcięcie zwierzchnika Sił Zbrojnych od kluczowych informacji wywiadowczych – do tego w imię partyjnych animozji – to nic innego jak działanie na szkodę racji stanu, szczególnie w obliczu realnego zagrożenia terrorystycznego i wojennego ze strony Rosji. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Jakub Augustyn Maciejewski



CO PIENIĄDZ ZROBIŁ, CO PIENIĄDZ ZABIŁ?

Antropolodzy coraz częściej dochodzą do wniosku, że geneza pieniądza jest inna, niż przypuszczano, i że w rzeczywistości te przedmiociki o wymiernej wartości zmieniły relacje międzyludzkie nie tylko w dużej skali – między firmami, społecznościami czy warstwami społecznymi – lecz nawet między najbliższymi sobie ludźmi. Czym tak naprawdę jest pieniądz?

eprasa.pl a3976d4b30



FOT. WIKIMEDIA

prasa.pl:a3976d4b30

Pierwsze bite przez państwo (króla) monety odnaleziono w starożytnej Lidii (dzisiejsza Turcja) i stwierdzono, że pochodzą z około VII wieku przed naszą erą. To wtedy zrodził się mit króla Midasa, który był bardzo bogaty i wszystko, czego się dotknął, zamieniał w złoto. Pod tą fantastyczną opowieścią kryją się jednak konkretne fakty historyczne, zamaskowane baśniową wersją zdarzeń. O ile Midas jest postacią na poły mityczną, o tyle nieco późniejszy (VI wiek) władca Lidii – Krezus – istniał naprawdę i naprawdę zaczął bić monety, w pełnym tego słowa znaczeniu. Jeśli przyjrzymy się dziejom ludzkości w oddaleniu, to widzimy, że właśnie wtedy i właśnie tam historia stosunków międzyludzkich eksplodowała i doprowadziła do narodzenia zupełnie nowych, nieznanych wcześniej, powiązań społecznych, przeobrażenia ustrojów, powstania demokracji, wzrostu znaczenia grup innych niż rodzina monarchy. Od ponad dwóch i pół tysiąca lat jesteśmy związani z wynalazkiem Krezusa, nie zdając sobie sprawy, jak dogłębnie zmieniło to nasz stosunek nawet do najbliższych członków rodziny. Ta historia jest inna, niż do tej pory wszyscy sądzili.

Słabe plemiona musiały dawać wiele swojemu potężnemu sąsiadowi, a w zamian dostawały jedynie gest łaski, uroczysty taniec czy szamańskie zaklęcie. Te nierówności darów były konieczne do tworzenia stosunków, nie tylko politycznych, lecz także międzyludzkich.

Przed państwowym pieniądzem

Od XIX wieku wierzono, że przed powstaniem pieniądza istniał handel wymienny, gospodarka barterowa, w której twórca butów mógł je zamienić na skórę niedźwiedzią, złowione ryby można było wymienić na nóż i tak oto pradawna ekonomia pełzała sobie w zamierzchłych czasach. Tę wersję wydarzeń dobitnie rozbija w pył David Graeber w książce „Dług", analizując i dawne, i najnowsze odkrycia archeologiczne oraz antropologiczne. Antropolog pisze wprost: „Nikomu nie udało się odkryć krainy barteru", to znaczy w żadnej wspólnocie, plemieniu, w żadnej grupie zbieraczy, łowców czy osadników nie znaleziono materialnych dowodów na istnienie takiej gospodarki.

Gdy Graeber opisuje pierwsze stosunki handlowe, „mit barteru" staje nam przed oczami faktycznie jako absurd. Jak by to miało wyglądać? Myśliwy z trzema skórami niedźwiedzimi do wymiany wziąłby za to 60 par butów od szewca, 30 noży od kowala i 200 ryb od rybaka? A po co mu 60 par butów? Noże też już ma. A jeśli nikt inny się nie zgłosił po wymianę, to co by miał zrobić z 200 rybami, jeśli ma do wyżywienia pięcioosobową rodzinę, a w poprzedniej wiosce dostał już baraninę i owoce? Gdy zwizualizujemy sobie mit barteru, zobaczymy komiczne wymiany doskonałej tarczy i włóczni za 800 paciorków albo łuku i strzał za wielkie stado świń, które myśliwemu nie będzie potrzebne. Jeśli ktoś jednak wyobraża sobie takie stosunki jako racjonalne, to warto powtórzyć wcześniejszy argument – archeolodzy nie odnaleźli krainy, w której istniałyby dowody na barter. Ten mit wprowadził do literatury historycznej Stanley Jevons, który opisał to w 1871 roku, po przeczytaniu relacji ze spotkań północnoamerykańskich Indian. Tyle że angielski podróżnik (niejaki Smith) nie rozumiał, co widzi w indiańskich wioskach przed wigwamami, a że trafił na tradycyjną wymianę podarków między osadami, myśląc, że to handel, zapoczątkował bajkę o handlu wymiennym sprzed wieków. Całe pokolenia naukowców bezkrytycznie przyjęły tę wersję wydarzeń.

I tutaj Graeber wyjaśnia, jak naprawdę wyglądały dawne relacje handlowe, w erze sprzed pieniądza. Owszem, we wspólnotach pierwotnych odnajdywano substytut dzisiejszego pieniądza – w jednym miejscu była to sól, w innej specjalny gatunek muszli, w Nowej Funlandii była to suszona ryba (sztokfisz), na ziemiach ruskich – szczęki wiewiórcze albo sobole skóry. W Wirginii podstawową walutą był tytoń, na dalszym południu – cukier. A jednak dużymi rzeczami nie handlowano w ten sposób, nikt by nie sprzedał cennego namiotu za 1000 wiewiórczych szczęk. Jak więc to działało? Wymiana przedmiotów istniała nie jako handel, lecz jako polityczno-społeczne gesty życzliwości. Silny wódz plemienia mógł podarować cały namiot z jelenich skór, zaś patriarcha mniejszej wspólnoty mógł się odwdzięczyć jedynie zbieraniną mu-

eprasa.pl a3976d4b30

szelkowej biżuterii i kilkoma bobrzymi futrami. My dzisiaj przeliczylibyśmy to na wartość materialną, ale wówczas był to gest społeczny – potężny prezent mógł oznaczać dominację, wyższość w hierarchii międzywspólnotowej. Ale były odwrotne przypadki – słabe plemiona musiały dawać wiele swojemu potężnemu sąsiadowi, a w zamian dostawały jedynie gest łaski, uroczysty taniec czy szamańskie zaklęcie. Te nierówności darów były konieczne do tworzenia stosunków, nie tylko politycznych, lecz także międzyludzkich.

Graeber opisuje, co w dawnej Nigerii oznaczało wyrównanie podarków: „[…] przynieść dokładny ekwiwalent to dać do zrozumienia, że nie chce się utrzymać kontaktów z sąsiadem". Póki jesteśmy sobie coś winni – póty nam na sobie zależy. Satyrycznie, ale z wielką przenikliwością opisał to XVI-wieczny pisarz polityczny François Rabelais w swojej książce „Gargantua i Pantagruel". Jeden z błaznów, wiecznie winny komuś pieniądze, wygłosił pochwałę długu: „Niech mnie Bóg broni, abym się miał zbywać długów […]. Świat bez długów! Toż by gwiazdy przestały obracać się regularnym torem». Choć brzmi to prześmiewczo, to jednak Rabelais, zapewne zapoznawszy się z przedmonetowymi wspólnotami niedawno odkrytych Ameryk, zawarł inny styl myślenia o dobrach materialnych – nie jak o oddzielnych od człowieka wartościowych rzeczach, lecz jak o potencjale międzyludzkim. Graeber twierdzi, że handel był wymianą bezinteresownych prezentów, zaś barter był tu niejako opcją dodatkową przy okazji przekazania głównych darów. W ten sposób ludzie zaczęli myśleć o sobie w kategoriach hojności, gestów i honoru – bo przecież nie wypadało wiecznie dawać lichych prezentów swojemu partnerowi. Pieniądz to wszystko zmienił, rozbił funkcjonującą przez dziesiątki tysięcy lat zasadę przekazywania, a także puścił w ruch machinę społecznej niezależności. Bo być może małe plemię nie mogło odwdzięczyć się dawniej bogatemu sąsiadowi, ale za to mogło nagle policzyć różnice potencjałów i operować swoimi zasobami w sposób bardziej racjonalny. Tak samo niższe warstwy społeczne stały się bardziej niezależne od monarchów, bo nie tylko wola wodza decydowała o ich losie, lecz także zaklęta w sztabce kruszcu wartość ich pracy, majątku i aktywności. Tu tkwi pieniężna rewolucja, na której bazujemy do dziś, a którą potrafią wykorzystać rozmaite instytucje finansowe, oderwane już dawno od bezinteresownych i honorowych gestów.

▶ Co zmienił pieniądz

Autor ciekawej pracy o historii pieniądza – David McWilliams – podkreśla, że pieniądze są technologią społeczną. Mamy więc wynalazki technologiczne, takie jak koło czy komputer, ale mamy też takie wynalazki społeczne jak zawód urzędnika albo parada równości (nie wszystkie wynalazki są udane). I tak jak wynalazek żelaza czy demokracji zmieniły świat, tak i pieniądz to zrobił. Pieniądz nie jest rzeczą, lecz wartością obrachunkową, zaczynając swoje dzieje w bliskowschodnim Sumerze 3500 lat przed naszą erą. Ale pieniądz obrachunkowy (nie istniał fizycznie, był tylko pojęciem „w głowie") istniał aż do końca XVIII wieku. Polski złoty na przykład nie był pojedynczą monetą, lecz po prostu wartością 30 groszy. Nie było w sakiewce pięciu złotych (monet), ale 150 groszy (czyli pięć złotych polskich). W Sumerze podstawą pieniądza obliczeniowego było zboże, a konkretnie ziarenko pszenicy lub jęczmienia, odpowiednia garść ziaren stanowiła minę, czyli jeden posiłek (wówczas jadano dwa posiłki dziennie). Czyli aby przeżyć miesiąc, należało zjeść 60 porcji zboża – to więc zamieniło się w wartość szekla. Szekel był równy miesięcznemu pożywienia. Na potrzeby używania takiego pieniądza eksplodowała wiedza matematyczna – należało umieć dzielić (liczba 60 jest bardziej podzielna niż liczba 100, więc stała się podstawą wszystkich rachunków), mnożyć, dodawać, odejmować. Ludzkość musiała wynaleźć pismo (wówczas: klinowe), by te rachunki zapisywać na glinianych tabliczkach i do liczb dopisać hasła, nazwiska kupców i dłużników. Dla człowieka XXI wieku może być zaskoczeniem skala zaawansowania matematycznego ludności Mezopotamii sprzed 5500 lat. Jak pisze McWilliams: „Sumerowie na przykład znali nie tylko odsetki zwykłe, ale i składane, czyli takie, w ramach których kwota pożyczki rośnie w czasie w sposób wykładniczy". Pieniądz napędził nowe wynalazki społeczne, tak jak koło napędziło nowe wynalazki technologiczne – rydwan, powóz, młyn.

Pieniądz wynalazł matematykę i pismo, a także pomógł zrozumieć czas. Po raz pierwszy w historii zaczęto sobie pożyczać pieniądze na konkretny czas i na konkretny procent. W Sumerze standardowa pożyczka miała 33-proc. oprocentowanie (20 z 60) na dwa i pół roku (30 miesięcy). Ta pierwsza cywilizacja pozostawiła po sobie tony tabliczek zawierających podobne umowy kredytowe. Jak to pomogło zrozumieć czas? Ludzie pożyczali pieniądze tu i teraz, by mieć ich jeszcze więcej tu i w przyszłości – przyszłości bardzo konkretnej. Można powiedzieć, że wyobrażono sobie pieniądze, których jeszcze nie ma, ale które się wypracuje – żniwa z najbliższych lat miały przynieść spłatę dzisiejszego długu i własny zysk – świat zaczynał obracać się wokół pienią-

eprasa.pl a3976d4b30

dza. I tu dochodzimy do kolejnych konsekwencji ideowych tego wynalazku.

Pieniądz daje wolność?

Choć dzisiaj pieniądze często kojarzą się z bezlitosnymi zależnościami, to jednak u zarania swojego istnienia przyniosły dużo dobra, nie tylko w zakresie wzrostu państwowych gospodarek (można było handlować na dalekie odległości i w długiej perspektywie czasowej), lecz także w najbliższym kręgu ludzi.

Zdaniem McWilliamsa pieniądz rozluźnił stosunek poddaństwa, bo nie było się już własnością arystokraty czy króla, w pełnym stopniu mogąc zgromadzić konkretną wartość w sakiewce. Wcześniej władzę miała naga siła, ludzie z mieczami i tarczami, ale teraz nawet ktoś z podłego rodu mógł mieć swoją małą władzę, jeśli zarobił pieniądze. Ten pieniądz dawał niezależność, był jakąś drogą ku wolności. Pieniądz wprowadzał „pierwiastek indywidualnej kontroli i osobistej odpowiedzialności", wyzwalając – stopniowo – z plemiennej i stanowej zależności. Widać to i w dzisiejszym zmieniającym się świecie. Dawniej zobowiązania rodzinne były silniejsze, bo bez wsparcia rodziców młody człowiek nie miał szans wejść w dorosłe życie, a stary człowiek potrzebował wsparcia dzieci i wnuków, by dożyć do następnego miesiąca. Teraz, gdy państwo organizuje pieniądze w formie stypendiów, rent i emerytur, a indywidulnie możemy je gromadzić w formie inwestycji czy oszczędności, to rodzina... jest nam, w sensie materialnym, mniej potrzebna. Podobnie wyglądało to w aspekcie społecznym, gdy na przykład ochronę albo dostawy żywności, a nawet usługi bogów (kapłanów) można sobie było kupić bez niczyjej łaski i zależności. Można więc powiedzieć, że człowiek jako indywidualność w społeczeństwie narodził się wraz z pieniądzem, w starożytnym Sumerze, a twardy dowód na to uzyskał w VI wieku przed naszą erą w Lidii.

Krezus bił nie tylko monetę (wcześniej istniały jedynie sztabki różnych kruszców jako waluta), lecz także umieścił na niej swój wizerunek – oto więc pieniądz stał się domeną państwa i świadectwem jego pozycji. Dziś nikt nie chce rozliczać się w mołdawskich lejach, lecz w amerykańskim dolarze już tak. Trudno o bardziej widoczną różnicę potencjałów obu krajów. W 1618 roku król Zygmunt III Waza kazał wybić studukatowe monety o wadze jednej trzeciej kilograma (!), ale 50 lat później jego syn musiał już wynająć mincerza Boratiniego, wybijającego nędzne szelągi, które nosiło się na jarmark całymi workami, by za cokolwiek zapłacić. Za wynalazkiem Krezusa poszła cała machina nowych wynalazków – instytucji pożyczających pieniądze albo wystawiających skrypty dłużne – zapewnienie, że dany posiadacz dokumentu (glinianego) zapłaci konkretne, zapisane w nim, pieniądze.

Pieniądz też pozwalał mieć relacje z obcymi ludźmi – dawniej wymiana podarków czy jakiekolwiek spotkanie odbywało się za pomocą szeregu obrzędów, weryfikowania zaufania, demonstracji własnej pozycji, a teraz wystarczyło ugryźć monetę, by sprawdzić, czy jest prawdziwa. Przecież to była istna rewolucja w stosunkach międzyludzkich!

KREZUS BIŁ NIE TYLKO MONETĘ (WCZEŚNIEJ ISTNIAŁY JEDYNIE SZTABKI RÓŻNYCH KRUSZCÓW JAKO WALUTA), LECZ TAKŻE UMIEŚCIŁ NA NIEJ SWÓJ WIZERUNEK – OTO WIĘC PIENIĄDZ STAŁ SIĘ DOMENĄ PAŃSTWA I ŚWIADECTWEM JEGO POZYCJI.

W dodatku już wtedy zaczęła się krystalizować grupa ludzi żyjących nie tyle z zarabiania pieniędzy, ile z samych pieniędzy, żonglowania kwotami poprzez coraz bardziej złożone obliczenia matematyczne. Odsetki i ułamki weszły przy każdej pożyczce, a rachunek prawdopodobieństwa – różnie nazywany – przy ryzykownych przedsięwzięciach i ubezpieczeniach. Matematyka nie jest królową nauk, ale jej największym bankierem.

A jednak pieniądz też coś w ludziach zabił i w każdej epoce kolejne konserwatywne głosy wskazywały, że w walutach jest coś, co pchnęło ludzkość w złe objęcia.

Plutokracja

We wszystkich czasach i w każdym konflikcie ideowym dochodziło także do konfrontacji w stosunku do samej idei pieniądza i obracania nim w handlu czy w spekulacjach. Napoleon Bonaparte pogardliwie wyrażał się o Brytyjczykach jako o „na-

eprasa.pl a3976d4b30

rodzie sklepikarzy". Utrafił naprawdę w sedno, choć chciał w ten sposób wyspiarzy spostponować. Ale nieprzypadkowo żelazna dama londyńskiej polityki, Margaret Thatcher, była córką sklepikarza, a w kodzie kulturowym brytyjskim mały rodzinny sklep jest filarem powodzenia. W XVII wieku w Stony Stratford w hrabstwie Buckinghamshire, pewien sklepikarz Henry zaczął emitować własne monety, małe żetony ułatwiające handel tym, którzy nie mieli pieniędzy, ale mogli świadczyć inne usługi i realizować drobne pomoce. Monetka przyjęła się nie tylko w sklepie, lecz także na sąsiednich ulicach, bo przecież wszyscy wiedzieli, że przedmiocik ma swoją wartość i można go wymienić u Henry'ego na konkretne produkty. Dziś przypomina to „kupowanie na zeszyt", czyli tworzenie własnej zależności pomiędzy powinnościami.

W Polsce przyjęliśmy postawę dokładnie odwrotną – handel był czymś tak pospolitym i niegodnym, że paranie się takimi czynnościami groziło utratą szlachectwa. Z kolei pożyczanie pieniędzy na procent i lichwa były niegodne dla katolika, więc zajmowali się tym niechrześcijanie – Żydzi.

Kultura oparta na handlu przekształcała się w plutokrację – rządy kupców – i nie było tylko polską i katolicką perspektywą pewne obruszenie się na ten stan rzeczy. Cyceron w traktacie „O powinnościach" pisał z niesmakiem: „Handel, jeśli jest drobiazgowy, ma w sobie coś nieszlachetnego [...], ale ze wszystkich zarobków żaden nie jest lepszy, żaden pożyteczniejszy, żaden przyjemniejszy, żaden wolnemu człowiekowi przystojniejszy, jak rolnictwo". Pieniądz i szlachetność zdawały się wykluczać nawzajem.

Podobną dychotomię między szlachetnymi wojownikami i cwanymi handlarzami dostrzegamy w greckich zmaganiach między wojowniczą Spartą a kupieckimi Atenami, a później – właśnie w stosunkach dzielnych Francuzów z kupieckimi Brytyjczykami w czasie podbojów Napoleona Bonaparte. Europejskie republiki też zaczęły się dzielić – szlachetno-szlachecka Rzeczpospolita ze sławnym rycerstwem, husarią, która za Cyceronem wielbiła rolnictwo i gardziła handlem, coraz bardziej odstawała od Republiki Holenderskiej czy Weneckiej, które żyły z handlu na morzach czy oceanach.

Znamy zapis sprzed 3000 lat, ze starożytnej Asyrii, w którym jeden dworzanin pożycza pieniądze od drugiego, pisząc mu wyraźnie: „I nie naliczaj mi odsetek, w końcu obaj jesteśmy arystokratami". Szlachcie po prostu taki materializm nie wypada, nadal liczą się pradawne gesty wsparcia, demonstracji przyjaźni czy własnej przewagi. W staropolskim świecie takie elementy przedpieniężnych czasów też były widoczne – magnat zapraszał swoją szlachtę na ucztę, na której nie tylko się jadło i piło za darmo, lecz także z której można było zabierać ze sobą zastawę i otrzymywało się drogie podarki. Wzajemność była podobna jak u dawnych przedrolniczych plemion – każdy odwdzięczał się na swój sposób: jeden swoją szablą, inny posłaniem syna jako lokaja, a jeszcze inny pięknymi mowami na sejmikach. Tworzyła się więź, nie od razu patologiczna, inna niż ta, która opierałaby się na zapłacie: „Masz 20 złotych, a napisz mi orację dla wojska". Pieniądz więc potrafi osłabić więzi międzyludzkie, odrzeć je z tajemnicy i godności – pożyczając pieniądze w banku, jesteśmy tylko wzorem opłacalności pożyczkodawcy, a nie człowiekiem, który może pokazać swój honor i obiecać spłatę.

Pieniądz tak, ale...

Skrajności stawały się patologiczne – handlarze ludzkim życiem potrafili sprzedać nawet drugiego człowieka, ale ci, którzy gardzili sprawną gospodarką, upadali pod ciosem mocniejszych od siebie. Jak to pogodzić? Niezwykłe rozwiązanie zaproponowała postać, której w zakresie wiedzy ekonomicznej zupełnie nie doceniamy, a wszyscy ją znamy.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pieniądz był ściśle związany z religią. Graeber pisze: „Pieniądz wszędzie ma swoje źródła w tym, co uważano za rzecz najbardziej odpowiednią jako dar dla bogów". Ofiary z życia ludzkiego, potem zwierzęcego, a potem z pieniędzy (do dziś) stały się obowiązkowym rytuałem nabożeństw, ale jedynie pieniądz czynił te sprawy przejrzystymi. Historia Kaina i Abla pokazuje przecież, że przekazanie darów Bogu może być źle rozumiane i nieprecyzyjne, a jednak pieniądz jest określony bardzo dokładnie. Pieniądz więc był przez wieki należny bogu, choć był tworzony przez człowieka. Symonides już 500 p.n.e. pisał: „Wszyscy jesteśmy długiem zaciągniętym u śmierci", a więc żyjąc, musimy wszystko i zawsze spłacać.

A jednak pojawił się przełom. Bo właśnie z takim myśleniem wyszli do Jezusa Chrystusa faryzeusze, rzucając mu monetę rzymską i pytając, komu jest ona przeznaczona. „Oddajcie więc cesarzowi to, co jest cesarskie, a Bogu to, co boskie". Jezus więc całą złożoność tego wynalazku społecznego, jakim jest pieniądz, zamknął w sprawach ziemskich i doczesnych, wskazując, że człowiek ma jeszcze całą inną sferę swojego istnienia, taką, której nie da się wyliczyć żadną walutą. Pieniądza można i należy mądrze używać, pamiętając jednak, że jest jednym z wielu ulepszeń ludzkiej egzystencji, ale nie jest samą egzystencją. ■

eprasa.pl a3976d4b30



Mateusz Matyszkowicz

RUSKIE ALGORYTMY SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Wojna jak wojna. Jej istota jest zawsze ta sama, zmieniają się tylko taktyki jej prowadzenia i modernizuje się broń. Na polach bitwy, w wojnach materialnych, nie używa się już kuszy ani łuków, lecz dronów i nowoczesnych czołgów. Zmienia się także wojna informacyjna. A wraz z nowymi narzędziami – rośnie jej znaczenie.

eprasa.pl a3976d4b30

Zgodnie z klasyczną definicją wojna informacyjna jest zorganizowanym działaniem państwa lub innej grupy, którego celem jest uzyskanie przewagi strategicznej nad przeciwnikiem poprzez kontrolowanie, manipulowanie lub zakłócanie informacji, przy jednoczesnej ochronie własnych zasobów informacyjnych przed wrogim wpływem. Innymi słowy – chodzi o oddziaływanie na percepcję przeciwnika. I nie tyle o samo „wpuszczanie fałszywek", ile przede wszystkim o zmianę jego sposobu myślenia.

Przeciwnikiem może być całe społeczeństwo, gdy próbuje się celowo przesunąć jego preferencje polityczne. Mogą nim być grupy zawodowe lub środowiska decydenckie. Mogą być nim nawet pojedyncze osoby – na przykład wtedy, gdy doprowadzamy do sytuacji, w której wojskowa komisja zakupowa podejmuje błędną decyzję dotyczącą wyboru uzbrojenia. Takie działanie nazywamy decepcją, czyli świadomym wprowadzeniem przeciwnika w błąd.

Informacja niszcząca

Informacja, którą oddziałujemy na wroga, jest w tej logice informacją niszczącą – prawdziwym pociskiem artyleryjskim tej wojny. Jeśli osiągniemy cel i społeczeństwo zmieni preferencje polityczne na korzystniejsze dla nas albo jeśli decydenci wojskowi kupią sprzęt niesprawny czy nieprzydatny, mówimy, że wszczepiliśmy przeciwnikowi błędne algorytmy działania. Brzmi to współcześnie, ale opisuje mechanizmy stare jak same wojny.

Sun Tzy, klasyk chińskiej strategii, lokował wojnę informacyjną niezwykle wysoko. Twierdził wręcz, że „najwyższą doskonałością jest złamać opór wroga bez walki", a drogą do tego jest właśnie zniekształcenie jego percepcji – uczynienie go ślepym na własne intencje, własną siłę i własne słabości. Zmylenie przeciwnika co do liczebności wojsk, kierunku marszu czy realnego morale armii mogło – i nadal może – przesądzić o losach bitwy czy całej kampanii. Strateg miał obowiązek tak modulować obraz siebie, by wróg walczył nie z rzeczywistością, lecz z jej fałszywym odbiciem. Gdy będąc silni, zdołamy przekonać przeciwnika, że jesteśmy słabi, zlekceważy on nasz potencjał i wystawi zbyt małe siły. Gdy zaś jako słabi wmówimy mu, że dysponujemy przewagą, może zaniechać ataku. A najlepsze wojny to przecież te, które wygrywa się bez jednego wystrzału.

Dzisiejsza nauka dostosowuje tę starożytną wiedzę do nowoczesnych narzędzi. Mamy więc na przykład walkę psychologiczną (PSYOPS), gdy wpływa się na morale, motywację, nadzieje i lęki wojska czy całych społeczeństw. Mamy propagandę, czyli formowanie i kontrolowanie narracji. Mamy wreszcie cyberwarfare – działania ofensywne i defensywne prowadzone w cyberprzestrzeni. Wszystkie te techniki łączy jedno: zarządzanie ludzką percepcją. Już sam przegląd podstawowych pojęć, jakimi posługują się współcześni stratedzy wojny informacyjnej, pokazuje, jak ogromną rolę odgrywa dziś cyfrowy przekaz, jego forma, kanały i podatność na modulację.

Dawniejsze wojny informacyjne były jednak wojnami analogowymi. Agentura wpływu rozpuszczała fałszywe pogłoski, tzw. szeptanki. Drukarnie przygotowywały ulotki przerzucane na terytorium wroga. Można było finansować miejscową prasę, a później radio i telewizję, po to by modulować publikowane tam treści i opinie. Tego rodzaju narzędzia poznało już kilka generacji, nauczyliśmy się je identyfikować i – mam nadzieję – oceniać z odpowiednim sceptycyzmem.

Analogowa wojna informacyjna była przy tym droga i niepewna. Agenci mogli zdradzić lub okazać się niedostatecznie przydatni. Gazety nie musiały dotrzeć tam, gdzie powinny. Ulotki mogły budzić śmiech zamiast niepokoju. A samo rozmieszczenie tych narzędzi na terytorium przeciwnika pochłaniało ogromne budżety, bez jakiejkolwiek gwarancji osiągnięcia zakładanego efektu. Cała operacja była ciężka, powolna i wrażliwa na błędy – bardziej sztuka niż precyzyjne rzemiosło.

Wszystko zmieniła rewolucja cyfrowa. Jakby ułan nagle przesiadł się z konia na odrzutowiec. Wciąż pędzi przed siebie, ale z prędkością, która w dawnych realiach byłaby niewyobrażalna. Celu nie szuka już w nieporęcznych mapach rozkładanych na kolanie – elektroniczne systemy same go naprowadzają, analizują teren i wskazują trajektorię. Zamiast lekcji fechtunku, potrzebuje solidnej podbudowy informatycznej, zdolności operowania w systemach i rozumienia przepływu danych. Dawniej budził grozę tylko wśród tych, którzy znaleźli się w zasięgu jego szabli. Dziś może siać zniszczenie na obszarach tak rozległych, że nie da się ich nawet porównać z dawnym polem bitwy.

Dwie infekcje

Żeby nie być gołosłownym, weźmy operację „Infektion" (przez Amerykanów nazywaną także operacją „Denver"), którą sowieckie służby przeprowadziły w pierwszej połowie lat 80. Jej celem było przekonanie masowego odbiorcy, że wirus HIV/AIDS został stworzony w amerykańskich laboratoriach wojskowych. Zaczęło się od inspirowanej przez KGB publikacji w indyjskiej gazecie „The Patriot" w 1983 roku. To była tylko iskra – ale dokładnie taka, jakiej potrzebo-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a3976d4b30

wała radziecka agentura wpływu. Dzięki kontrolowanym kanałom KGB uzyskało kolejne cytowania w azjatyckich i afrykańskich mediach, gdzie propaganda antyamerykańska łatwo trafiała na podatny grunt. Następnie, poprzez liderów opinii i sieci zaprzyjaźnionych publicystów, falsyfikat powoli przedostawał się do środowisk lewicowych na Zachodzie.

Skuteczność tej operacji widać zresztą do dziś – w wielu krajach teza o „amerykańskim pochodzeniu AIDS" wciąż funkcjonuje jako żywy mit. Trzeba jednak pamiętać, że wymagała ona potężnego nakładu pracy, logistyki i budżetu. A przede wszystkim czasu: całe lata były potrzebne, aby ta dezinformacja odbyła swoją drogę z prowincjonalnej indyjskiej gazety do nowojorskich salonów, redakcji i uniwersytetów.

Dla porównania spójrzmy na operację, którą analitycy nazwali „Secondary Infektion". To już nie lata 80., nie drukarnia i nie agentura przemycająca artykuły do gazet Trzeciego Świata. To działanie rozpoznane dopiero w drugiej połowie lat 20. naszego wieku, zupełnie innego typu – cybernetyczne, zautomatyzowane, oparte na skali, a jednak jeszcze niepełne, jakby niedoskonały prototyp przyszłych rosyjskich kampanii. Bo właśnie służbom rosyjskim jest przypisywana ta kampania.

„Secondary Infektion" to sieć tysięcy kont zakładanych jednorazowo, często w pełni anonimowych, rozsianych po platformach społecznościowych, forach, blogach i serwisach komentarzowych. Każde z tych kont publikowało tylko pojedynczy materiał – wpis, mem, grafikę lub fałszywy dokument – po czym natychmiast znikało. Nie budowało społeczności, nie wchodziło w dyskusje, nie prowadziło dialogu. Jego zadaniem było wrzucić artefakt dezinformacyjny do globalnego obiegu, pozostawiając ślad, który mogły podchwycić kolejne warstwy internetu. Wrzutki dotyczyły Ukrainy, już po zajęciu Krymu, a jeszcze przed pełnoskalową agresją, Iranu, słabości Ameryki.

Operacja była przy tym prymitywna. Brakowało jej finezji, którą ZSRS potrafiło wykazać się przy analogowej „Infektion". Nie miała spójnej strategii, nie budowała narracji krok po kroku, nie tworzyła długotrwałych punktów wpływu. Wiele materiałów brzmiało zbyt topornie, by zyskać wiarygodność. Ale była w niej próba zautomatyzowania oddziaływania w nowej cyfrowej rzeczywistości, osiągnięcia niespotykanej dotąd skali.

W tym sensie „Secondary Infektion" była jak zapowiedź burzy. Jej skuteczność była minimalna, często wręcz żenująco niska. Ale pokazywała kierunek rozwoju: od ciężkich, powolnych, kosztownych operacji analogowych, do cyfrowego rozproszenia, automatyzacji i działania na skalę niemożliwą w epoce drukarni. Była pierwszym dowodem, że wrogim państwom zaczęło chodzić nie o przekonanie konkretnego człowieka, lecz o manipulowanie całym ekosystemem informacyjnym.

Operacja była nieskuteczna, jak wspomniałem, z dwóch powodów: z powodu prymitywnego przekazu, ale przede wszystkim dlatego, że jej autorzy nie rozumieli jeszcze zasad zarządzania emocjami w internecie. Pojedyncze konta, zakładane wyłącznie po to, by wrzucić jedną informację i natychmiast zniknąć, nie miały żadnej wartości operacyjnej. Nikt ich nie zauważał, nikt ich nie śledził, nie budowały żadnej wiarygodności. Nie miały szansy pozycjonować się w wynikach wyszukiwania ani przebić się do algorytmów rekomendacyjnych. Były jak plakaty rozwieszone co prawda w mieście, ale na tylnej ścianie rzadko odwiedzanego baraku. Cóż z tego, że wiszą, skoro nikt na nie nie spojrzy.

A jednak ktoś podjął wysiłek, by te plakaty powiesić – i by czegoś się na tej podstawie nauczyć. Bo równolegle w Rosji powstało narzędzie równie prymitywne, lecz już nieporównanie skuteczniejsze. Finansowana pieniędzmi Prigożyna Internet Research Agency. Prawdziwa manufaktura cyfrowej ery. Wyobraźmy sobie budynek gdzieś na przedmieściach Petersburga – zwyczajny biurowiec, jakich wiele. Tam, w rytmie pracy zmianowej, setki wyrobników rosyjskiej propagandy wykonują codziennie swoją robotę. Nie wrzucają pojedynczych wpisów, lecz prowadzą dziesiątki tysięcy kont, udając ludzi z całego świata: Amerykanów, Brytyjczyków, Polaków. Zarządzają nimi jak postaciami w grze: publikują, komentują, reagują, nawiązują kontakty, budują relacje i przede wszystkim – gromadzą odbiorców, którzy stają się ich cyfrowym kapitałem.

Rosjanie się uczą

To chyba najlepiej opisana w literaturze „fabryka trolli" – narzędzie, dzięki któremu Rosja uzyskała realną zdolność oddziaływania w nowych warunkach informacyjnych. Zdolność, która okazała się bezcenna szczególnie po 24 lutego 2022 roku, gdy Zachód zakazał dystrybucji rosyjskich mediów. Zakazał mediów – ale trolli nie zakazał. Bo jak zakazać czegoś, czego nie da się łatwo wykryć? Jak odsiać zwykłych użytkowników od pracowników rosyjskiej propagandy, skoro obie grupy korzystają z tych samych platform, piszą w tych samych językach, a różnica między nimi rozgrywa się nie w treści jednego wpisu, lecz w sposobie zarządzania całym cyfrowym życiem konta?

eprasa.pl a3976d4b30

To dzięki takim operacjom Rosjanie nauczyli się nie tylko publikować treści, lecz także je podbijać i pozycjonować w algorytmach. Liczy się już nie sam wpis, lecz całe jego „życie": polubienia, udostępnienia, retweety, komentarze – wszystko to, co decyduje o tym, czy treść zostanie wypchnięta wyżej, czy zniknie w cyfrowym szumie. Rosjanie zaczęli rozumieć, że oddziaływanie na człowieka wymaga pośrednika – algorytmu. A stąd już tylko krok do nauki zarządzania nie tyle opinią ludzi, ile algorytmami, które te opinie sieją.

Jeśli jednak zapytamy, co pozwoliło Rosjanom polecieć w kosmos – nie ten fizyczny, lecz cyfrowy – co wyniosło ich na orbitę i dało do ręki broń naprawdę niszczącą, odpowiedź jest prosta: sztuczna inteligencja. A dokładniej jedno z jej zastosowań, jakim są modele językowe. Znane już dziś i coraz chętniej używane narzędzia, dostępne pod postacią rozmaitych czatów i asystentów.

Pierwszy użytek wydaje się prosty i intuicyjny. Nawet za pomocą najzwyklejszej aplikacji możemy dziś pisać we wszystkich językach świata, błyskawicznie redagować i przygotowywać treści – już nie w manufakturze Prigożyna, lecz w dobrze skonstruowanej fabryce artykułów, postów i komentarzy. Fizyczna osoba nie musi już podszywać się pod użytkownika. Robi to maszyna. Taniej, szybciej, w większej skali.

Ale drugie zastosowanie jest dla laika znacznie mniej oczywiste – i właśnie ono stanowi naprawdę poważne zagrożenie dla całego Zachodu. Ale po kolei.

Koniec ery Internetu

Czas, w którym korzystanie z internetu oznaczało przeglądanie stron WWW, wkrótce stanie się przeszłością. Już dziś dominują sieci społecznościowe. Z pozoru wyglądało to niewinnie: ludzie wrzucali zdjęcia piesków, linkowali artykuły, które odsyłały nas do stron w sieci. Lecz z czasem nasze ściany wypełniały się w coraz mniejszym stopniu treściami znajomych, a w coraz większym – materiałami podsuwanymi przez algorytmy, którymi – jak wspomniałem – dowódcy współczesnych wojen informacyjnych nauczyli się już manipulować.

Potem linków było coraz mniej. Dziś dominują treści wideo. I to również okaże się etapem przejściowym.

Naszą stroną przyszłości i naszą ścianą nie będą już serwisy społecznościowe, lecz okienka czatów i asystentów AI. Jeśli czegoś nie wiemy, coraz częściej nie wpisujemy zapytania w wyszukiwarkę, lecz w okno dialogowe z czatem. Według niektórych badań do 2028 roku odwiedzalność mainstreamowych stron WWW spadnie o 50 proc. To szybciej niż tempo zaniku czytelnictwa książek papierowych. Zamiast stron – pytanie do czatu i natychmiastowa odpowiedź.

Użytkownicy szybko przywykli, że czat nie zawsze mówi prawdę – że istnieje zjawisko zwane halucynacją AI, treści generowanych przez maszynę z pełnym przekonaniem, choć bez oparcia w jakiejkolwiek rzeczywistości. Zdarzały się książki zmyślone w przypisach jednej z polskich dziennikarek; zdarzały się nieistniejące ustawy, nieistniejący autorzy, nieistniejące badania.

Ale jest coś znacznie gorszego niż halucynacja: celowa dezinformacja.

Mimo że najpopularniejsze aplikacje AI należą do Amerykanów, to wrogowie Zachodu – przede wszystkim Rosja – od miesięcy testują, jak wpływać na to, czego te amerykańskie maszyny się uczą. A uczą się przecież z internetu. Umiejętnie siejąc treści, można wpływać na to, jakie informacje model przetwarza, zapamiętuje i później podaje użytkownikowi jako prawdę do wierzenia. Bez konieczności zaglądania do źródeł czy konfrontowania ich ze sobą – co jeszcze niedawno było minimalnym elementarzem każdego, kto chciał w sieci uniknąć dezinformacji.

W ramach tej nowej metodologii działania rosyjskich służb powstawały w ostatnich latach perfekcyjne kopie istniejących portali informacyjnych: identyczne logotypy, układ stron, kolorystyka, a niekiedy nawet przejęte artykuły. Różnica polegała na tym, że wśród autentycznych treści przemycano te spreparowane: analizy, komentarze, „newsy", które wyglądały równie wiarygodnie jak oryginał. Użytkownik, trafiając na stronę przypominającą znane medium, nie miał powodu, by zakwestionować jej autentyczność.

To jednak dopiero połowa operacji. Druga część była jeszcze groźniejsza: klony te działały jako źródła, z których uczyły się modele generatywne. Modele AI, szczególnie te trenowane metodami ciągłymi, przetwarzają internet hurtowo. Indeksują nie to, co prawdziwe, lecz to, co istnieje. Jeśli więc w sieci pojawia się dostatecznie dużo klonów powielających określony przekaz, model zaczyna uznawać daną narrację za część naturalnego krajobrazu informacyjnego. A potem – w odpowiedzi na pytania użytkowników – generuje te narracje jako neutralne fakty, nie jako element propagandy.

I to jest istota tej nowej wojny, w której nie walczy się już o umysły, lecz o algorytmy. Te zaś ukształtują masy. Raporty amerykańskich służb, a także samych właścicieli najpopularniejszych modeli, jak OpenAI (czyli GPT), pokazują świadomość tego problemu, co daje nadzieję. Ale najważniejsze jest to, by prawdy podawane nam przez czat sprawdzać. Bo może pisze do nas Rusek. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Ewa Polak-Pałkiewicz



O czym socjolog Ci nie powie – cz. II

Rodzina jest niezniszczalna

Wielu ludzi jest dziś przekonanych, że kryzys demograficzny, który tak mocno daje się we znaki w Polsce, jest nieuniknionym skutkiem tego, co określa się celowo mętnie i niejasno jako przemiany kulturowe. Czy jest tak rzeczywiście? W tej wizji kultura jest jak rwąca rzeka, która zagarnia z coraz większym impetem kolejne obszary, niszcząc je bezpowrotnie. Ma być to rzekomo naturalnym, zupełnie zdrowym procesem. Po prostu świat się zmienia i my wraz z nim. Czyżby narastające wyludnienie było tylko skutkiem ostatnich „trendów kulturowych", jakby to określili lewicowi liberałowie?



eprasa.pl a3976d4b30

Nikt nie był bardziej świadomy dynamicznej interakcji między systemem politycznym a rodziną niż Fryderyk Engels" – przypominała 60 lat temu amerykańska pisarka Solange Hertz. Engels nie owijał w bawełnę, walił prosto z mostu: „Wraz z przejściem środków produkcji na własność społeczną pojedyncza rodzina przestaje być gospodarczą jednostką społeczeństwa. Prywatne gospodarstwo domowe przekształca się w przemysł społeczny. Opieka nad dziećmi i ich wychowanie stanie się sprawą publiczną: społeczeństwo będzie się opiekować wszystkimi dziećmi jednakowo – zarówno ślubnymi jak nieślubnymi" – prognozował w eseju „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa" w 1884 roku.

Rodzina według siewców rewolucji

Jakież to proste i oczywiste, a przy tym uroczo praktyczne, że też ludzie nie wpadli na to wcześniej! Tak komplikowali sobie życie małżeństwem, rodzinami, własnym domem, zamiast żyć w wesołej plemiennej kompanii o nazwie marksizm kulturowy i polityczny. A państwo jest wszak takim samym przeżytkiem, nielogicznością i kulą u nogi jak rodzina. Wyobcowane ze społeczeństwa jest po prostu złem koniecznym, które stopniowo obumiera – stwierdzał dziarsko Engels, co dziś ideolodzy postkomunistyczni i rzekomi eksperci potwierdzają i lansują, we wspólnym froncie z liberałami.

W „Manifeście komunistycznym" obaj mędrcy – Engels wraz z Marksem – grzmieli: „Burżuazyjne frazesy o rodzinie i wychowaniu, o tkliwym stosunku między rodzicami i dziećmi stają się tym wstrętniejsze, im bardziej w wyniku wielkiego przemysłu zerwane zostają wszelkie więzy rodzinne u proletariuszy, a dzieci stają się zwykłymi artykułami handlu i narzędziami pracy".

Dla autorów tych słów rodzina była niczym innym jak obmierzłym wytworem kapitalizmu i wraz z nim musiała przejść do historii. Walczący ateiści nie widzieli w niej nigdy „tajemnicy, ustanowionej u zarania dziejów przez Boga instytucji, z której wyrastają wszystkie systemy społeczne" (Solange Hertz), lecz zawalidrogę na drodze do ziemskiego raju.

Siewcy rewolucji byli jednak na tyle bystrzy, iż wiedzieli, że nie da się jej kompletnie zignorować przy narzucaniu swoich zasad i programów. Trzeba ją niszczyć stopniowo, krok po kroku. Dzisiejszy sztucznie wzniecany chaos w kwestii małżeństwa, rodziny, rodzicielstwa, wychowania dzieci, a wraz z nim redefiniowanie rodziny jest czymś o wiele groźniejszym niż dawne reformy społeczne. „Z pism ojców komunizmu wiemy, że chaos jest świadomie używaną bronią polityczną, przy zastosowaniu której zastraszane społeczeństwo nakłaniane jest do zaakceptowania bardziej jeszcze tyrańskiej struktury, rozciągającej kontrolę nad całe życie prywatne. Wobec tych prób buntuje się sama natura" – dodaje Solange Hertz.

Kryzys demograficzny to skutek tego sztucznie wywoływanego chaosu oraz towarzyszącej mu infantylnej wiary bardzo wielu ludzi, także katolików, że sami, bez pomocy Pana Boga, zbudujemy lepszy, mądrzejszy, bardziej racjonalny i sprawiedliwszy świat. Stworzymy coś lepszego, bardziej „trendy" niż rodzina. Tradycyjna rodzina to przeszłość, czuć ją stęchlizną.

Ideologowie i eksperci we wspólnym froncie

Kiedy zatem zmysłowa miłość małżeńska się wyczerpuje, wielu ludzi jest przekonanych, że musi to oznaczać kres małżeństwa. Nawet małżeństwo zawarte w Kościele jest obecnie czymś praktycznie rozerwalnym, bowiem namnożyło się kruczków prawnych pozwalających wykazać, że małżonkowie zawierając ślub, byli „niedojrzali", „nie mieli świadomości" etc. Te określenia mają ukształtować nową mentalność ludzi wierzących. Starannie dobrane słowa są niezbędne, by zmienić zachowania i decyzje podejmowane przez małżeństwa.

Podobnie fraza „odpowiedzialne rodzicielstwo" została wymyślona (przez organizację Planned Parenthood) dla lansowania ideologii antykoncepcyjnej. „Bez akceptacji zjawiska planowania rodziny, pojęcia takie jak niechciana ciąża, niechciane dziecko i aborcja po prostu by nie istniały. […] Aborcja nie jest nieuniknionym skutkiem błędu w planowaniu rodziny, przeciwnie, jest ona nieuniknionym skutkiem akceptacji mentalności planowania rodziny"[1]. Bardzo pomocnej, by dzisiejsza ekonomia mogła trzymać w ryzach wierzgający rynek, odzwierciedlający realne potrzeby ludzi.

Jeśli Encyklopedia Pro-Life wyjaśnia, że naturalne planowanie rodziny „pozwala małżonkom w równej mierze dzielić odpowiedzialność za to, czy chcą mieć dziecko, czy też czerpać jedynie satysfakcję ze współżycia", to niechcący wskazuje na istotę sprawy. Na to, o co tak naprawdę toczy się gra współczesnego świata ze skostniałą tradycyjną mentalnością. „Decyzja o tym, czy nowa istota ludzka ma być zrodzona, jest prerogatywą Boga, a nie wyrazem odpowiedzialności,

[1] Robert Ruff, „Aborting Planned Parenthood". Autor dodaje: „80 proc. […] aborcji dokonywanych jest przez kobiety, które twierdziły, że chciałyby mieć więcej dzieci, ale jeszcze nie teraz".

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a3976d4b30

którą powinni »w równej mierze dzielić« małżonkowie" (Carey J. Winters).

„Niech nikt nie będzie tak nierozważny", przestrzegał Pius XII, „by twierdzić, co ojcowie soboru wyklęli[2], że są nakazy Boże niemożliwe do spełnienia dla sprawiedliwego. Bóg nie prosi o rzeczy niemożliwe, ale przez swe święte przykazania poucza was, byście czynili to, do czego jesteście zdolni, byście prosili o to, czego nie potraficie, by mógł wam udzielić swej pomocy". Kardynał József Mindszenty dodawał: „Bóg nigdy, przenigdy, nie będzie błogosławił stadłu, w którym małżonkowie będą unikać odpowiedzialności poczęcia".

Malthus, wychodząc z założenia, że ludzi jest za dużo i z tego powodu światu grozi głód, przeciwstawiał się wszelkiej pomocy materialnej na rzecz ubogich w Anglii. Był również skrajnym przeciwnikiem egalitaryzmu, twierdząc, że równość spowoduje jeszcze większy przyrost naturalny, prowadzący do klęski głodu. Pod wpływem jego argumentacji byli m.in. David Ricardo i John Maynard Keynes[3].

Zadanie, które do nas nie należy

„Argument, że dzieci powinny być poczynane jedynie wówczas, gdy rodzina czy planeta są w stanie je bez problemu wyżywić, był pośrednio wysuwany przez raport Pill Commission – i w dalszym ciągu jest jednym z podstawowych argumentów używanych przez orędowników Naturalnego Planowania Rodziny" – pisze inna Amerykanka, Carey J. Winters. „Dowodzą oni, że Bóg oczekuje od nas, że wykorzystywać będziemy dany nam przez Niego rozum do kontrolowania procesu biologicznego w celu osiągnięcia optymalnych rezultatów. Pyszałkowate przekonanie o odpowiedzialności za zadanie, które do nas nie należy, było podstawą grzechu pierworodnego. »To ja powinienem podejmować decyzję o tym, kto jest moim Panem«. Jak zauważa Romano Amerio, takie przekonanie wypływa z »wiary, że człowiek sam sobą rządzi […] [że] jest on celem, dla którego istnieje świat, i że sprawowanie kontroli nad sprawami tego świata jest prawdziwym zadaniem wyznaczonym rodzajowi ludzkiemu«"[4].

Jak wiadomo, pycha kroczy przed upadkiem. Czy dużo mamy wokół siebie dziś szczęśliwych rodzin? Czy przybywa raczej neurotycznych par, które czynią bóstwo z samych siebie, a kupowane za grube pieniądze zwierzęta domowe otaczają czułą opieką, na wzór macierzyńskiej i ojcowskiej? Miłość zaś między kobietą i mężczyzną sprowadzana jest do namiętności. Namiętność jest wynoszona przez kulturę, zdrowy rozsądek – pomniejszany. Jeden z publicystów w eseju pt. „Krytyka zakochania, czyli pochwała rozsądku" ujmuje rzecz następująco: „[…] co najczęściej dzieje się w »małżeństwie z miłości«? Typowe dla silnego uczucia zaślepienie prowadzi również do nierealnej wizji wspólnego życia, którego problemy ma rzekomo rozwiązać sama chęć szczera, a ewentualne poświęcenia dokonywać się będą wśród wzruszeń i radości. […] Obecna w języku potocznym opozycja określeń: małżeństwo z miłości i małżeństwo z rozsądku – jest bardzo myląca. Człowiek bowiem, jako istota rozumna, powinien kierować się rozsądkiem przede wszystkim w miłości" (Antoni Popiel).

Pomoc rodzinie przychodzi z nieba

Czas przeciwstawiania się „martwej tradycji", rodzinie dumnej ze swojego potomstwa, się przedłuża. Przybywa wciąż młodych ludzi, którzy choć nie uważają się za potomków tamtej ideologii, czują wstręt i niechęć do dzieci, które mogłyby urodzić się z czegoś tak intymnego jak „ich związek", strzeżonego zazdrośnie, bo gwarantującego nienaruszalny rozrost dwóch egoizmów.

Dla tej mentalności dziecko jest zawsze intruzem. Przychodzi zawsze nie w porę. Nigdy nie są spełnione warunki, by mogło być w pełni szczęśliwe. Ksiądz Hugh Calkins w podsumowaniu swego eseju na ten temat stwierdza, że „Wszyscy ci chwalcy roztropności zapominają, że celem człowieka i istotą świętości jest pełnienie woli Bożej". Gdyby szerząca się wśród katolików „mentalność cyklu" zapanowała już wcześniej, nie miałby najprawdopodobniej szansy przyjść na świat ani on sam, ani jego brat – i wielu innych księży z biednych rodzin[5]. Nie byłoby wielu świętych, także tych największych. Nie byłoby św. Bernadety z Lourdes, urodzonej w więzieniu, czy pochodzącej od niemłodych i chorowitych rodziców św. Teresy z Lisieux

[2] Sobór Watykański I.

[3] „Prawdziwą przyczyną nędzy, według Malthusa, jest niedostateczna ilość zasobów i środków potrzebnych do utrzymania ciągle rosnącej liczby ludności. Równowagę ma przywracać sama nędza, która działa na zasadzie selekcji naturalnej, hamując rozrodczość", można przeczytać w Encyklopedii Zarządzania.

[4] R. Amerio, „Iota unum", Komorów 2009.

[5] Ks. Hugh Calkins (z zakonu serwitów) urodził się w ubogiej rodzinie, jego brat Larry był także księdzem, kapelanem w marynarce wojennej podczas II wojny światowej. Dwaj siostrzeńcy byli także kapłanami, misjonarzami w Ameryce Południowej.

eprasa.pl a3976d4b30

(jej matka straciła troje dzieci z rzędu). Nie byłoby z pewnością św. Katarzyny ze Sieny, 23. dziecka rodziny włoskich farbiarzy, podobnie jak św. Teresy, doktora Kościoła i wielkiej mistyczki, patronki Europy. Święci, którym dano się narodzić, mogliby dużo więcej powiedzieć o tym, czym jest ten stan chorobliwego lęku przed dzieckiem, określany dziś uprzejmie mianem kryzysu.

Gdy zatrwożeni sąsiedzi, przyjaciele i krewni pytają niezbyt wysoko sytuowanych rodziców: „A kto będzie się opiekował następnym dzieckiem?", wieszcząc dla jeszcze nienarodzonego głód i nagość, Hugh Calkins odpowiada: „Ten sam Bóg, który opiekuje się tobą, nawet jeśli sprzeciwiasz się Jego woli. […] To, że Bóg nie zapewnia wszystkim rodzicom i dzieciom wysokiego standardu materialnego, nie oznacza, że ich opuszcza. Nie dał również własnej Matce więcej, jeśli chodzi o materialne bezpieczeństwo. To niebo, a nie bezpieczeństwo, jest celem, jaki mają osiągnąć dzieci, które Bóg zsyła rodzicom"[6].

Głębsza przyczyna podziału

Na to, by podział wśród Polaków był możliwie najgłębszy, pracują dziś nie tylko siły wewnętrzne. Także, a może przede wszystkim, zewnętrzne. Jakie to siły, dają niekiedy dyskretnie znać politycy opozycji. Jednak pewien wątek jest stale pomijany: prawda o tym, że jeśli człowiek nie ma oparcia w rodzinie, wszystko w jego życiu się chwieje, wszystko jest niepewne. Brak stabilności powoduje, że łatwo odfruwa w sferę mgieł, zamiast trzymać się rzeczywistości. Ma zachwianą tożsamość, żyje nie swoją, lecz cudzą, wymyśloną opowieścią. I uwierzy we wszystko, byle wyrwać się z banalności własnej, pozbawionej celu egzystencji. Bo jaki może być cel życia, jeśli nie ma się dzieci? Pustka, nicość, strach przed śmiercią nikogo nie oszczędzą.

Dziecko zostało w dzisiejszej kulturze sprowadzone do nieestetycznych akcesoriów okresu niemowlęcego. Do pieluch, ślinienia się, żmudnego trudu karmienia… Dziecko zostało zohydzone tak, że setki tysięcy młodych i w średnim wieku ludzi nie potrafi myśleć nie tylko o ciągłości rodziny, lecz także – co w końcu nieuniknione – państwa. Sens istnienia państwa staje się dla nich stopniowo coraz bardziej problematyczny, a z czasem wręcz obcy i nienawistny. Czy zatem coraz wyższe zasiłki dla małżeństw, dla rodzin mogą być faktycznym remedium na dzisiejszy stan wyludniania się naszego kraju? Czy mogą powstrzymać egoizm niedoszłych rodziców? Jak odnowić motywacje do posiadania dzieci przez Polaków, by zapewnić także ciągłość państwu?

Dom Józefa i Maryi – wzór i punkt odniesienia dla rodzin

To zabawne, że tak wielu ludzi zdaje się dziś nieświadomie wyznawać tezy Marksa i Engelsa, że rodzina jako wytwór kapitalizmu jest razem z nim skazana na zagładę, zauważa Solange Hertz. Trudno oczekiwać, by biedni ateiści zdawali sobie sprawę, że naturalne fundamenty zarówno społeczeństwa, jak i ekonomii politycznej zostały położone w Edenie, w domu Adama i Ewy.

„Polityka – tak, ale najpierw dom" – stawiała sprawę amerykańska pisarka, broniąc rodziny i małżeństwa w swoim kraju w latach 70. ubiegłego wieku. „Przez całe wieki nie wymyślono żadnego lepszego systemu politycznego, ponieważ Bóg nakreślił kształt nadprzyrodzonego, chrześcijańskiego społeczeństwa, odwołując się raz jeszcze do modelu prywatnego domu. Tym razem był to dom w Nazarecie, należący do cieśli Józefa i jego małżonki Maryi".

Solange Hertz jest przekonana, że przyszłość jej kraju zależy od wierności rodziców ich ślubom małżeńskim. To nie jest naginanie rzeczywistości, to nie są pobożnościowe uproszczenia. Ateiści w Polsce i w innych krajach chcieliby, żeby tak było. A jeśli tak bywa, to dlatego, że nie widzimy już w naszej religii, w wydarzeniach, które miały miejsce w Ziemi Świętej, faktycznej, realnej naszej historii. Została ona sprowadzona do mitologii, do legend. Boże Narodzenie, obchodzone w naszym kraju tak uroczyście, nawet przez ludzi niewierzących, wraz z celebrowaniem rodzinności, jednak tę historię, znaną nie tylko z kolorowych kartek świątecznych, stawia nam znów przed oczyma.

Gdy plaga rozwodów niszczy świętość małżeństwa i rodziny, wprowadza zarazem nowe niewolnictwo. Plaga ta jest skutkiem precyzyjnej strategii, zaplanowanej przez uczniów Marksa i Engelsa. „Próbują zniszczyć ślub rycerza, tak jak zniszczyli ślub mnicha" – pisał Chesterton[7]. „Wiedzą, że ślub jest antytezą statusu niewolnika, alternatywą, a więc antagonistą. Małżeństwo stwarza małe państwo w państwie, które stawia opór każdemu reżimowi. Te więzy niszczą wszystkie inne więzy, to prawo okazuje się silniejsze od wszystkich późniejszych i pomniejszych praw. Chcą, żeby demokracja była seksualnie niestabilna, ponieważ powstawanie małych ośrodków jest jak po-

[6] Tamże.

[7] G.K. Chesterton, „Zabobon rozwodu", rozdz. „Historia rodziny", tłum. Maciej Reda, Sandomierz 2012.

eprasa.pl a3976d4b30

wstawanie małych narodów. Tak jak małe narody, są one zawadą dla mentalności imperialistycznej. Krótko mówiąc, tym, czego się boją, jest autonomia, czyli rządy we własnym domu".

Honor ojca

„Nawet Chrystus Pan zechciał przyjść na ten świat jako niemowlę, uczyć się od swoich rodziców, jak to czyni każde dziecko. Sam Bóg, wszechmocny Bóg, chciał przyjść na ten świat w taki sposób, w jaki przychodzimy na niego my, abyśmy mogli wejść do świata nowego, świata życia wiecznego. Druga Osoba Trójcy Przenajświętszej uczyła się pracować w domu św. Józefa, aby uświęcić i usankcjonować tę instytucję, która stała się źródłem łaski…" (ks. John Jenkins)[8].

Autor tych słów podkreśla coś, co zdaje się coraz częściej wymykać się dzisiejszemu rozumieniu rodziny, co bywa podważane i negowane. „Sam Bóg był posłuszny istotom ludzkim, by pokazać nam na tym przykładzie wagę posłuszeństwa w rodzinie. Po pierwsze św. Józefowi, którego Bóg wybrał na swego przybranego ojca. Najświętsza Maryja Panna była niepokalanie poczęta. Pan Jezus jest Drugą Osobą Trójcy Świętej, ale w Świętej Rodzinie władza należała do św. Józefa". Dowodem jest fakt, że to właśnie on usłyszał głos anioła, który przekonał go, by nie oddalał od siebie Maryi. To on został także powiadomiony przez anioła o konieczności ucieczki rodziny do Egiptu. To on był nauczycielem rzemiosła Zbawiciela. „Tak więc godność i władza ojca nie zależą od jego osobistych zasług ani od przyrodzonych zdolności, wynikają z woli samego Boga. Bóg chce, by ojciec był głową rodziny i nic nie może tego zmienić"[9].

Może to zabrzmieć jak echo najdalszej przeszłości, odległy głos przywołujący nieistniejący świat, nieobecne normy, przebrzmiałe obyczaje. Bo przecież obowiązuje dziś wszystkich równość! Równość praw i godności. A jednak to echo jest nieustępliwe.

„Każda godna tego miana cywilizacja powstała jako dzieło ojców, którzy pozostali wierni swemu powołaniu rządzenia i kierowania rodzinami. Kultury rządzone przez kobiety nigdy nie stworzyły niczego o trwałej wartości. Znakiem, że cywilizacja znajduje się na krawędzi upadku, jest sytuacja, gdy kobieta rządzi rodziną, a dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że nie wie już, kto jest ojcem jej dzieci…"[10]. Autor tych słów, szokujących dla wielu zwolenników równości i demokracji, nie waha się zarazem uznać, że największe dramaty, jakie rozgrywają się dziś w świecie, które w nieunikniony sposób szarpią i osłabiają rodzinę, „są w całości winą ojców". Im większa odpowiedzialność, tym większa wina. Tak było w Edenie; grzech pierworodny swe pochodzenie zawdzięcza Adamowi, choć potocznie mówi się o winie Ewy.

Nieprzemijającym historycznie zadaniem ojca jest przyjęcie na siebie odpowiedzialności. I to od tego obowiązku uchyla się dziś tak wielu mężczyzn. W ten sposób wprowadza się chaos w życie rodziny. Wierność powołaniu kobiety i mężczyzny, matki i ojca, jest najważniejszym remedium na upadek, osłabienie rodziny. Potrzeba odwagi, by wytrwać w tej wierności. Gdy ks. Jenkins nawołuje ojców, by dla zachowania własnego honoru i dla dobra własnej rodziny mieli odwagę rządzić, mimowolnie przypominają się słowa Pete'a Hegsetha do żołnierzy i dowódców amerykańskiej armii: miejcie odwagę pozostawać mężczyznami, bronić honoru żołnierza. W armii także obowiązuje hierarchiczny porządek i tylko dlatego może ona skutecznie bronić kobiet, dzieci, starców. Rodzin i państwa.

Góra, która może stać się wulkanem

G.K. Chesterton, pisząc o fenomenie odradzania się wiary chrześcijańskiej w historii naszej cywilizacji, odnajduje go także w historii odradzania się rodziny. Przypomina o jej niezniszczalności, opartej na Boskim założeniu. Dziś zwłaszcza, gdy próbuje się na wszelkie sposoby przeciwstawiać sobie dwie płcie lub dąży się do ich zunifikowania, prognozy angielskiego pisarza uderzają aktualnością.

„W żadnych innych społecznych relacjach nie ma niczego w jakikolwiek sposób porównywalnego ze wzajemnym przyciąganiem się płci. Nie rozumiejąc tego współczesny świat popada w setki szaleństw. Ideę powszechnej rebelii kobiet przeciwko mężczyznom ogłasza z flagami i pochodniami, jak rebelię wasali przeciwko panom, Murzynów przeciwko poganiaczom niewolników, Polaków przeciwko Prusakom czy też Irlandczyków przeciwko Anglikom; zupełnie tak, jakbyśmy naprawdę wierzyli w baśniowy ród Amazonek. […] Wszystkie inne rebelie są prawdziwe, bo zawsze dają możliwość zniszczenia lub przynajmniej oddzielenia się od tego, przeciwko czemu są skierowane. Można obalić kapitalistów, ale nie można obalić mężczyzn. Prusacy mogą opuścić Polskę, a Murzyni powrócić do Afryki, ale mężczyzna i kobieta muszą pozostać razem w taki czy inny sposób i muszą nauczyć się jakoś ze sobą żyć"[11].

[8] Ks. J. Jenkins FSSPX, „Honor ojca", „Zawsze wierni", styczeń 2010.

[9] Tamże.

[10] Tamże.

[11] G.K. Chesterton, op. cit.

eprasa.pl a3976d4b30

Pisarz podkreśla, że to właśnie prawdy najprostsze i najoczywistsze umykają uwadze wielu, a przez mędrków o głośnych nazwiskach są zwalczane i wyśmiewane; fantazje i baśnie zajmują umysły w o wiele większym stopniu niż kiedyś. Zanika myślenie w kategoriach celowości. Jeśli przyznaje się w końcu, że to natura stworzyła owo przyciąganie się płci, to rozważniej byłoby to nazwać, przypomina Chesterton, „zamiarem Boga, bo natura nie może mieć celu, chyba, że stoi za nią Bóg". Z wyraźną satysfakcją pisarz demaskuje absurdalność wysiłków zniszczenia rodziny, zwłaszcza gdy usiłuje się to zrobić na sposób „naukowy", czego doświadczamy. Ślady w rewolucyjnych umysłach, jakie zostawili Marks i Engels, odżywają niczym krwawe blizny. To ich właściciele usiłują dziś upaństwowić dzieci przez poddanie ich ideologicznej i psychologicznej obróbce od najmłodszych lat i chcą, by dorośli zajmowali się nie swoim własnym potomstwem, do czego rzekomo nie są zdolni, lecz abstrakcyjnym zbiorem wszystkich dzieci.

„Ten trójkąt truizmów – ojciec, matka, dziecko – nie może zostać zniszczony", wieszczy Chesterton. „Może on tylko zniszczyć te cywilizacje, które go lekceważą. Większość współczesnych reformatorów to po prostu bezgraniczni sceptycy, którzy nie mają na czym przebudowywać. Dobrze byłoby, gdyby uświadomili sobie, że jest coś, czego nie mogą zreformować. Można strącić władców z tronu, można obrócić świat do góry nogami i z pewnością wiele przemawia za tym, że byłoby to słuszne. Ale nie można stworzyć świata, w którym niemowlę nosi matkę…".

W tym kontekście uderzenie w rodzinę i w rodzicielstwo, jakie obserwujemy w naszym kraju – które osoba nowego marszałka Sejmu uczyni bardziej hałaśliwym – jawi się jako coś groteskowego, jak wyprawianie się z motyką na księżyc, bowiem, jak pointuje Chesterton, „ten ośrodek naturalnej władzy zawsze istniał pośród sztucznej władzy. Zawsze uznawano go za coś kompletnego, czego nie można tak naprawdę podzielić. […] Zawsze uważano, że relacja między rodziną a władzą jest szczególna, ponieważ rodzina była jedną z niewielu rzeczy, których władza nie stworzyła i do pewnego stopnia mogła zaistnieć bez jej wsparcia". Instytucja rodziny, „jednocześnie konieczna i dobrowolna", to kwintesencja i ostoja zarazem normalności. „[…] jest jak góra, ale taka, która w każdej chwili może stać się wulkanem. Każda nienormalność, która się jej przeciwstawia, jest jak kretowisko, a jej twórcy są nadzwyczajnie podobni do kretów".

Obecny system edukacyjny i socjalny usiłuje uczynić z rodziny jej odwrotność; tropi i karze rzekome niekompetencje i przestępstwa rodziców, wyrywa dzieci spod ich wychowawczej władzy, czyni z nich wrogów własnych rodziców. Rozpowszechnia z maniackim uporem mit, że „dziecko będzie z pewnością kochane przez wszystkich z wyjątkiem własnych rodziców; podobnie mężczyzna będzie szczęśliwy z każdą kobietą, tylko nie z tą, którą sam sobie wybrał za żonę". Dzisiejsza szkoła stała się laboratorium tego rodzaju przekonań i postaw.

Punkt zwrotny: Święta Rodzina

Rodzina jest nie do przyjęcia dla postmarksistów, bo nie ma w niej równych praw. Rodzina odzwierciedla bowiem porządek hierarchiczny, który nie pochodzi od żadnego człowieka, żadnego myśliciela czy ideologa. Solange Hertz podsumowuje wizję rodziny jako coś „nie z tego świata", choć zarazem dla tego świata będącego życiodajnym źródłem ładu i błogosławieństwem – jej zagłada oznaczałaby zagładę świata: „[…] chrześcijańska rodzina, czerpiąc swój hierarchiczny, monarchiczny autorytet od samego Syna Bożego, jest nadprzyrodzonym bytem politycznym istniejącym na tym świecie, a jednak wobec tego świata transcendentnym. Jest ona wieczną teokracją. Jej obywatele są nieśmiertelni. Obdarzona mocą pochodzącą »z góry« – jest niezniszczalna".

Rodzinę zwalcza się też jako „przeżytek epoki feudalizmu". Chesterton przypomina, że feudalizm zapewnił sobie lojalność rodzin, podczas gdy rządcy „nowego państwa niewolniczego będą się cieszyć jedynie lojalnością jednostek, to znaczy samotnych ludzi, a nawet zagubionych dzieci".

Od zarania swego istnienia rodzina, zmuszona do stawiania czoła niezliczonym przeciwnościom, począwszy od dzikich zwierząt i klęsk naturalnych, skończywszy na absurdalnych systemach politycznych, „przeżyła wówczas i dziś przeżyje tylko dzięki potężnej wewnętrznej świętości, cichej przysiędze czy poświęceniu, głębszym niż to wobec miasta czy plemienia. Jednak mimo że ta cicha obietnica była zawsze obecna, to w pewnym punkcie zwrotnym naszej historii przybrała ona szczególną formę […]. Tym punktem zwrotnym było powstanie cywilizacji chrześcijańskiej stworzonej przez chrześcijańską religię. Nic nie zniszczy świętego trójkąta rodziny, a nawet wiara chrześcijańska, najbardziej zdumiewająca rewolucja, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w umyśle, w pewnym sensie jedynie odwróciła ten trójkąt do góry nogami. W jej mistycznym lustrze kolejność została odwrócona, a do ludzkiej rodziny ojca, matki i dziecka została dodana święta rodzina dziecka, matki i ojca"[12]. ■

[12] G.K. Chesterton, „Zabobon rozwodu", op. cit.

eprasa.pl a3976d4b30

Małgorzata Matuszak



MIĘDZY PODSUMOWANIEM A NADZIEJĄ. O LUDZKIEJ POTRZEBIE ZACZYNANIA OD NOWA

Co roku wracamy do tego samego: próbujemy uchwycić własne życie w granicach podsumowań i planów na przyszłość. Ten rytuał, pozornie oczywisty, odsłania jednak głębszy paradoks: dlaczego potrzebujemy wyraźnego momentu przełomu, by spojrzeć na siebie z większą uczciwością? Dlaczego dopiero koniec skłania nas do poważniejszej refleksji nad tym, co było, oraz nad tym, co jeszcze może się wydarzyć?



edrasa.pl a3976d4b30

Koniec roku to moment, w którym człowiek dokonuje podwójnego ruchu: z jednej strony hermeneutycznego, interpretując przeszłe zdarzenia, a z drugiej projektującego, bo niemal równocześnie zaczynamy snuć wizję nadchodzących miesięcy. Ta granica między bilansem a nadzieją jest jednak czymś więcej niż roczną tradycją. To oś, wokół której obraca się ludzkie doświadczenie czasu. To przestrzeń, w której odsłania się nasza głęboka potrzeba rozpoczynania od nowa.

▶ Dlaczego umowny przełom staje się dla nas realny?

Choć przełom roku jest czysto umowny, nic przecież w świecie zewnętrznym nie zmienia się istotnie wraz z wybiciem północy, to właśnie ta arbitralność nadaje mu szczególną moc. Człowiek nie żyje bowiem jedynie w czasie astronomicznym, lecz także w czasie znaczeń: w rytmach, które sam ustanawia, i w cezurach, które pozwalają mu zobaczyć własne życie jako ciąg historii, a nie bezładny strumień zdarzeń. Potrzebujemy punktów cięcia, aby w ogóle uchwycić sens, by zrozumieć, gdzie jesteśmy, co się wydarzyło, co straciliśmy, a co ocaliliśmy. Nowy rok pełni tę rolę właśnie dlatego, że jest konwencją, dzięki czemu staje się przestrzenią wolności, nie przymusu. W kulturach tradycyjnych funkcję tę pełniły rytuały przejścia: inicjacje, oczyszczenia, momenty liminalne, w których życie symbolicznie zaczynało się na nowo. W zsekularyzowanym świecie, pozbawionym większości dawnych rytuałów, przełom kalendarzowy przejął ich funkcję, stając się świeckim, powszechnym rytuałem, który czasowo wyłącza nas z codzienności i pozwala spojrzeć na siebie z dystansu, jaki w innych porach roku trudno osiągnąć.

Nic w naturze nie podpowiada nam, że to właśnie wtedy powinniśmy dokonać bilansu. To my nadajemy temu momentowi rangę. W tej umowności kryje się jednak pewna prawda o nas: potrzebujemy instancji, która zatrzyma ciągłość i pozwoli nam dokonać interpretacji minionego czasu. Bez takiej symbolicznej cezury, choćby najbardziej arbitralnej, życie staje się jedną nieprzerwaną narracją, którą trudno uchwycić, uporządkować i w jakikolwiek sposób ocenić. Podsumowanie wymaga ramy, a kalendarz stwarza ją za nas, łagodząc ciężar konieczności samodzielnego wyznaczania początku i końca.

Najgłębszą funkcją tego przełomu jest jednak coś więcej niż porządkowanie czasu. Umowny „nowy początek" odpowiada na nasze poczucie niekompletności. Człowiek jest wszak istotą stale niedokończoną, świadomą własnych braków, pragnień i niespełnień. Nowy rok nie obiecuje realnej zmiany, lecz daje nam możliwość jej symbolicznego zapoczątkowania. To przestrzeń, w której możemy na nowo odczytać własną historię, przesunąć akcenty, nadać sens temu, co domaga się interpretacji, i zapytać o to, czy chcemy pozostać tacy, jacy dotąd byliśmy.

To, że przełom roku jest jedynie konwencją, nie czyni go jednak pustym. Przeciwnie, właśnie dlatego działa. Jako symbol pozostawia nam wolność. Nie zmusza do zmiany, lecz zaprasza. Nie narzuca nowej drogi, ale tworzy psychologiczną i etyczną przestrzeń, w której można ją świadomie wybrać. W tej symboliczności kryje się jego ludzki wymiar: przełom roku nie zmienia świata, ale pomaga nam zmieniać siebie.

▶ Podsumowanie jako praktyka etyczna i egzystencjalna

Filozofia hermeneutyczna od dawna podkreśla, że człowiek nie tylko istnieje w czasie, lecz także próbuje swój czas zrozumieć. W życiu człowieka nie chodzi o rejestr zdarzeń, a o ich interpretację. Jak zauważa Paul Ricoeur, tożsamość jest procesem narracyjnym, splataniem „byłem" z „jestem" i „mogę być". Podsumowanie jest więc próbą uchwycenia nici, która łączy nasze działania, zaniechania, wybory i błędy w pewną opowieść, a opowieść ta ma służyć nie idealizacji naszego życia, lecz jego oswojeniu – zobaczeniu siebie jako bohatera narracji, która nigdy nie jest ostateczna, ale zawsze domaga się dalszej interpretacji.

W podsumowywaniu zawiera się jednak coś więcej niż tylko praca nad tożsamością. Jest ono także aktem etycznym. Każde „udało się" i każde „nie zrobiłem" to forma konfrontacji z własnym systemem wartości. Człowiek ocenia nie tylko rezultaty swych działań, lecz przede wszystkim zgodność własnego życia z tym, co deklaruje. Bilans w tym sensie wpisuje się w świecką tradycję rachunku sumienia, pytamy w nim bowiem nie tylko o to, co się wydarzyło, ale przede wszystkim o to, dlaczego postąpiliśmy tak, a nie inaczej, i czy naprawdę chcieliśmy być tą osobą, którą byliśmy.

Ta refleksja etyczna splata się z jeszcze jednym wymiarem podsumowania: próbą odzyskania sensu. Współczesny świat – szybki, rozproszony informacyjnie, fragmentaryczny – łatwo rozbija ciągłość doświadczenia. W bilansie tkwi zaś rodzaj oporu wobec chaosu. Próbujemy nadać minionym wydarzeniom logikę, nawet jeśli obiektywnie jej nie miały. Domagamy się sensu tam, gdzie pozostały tylko rozproszone epizody, i próbujemy scalić to, co na co dzień pozostaje rozsypane.

To właśnie dlatego bilans bywa bolesny. Każda próba sensotwórcza musi bowiem zmierzyć się z tym, co niespełnione, z odłożonymi planami i niezrealizowanymi decyzjami, z relacjami, o które nie zadbaliśmy, i obietnicami, z których się wycofaliśmy. W tej

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a3976d4b30

konfrontacji odsłania się jednak właśnie głęboka wartość podsumowania – jest ono nie tylko próbą uporządkowania przeszłości, lecz także ćwiczeniem w uczciwości wobec samego siebie.

Co istotne, ta potrzeba sensu nigdy nie zatrzymuje się wyłącznie na przeszłości. W naturalny sposób kieruje nasz wzrok ku temu, co nadchodzi. Podsumowanie roku, nawet jeśli skupia się na tym, co było, zawsze niesie w sobie ukrytą orientację na przyszłość. W ten sposób refleksja nad minionym czasem przechodzi płynnie w obszar nadziei. Nadziei nie jako naiwnej wiary w lepszy los, lecz jako etycznej postawy wobec przyszłości, w której człowiek uznaje, że jego życie wciąż może zostać opowiedziane inaczej.

Nadzieja jako etyczna odpowiedź na przyszłość

Skoro bilans roku odsłania nie tylko to, co było, lecz także pęknięcia w strukturze naszych pragnień, to naturalne, że w jego cieniu budzi się nadziejność, subtelna dyspozycja ku temu, co może dopiero nadejść. Nadziejność jest przestrzenią ontologiczną – nie obiecuje rezultatów, ale podsuwa możliwość; nie przynosi pocieszenia, ale otwiera horyzont. Człowiek, który kończy podsumowanie, nie tyle zamyka miniony rok, ile zaczyna nasłuchiwać przyszłości. To właśnie z tej postawy wyłania się nadzieja, bardziej konkretna, bardziej zobowiązująca. Jeśli nadziejność jest wrażliwością na to, co możliwe, to nadzieja staje się decyzją, by to możliwe potraktować poważnie. Nie w sensie łatwego optymizmu, lecz jako etyczne zobowiązanie wobec przyszłości. Nadzieja wyrasta więc organicznie z podsumowania – tam, gdzie widzimy, kim byliśmy, zaczynamy także przeczuwać, kim możemy się stać.

Nie przypadkiem filozofia XX wieku tak intensywnie zajmowała się nadzieją. Ernst Bloch widział w niej siłę ukierunkowaną ku temu, co „jeszcze-nie-gotowe", co dopiero może zaistnieć. Nadzieja była dla niego energią twórczą, napięciem ku przyszłości, które nie tyle przewiduje, co konstytuuje możliwość. Hannah Arendt dodawała, że ludzkie działanie ma charakter inicjatywny, każdy czyn bowiem otwiera przestrzeń zdarzeń, które wcześniej nie miały prawa się pojawić. Człowiek działa wszak nie dlatego, że zna wynik, ale dlatego, że pragnie zapoczątkować to, czego dotąd nie było. W tej perspektywie nadzieja nie jest emocją, lecz postawą etyczną, odmową zgody na deterministyczną wizję świata, w której wszystko już zostało przesądzone.

Dlatego wypowiadając zdanie „przyszły rok będzie lepszy", nie dokonujemy radosnej prognozy, lecz formułujemy akt performatywny, deklarację: „To ja postaram się uczynić go lepszym". Nadzieja zakłada bowiem wolność, ale również odpowiedzialność za nią, i w tym sensie jest jednym z najbardziej wymagających stanów ducha. Człowiek, który ma nadzieję, już nie tylko interpretuje swoje dotychczasowe życie, lecz także projektuje przyszłe. Projektować zaś może tylko ten, kto uznaje własną zdolność działania.

Co istotne, nadzieja nie wynika z pewności. Przeciwnie, rodzi się w zetknięciu z niewiedzą, z tym, co niejasne, kruche, nieprzewidywalne. Człowiek mówi: „Spróbuję jeszcze raz" nie dlatego, że świat daje mu gwarancję, lecz dlatego, że bez tego gestu jego tożsamość ulegałaby zamknięciu. Nadzieja jest więc nie tylko otwarciem na przyszłość, lecz także ochroną ciągłości samego siebie. Jest odmową, by przeszłość była naszym ostatecznym kształtem.

Odwaga zaczynania od nowa

Zaczynanie od nowa nie jest prostą deklaracją zmiany, lecz formą głębokiej zgody na własną nieskończoność. W tym geście zawiera się przekonanie, że człowiek nie jest jedynie świadkiem własnego życia, lecz także jego współautorem. Dlatego przełom roku – ze swoją umownością, symboliką i rytualnym charakterem – pełni funkcję, której nie może wypełnić żaden pojedynczy sukces ani porażka. Przypomina nam, że sens nie jest nam dany raz na zawsze, lecz musi być stale tworzony, interpretowany i odzyskiwany. W tym znaczeniu coroczny powrót do punktu wyjścia nie jest powtarzaniem tego samego, lecz potwierdzeniem, że wciąż jesteśmy w ruchu. Że istnieje w nas siła, która każe nam zaczynać od nowa, nawet gdy nie mamy gwarancji powodzenia. I być może ta gotowość, kruche i jednocześnie niezłomne przeświadczenie, że przyszłość można zacząć jeszcze raz, najbardziej świadczy o tym, kim jesteśmy, o naszej zdolności do przemiany, ale przede wszystkim o naszej nieustającej wierze, że warto próbować dalej.

Potrzeba zaczynania od nowa nie jest zatem naiwnością, lecz głęboko humanistycznym gestem. Człowiek, który pragnie dać sobie kolejną szansę, mówi: nie jestem skończoną wersją siebie. Przełom roku, choć czysto umowny, staje się przestrzenią, w której oba ruchy splatają się w całość: rozumienie tego, co minione, i twórcze otwarcie na to, co możliwe. To właśnie między podsumowaniem a nadzieją rodzi się najciekawszy wymiar ludzkiej egzystencji: przekonanie, że choć nie wybieramy punktu startu, wciąż możemy wybrać kierunek. I że zaczynanie od nowa, tak często postrzegane jako słabość, jest jedną z najbardziej odważnych form bycia w świecie. ■

eprasa.pl a3976d4b30

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl a3976d4b30

Krzysztof Wołodźko



Inteligent i cham. O kłopotach z elitami

Jedna z naczelnych cech chamofobii polega na uczeniu społeczeństwa, głównie przez rozrywkę, pogardy wobec tych, którzy są niżej w hierarchii symbolicznej i ekonomicznej. Więcej: chamofobia, jako zjawisko kultury masowej, przyzwyczaja nas do myśli, że ci, którzy są wyżej w tych hierarchiach, mają prawo upokarzać, pogardzać, wyśmiewać tych, którzy są niżej. Jest to traktowane jako naturalne i oczywiste – a przy tym znika szacunek do człowieka jako człowieka – z Michałem Rydlewskim rozmawia Krzysztof Wołodźko.

Chamofobia – to się leczy?

Należałoby leczyć. To fobia, która szkodzi nam i jednostkowo, i wspólnotowo. Chamofobia nakłada się na inne podziały społeczne. To wszystko razem wzięte grozi przekroczeniem punktu krytycznego, po którym społeczeństwo się rozpadnie.

Chamofobię najkrócej można określić jako zbiór różnego rodzaju przekonań i wyobrażeń na temat ludzi ze wsi. Z jednej strony to podejście do ludzi ze wsi jako pozbawionych różnorakich miejskich obyczajów, jednoznacznie uznanych za cywilizowane. Najmocniej dotyczy to lat 60. XX wieku, czasów PRL-u, gdy nastąpiła wielka migracja ze wsi do miast. Z drugiej strony – czasów transformacji ustrojowej, przełomu lat 80. i 90., gdy powszechne były epitety: „ty wieśniaku!", „wieśniacki". Uderzały nawet w tych, którzy nie mieszkali na wsi, ale z różnych przyczyn nie doganiali ówczesnych trendów. To była metafora kogoś gorszego – mówiło się: „co za wiocha" itd.

Chamofobia empiryczna, związana ze społeczną migracją ze wsi do miast, zamieniła się w metaforę, szkodliwy stereotyp.

Epitety się zmieniły, problem pozostał?

Jesteśmy społeczeństwem, w którym wzajemne okazywanie sobie braku szacunku i uznania, chęć upokorzenia kogoś i wyśmiania służą podbudowaniu własnego ego, pokazaniu statusu społecznego lub majątkowego. Proszę zwrócić uwagę, jakimi koleinami toczy się ta nasza debata publiczna: „Nauczyciele? Nieroby!", „Hydraulik? A u mnie to fachowcy spieprzyli robotę!". Rzadko słyszy się słowa uznania wobec czyjegoś zawodu, pracy, pochodzenia. Żyjemy w świecie zmierzchu autorytetów, szanowanych figur społecznych.

Obok „wieśniaka", szczególnie w początkach transformacji, szalenie popularnym epitetem był „robol".

To się zazębia, słowo „robol" odnosi się do pracowników fizycznych, dotyczy osób, które – mówiąc dzisiejszym językiem – nie należą do klasy kreatywnej. III RP to czas apoteozy ludzi pracujących za biurkiem w wysokich szklanych biurowcach, praca fizyczna po 1989 roku została zdegradowana. Z jednej strony była

eprasa.pl a3976d4b30



FOT. ARCHIWUM MICHAŁA RYDLEWSKIEGO

Michał Rydlewski – doktor habilitowany, etnolog, filozof, literaturoznawca, medioznawca; pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego, autor m.in. „Scenariuszy kultury upokarzania. Studium z antropologii mediów" (Wrocław, 2019) oraz „Kultury upokarzania w mediach" (Wrocław, 2022). Publicysta „Nowego Obywatela".

reliktem socjalistycznej ideologii, z drugiej – przestała się kojarzyć z kapitalistycznym sukcesem.

Spora w tym, choć wątpliwa, zasługa polskiej inteligencji, która uwolniona od gorsetu poprzednich zależności, uznała, że będzie sama wyznaczać, kto ile jest wart. Wielkomiejska inteligencja uczyniła się jedynym arbitrem elegancji. Dzięki łatwemu dostępowi do opiniotwórczych środków przekazu przekonała ogół społeczeństwa, że to do niej należy aspirować, że to jej materialnie i symbolicznie najbardziej należy się dobre życie. Wdrapała się na szczyt hierarchii po plecach robotników, choć to oni byli siłą sprawczą ustrojowych przemian. To masy zwykłych ludzi, inspirowanych socjalnymi hasłami, z większych i mniejszych zakładów pracy – a nie dość wąska grupa inteligenckich solidarnościowych doradców – dały możliwość najistotniejszych ustrojowych zmian.

Mój ojciec był robotnikiem, który za Solidarność – jak to zawsze mówił – dałby sobie obciąć ręce. Po latach powiedział, że gdyby miał pojęcie, że tak to będzie wyglądało, to by się w ogóle do Solidarności nie przyłączał. On i wielu jego kolegów walczyli o wolność i demokrację, a nie o system ufundowany na neoliberalnym kapitalizmie, który ich ekonomicznie i symbolicznie zaorał. A ich godność najbardziej upokorzyli ludzie, którzy nieco wcześniej podawali się za sojuszników, doradców, towarzyszy walki o wspólną sprawę.

Inteligencja, jako grupa społeczna, wespół z robotnikami walczyła o wolność – wszyscy znamy ten pogląd. Po 1989 roku okazało się, że w przeważającej mierze zostawiła ludzi z fabryk na pastwę losu, wręcz ich zdradziła, oskarżając głośno, że nie są w stanie dostosować się do nowej rzeczywistości.

▶ Małomiasteczkowa czy wiejska inteligencja także znalazła się w trudniejszej sytuacji niż wielkomiejscy luminarze. Szczególnie gdy na prowincji przyszedł czas wielkiej likwidacji szkół, świetlic i bibliotek. Na arenę wkroczył nowy bohater – przedsiębiorca. Choć i tutaj szybko pojawił się podział na równych i równiejszych: właściciel szczęk na bazarze w średnim mieście znaczył o wiele mniej niż ludzie ze staro-nowych układów, którzy szybko wyrastali na rekiny biznesu.

Dzisiaj ślad tamtych podziałów nieźle widać w określeniu „Janusze biznesu". Nazywamy nim ludzi, którzy prowadzą biznesy po cwaniacku, kombinują, oszukują, biorą wszystko na fakturkę, omijają prawo, w tym prawo pracy. Budzi to niechęć społeczną, szczególnie gdy wiąże się z wyzyskiem, nieuczciwością wobec pracowników. Rzadko jednak odium „Januszy" spada na grube ryby, które niejedno mają za uszami, ale potrafią społecznie się wybielić, brylując na salonach.

To ma głębsze korzenie – pamiętamy drobnych przedsiębiorców z początku lat 90., którzy usiłowali sobie radzić (nie zawsze do końca legalnie) w pełnym chaosu prawnego i instytucjonalnego środowisku rynkowym. Oni uczyli się biznesu na własnych błędach, prowadząc turystykę handlową. A nad ich głowami byli ludzie inspirowani przez tajne PRL-owskie służby do zakładania swoich przedsiębiorstw. Doskonale dzisiaj wiemy, że jeszcze w latach 80. bez opieki służb większych biznesów nie dało się zrobić.

Wielkie kariery, od Jana Kulczyka po Mariusza Waltera, są dobrze opisane choćby przez Andrzeja Zybertowicza. Przekształcenia kapitalistyczne, dokonywane wespół ze służbami, chętnie przedstawiano jako teorie spiskowe czy „prawackie wymysły". Nie znam jednak żadnej przekonującej polemiki z pracami Zybertowicza, bo to są kwestie dobrze źródłowo udokumentowane. Tego rodzaju sukcesy biznesowe w mainstreamowej dyskusji publicznej sprowadzane były do indywidualnych umiejętności. Prawdę o strukturalnym zapleczu służb chowano głęboko w cieniu. Gdy do tego doszło ocieplanie wizerunku w postaci fundacji i bali charytatywnych, obraz zrobił się wręcz sielankowy.

Pamiętajmy o tym, bo łatwiej przychodzi nam potępianie czy wyśmiewanie drobnych przedsiębiorców,

eprasa.pl a3976d4b30

a na pobłażanie mogą liczyć wielkie postacie biznesu, działające nierzadko bardziej bezwzględnie i na znacznie większą skalę.

▶ Jest Pan autorem opublikowanego kilka lat temu tekstu „Chamofobia na ekranie. Mieszkańcy wsi jako ofiary swojego stylu życia" („Nowy Obywatel" nr 38(89) / wiosna–lato 2022), który pokazywał, jak wpływowe i opiniotwórcze media deformują dyskusję publiczną dotyczącą tzw. Polski B, ofiar transformacji. Wydaje mi się, że jest to tekst, którego kolejne części dałoby się pisać na bieżąco.

Chamofobia to struktura o długim trwaniu – niezależnie od tego, czy jest empiryczna, czy symboliczna. Jedna z jej naczelnych cech polega na uczeniu społeczeństwa, głównie przez rozrywkę, pogardy wobec tych, którzy są niżej w hierarchii symbolicznej i ekonomicznej. Więcej: chamofobia, jako zjawisko kultury masowej, przyzwyczaja nas do myśli, że ci, którzy są wyżej w tych hierarchiach, mają prawo upokarzać, pogardzać, wyśmiewać tych, którzy są niżej. Jest to traktowane jako naturalne i oczywiste – a przy tym znika szacunek do człowieka jako człowieka. Wtedy każdy pretekst jest dobry, by się pośmiać z prostaczków, ludzi nie zawsze głupszych, lecz gorzej znających mechanizmy i konteksty oczywiste i czytelne dla środowisk opiniotwórczych. Uważam, że tak opisywana chamofobia jest sednem polskich mediów od lat 90. do dziś. Przyswoiliśmy sobie, że tak można zachowywać się w stosunku do innych osób.

▶ Ktoś nam w tym pomógł.

Istnieje tzw. klasa szampańska, grupa celebrytów, gwiazd aktorstwa i dziennikarstwa, które uważają siebie za istoty lepsze, ponieważ osiągnęli sukces. Przy czym nigdy nam nie mówią, że ten sukces zawdzięczają także nader licznym koneksjom rodzinnym i towarzyskim. Dlatego uważam, że z punktu widzenia socjologicznego określenie „resortowe dzieci" jest istotne. Nie ze względów wartościujących, choć czasami i to jest zasadne, lecz dlatego, że tego rodzaju figura ma moc opisową. Jeśli spojrzymy na ludzi mediów, głośne nazwiska z mainstreamu, nie bez trudu spostrzeżemy, że wiele najbardziej opiniotwórczych postaci mnóstwo zawdzięcza swoim rodzicom, którzy robili kariery i wypracowywali lepszą pozycję startową dla swojego potomstwa jeszcze w PRL. A przecież my z reguły słyszymy od tych postaci i ich admiratorów, że wszystko zawdzięczają sobie i swoim talentom.

Tych elementów jest więcej. Kultura masowa bazuje na zapomnieniu, że aktor nie jest namaszczonym mędrcem ani świętym, że jego największy talent to gra, interpretowanie i modelowanie głosem i ciałem cudzych tekstów. Wybitnych aktorów, którzy rzeczywiście mają coś ciekawego i ważnego do powiedzenia o świecie, jest niewielu.

▶ Katolicy mówią, że łaska buduje na naturze. A kariery na historii?

To nic nowego. Coraz częściej dostrzegamy, że ci ludzie, gdy zabierają głos, tylko się ośmieszają. To, co mają do przekazania, jest straszliwie puste albo wpisuje się w hejterskie podziały. To są żenujące, karykaturalne wręcz wypowiedzi. Przypomnijmy sobie tylko pogaduszki o „Arbeit macht frei" Anny Muchy i Kuby Wojewódzkiego. Dobrze byłoby zapytać, czy po drodze coś się z nimi wszystkimi stało złego, czy byli tacy zawsze, a myśmy wcześniej tego nie widzieli, bo system medialny był tak skonstruowany, że trudniej było o krytykę.

Medialny, showbiznesowy Olimp tak naprawdę jest pusty. Tam nie ma żadnej ciekawej, pogłębionej refleksji, to w większości coraz gorszej jakości bon moty albo emocjonalne wyrzuty świadomości i podświadomości.

▶ Social media, przy wszystkich swoich wadach, okazały się narzędziem, które pozwala łatwiej pokazać tę pustkę?

Media społecznościowe rzeczywiście wiele zdziałały. Za sprawą tego, że są interaktywne, pozwalają – mimo wszystko – o wiele łatwiej niż niegdyś porównać wiele źródeł, wypowiedzi, sprawdzić konteksty. Stosunkowo nowy gatunek „commentary" jest nieraz znacznie ciekawszy od źródłowych wypowiedzi. Podobnie jak w przypadku filmów czy muzyki wypowiedzi ludzi spoza branży okazują się bardziej interesujące od głosu krytyków uwikłanych w różne zależności.

Na marginesie – w świecie social mediów też wiele się zmienia. Blisko dekadę temu znaczna część moich studentów chciała być influencerami, byli zachwyceni tym środowiskiem, jego rzekomym brakiem skorumpowania, niezależnością od systemu. Przestrzegałem ich przed tym, tłumacząc, że i tego rodzaju gwiazdy ulegną degradacji, że nie są to tak krystaliczne postaci, że wiele znaczy po prostu pieniądz. Słyszałem oburzone głosy, że to przecież są jedyne tak naprawdę niezależne media. Dzisiaj, po szeregu głośnych afer, i ta wiara wyciekła.

▶ Pogarda klasowa staro-nowej „szampańskiej kliki" często idzie z niechęcią do polskości, niezwykłymi wręcz kompleksami wobec własnego kraju, narodu.

To rzeczywiście sprzężone zjawiska. Zbyt wielu przedstawicielom klasy szampańskiej polskość koja-

eprasa.pl a3976d4b30

rzy się z obciachem, religią, wieśniactwem, światopoglądowym zacofaniem, wszystkim, co uważają za najgorsze. W to jest wbudowane wiele pogardy do własnego narodu, polskość jest biczowana – można o niej opowiadać, tylko przypominając o najgorszych kartach naszej historii.

Nie jesteśmy bezgrzeszni jako naród, ale środowiska opiniotwórcze, nadające ton naszym debatom w III RP od jej początków, przekraczały miarę w krytyce. Gdy się czyta „Gazetę Wyborczą", czyli medium, które ukształtowało przynajmniej dwa pokolenia polskich inteligentów, to nieustannie przebija tam ton zawstydzenia polskością, przedstawianie jej jako pewnej nienormalności, odstającej od wyabstrahowanych na potrzeby liberalnej i lewicowej dyskusji zachodnich standardów.

Za tym idzie przekonanie, że elitarność, prawdziwe elity powinny mieć mocno europejski charakter – polskość jako wartość sama w sobie trąci dla nich czymś obciachowym, anachronicznym. To stało się wyraźne po 1989 roku, a szczególnie mocne w 2004 roku, po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Wówczas mainstreamowe media uruchomiły narrację, że ten szczególny miks ludowości i polskości jest szczególnie toksyczny i szkodzi nam wizerunkowo. Najbardziej dostawało się religii katolickiej i disco polo, ale miało też swoje przełożenie na debatę o gospodarce, nauce i mediach. A przecież gdyby nasze oświecone elity domagały się także od Niemców, Włochów czy Francuzów utraty przaśniejszych elementów ich tożsamości, wzbudziłyby tylko szyderczy śmiech.

Powtórzę – ogromną rolę w tym procesie wyparcia się własnej tożsamości odegrała polska inteligencja. Ona wręcz do tego zachęcała, pogardzając wszystkim i wszystkimi, których zapisano do obozu nacjonalistów czy populistów. Dlatego, szczerze mówiąc, za znacznie ciekawszych uważam dziś konserwatywnych intelektualistów – wystarczy porównać eseistykę i publicystykę w „Teologii Politycznej" i „Krytyce Politycznej".

▶ Dodajmy dla porządku, że to „Krytyka Polityczna" wydała czytanego również przez prawicę Byung-Chul Hana.

Doszliśmy do punktu, w którym nawet część zwolenników postępu zaczyna dostrzegać, że na drogach do skrajnej emancypacji zagubiliśmy wspólnotę, zakorzeniające rytuały. Dlatego część analityków współczesnej rzeczywistości stara się na nowo pokazać pożytki z konserwatywnych elementów życia społecznego. Wśród nich jest Byung-Chul Han. A także Chantal Delsol, która mówi: emancypacja – tak, ale musi ona mieć swoją przeciwwagę, musimy wiedzieć, dokąd zmierzamy.

W tej sprawie widziałbym dużą rolę intelektualistów – powinni wskazywać dalekosiężne, wspólnotowe cele. Niestety, rodzima inteligencja nie jest zdolna tworzyć takich wizji. Nasi intelektualiści, szczególnie humaniści, tak daleko zabrnęli w posthumanizm, w coraz bardziej ezoteryczne i indywidualistyczne emancypacje, że kompletnie przestali być odpowiedzialni za wspólnotę.

▶ Martín Caparrós w swojej najnowszej książce, czyli „Tamte czasy. Raport z teraźniejszości", pisze, że cechą charakterystyczną naszej epoki stał się pewnego rodzaju funkcjonalny konserwatyzm, wynikający z nieufności do coraz bardziej wykluczających form postępu.

Sedno problemu brzmi: czy rewolucja konserwatywna będzie miała wymiar antykapitalistyczny. Postęp w wielu dziedzinach technologicznych wiąże się dzisiaj z regresem relacji społecznych. Słyszę to zmęczenie także wśród swoich studentów, pamiętam, jak mocno wybrzmiało, gdy czytaliśmy na zajęciach właśnie Byung-Chul Hana. A równocześnie pojawił się inny wniosek: trudno wyłączyć parcie na konsumpcję, na walkę o sukces, gdy cała rzeczywistość jest tak zdeterminowana.

▶ Wróćmy na moment do kosmopolityzmu elit. To nawet nie jest jego XIX-wieczna wersja, której nie sposób odmówić pewnych szlachetnych cech. Miks polonofobii i chamofobii bazuje raczej na kompleksach i przewinach naszych staro-nowych elit.

Myślę, że ich kosmopolityzm jest wynikiem resentymentu, źródłowo różnie nacechowanego poczucia wyobcowania, wykorzenienia z „tej strasznej polskości". Kłopot polega na tym, że na Zachodzie są potrzebni coraz częściej co najwyżej w roli pożytecznych idiotów, bo i tam zmieniają się trendy kulturowe, a Anglicy czy Francuzi nie potrzebują Polaków, żeby im mówili, jak być Europejczykami.

To ma konsekwencje polityczne. Boleśnie przekonał się o tym Donald Tusk, który zapewniał nas jeszcze niedawno, że w Europie nikt go nie ogra. Tymczasem już parokrotnie dowiedział się od najważniejszych geopolitycznych graczy, że nie jest ważny.

▶ Mam przy tym wrażenie, że tzw. liberalni politycy szybciej niż ich ideowe zaplecze zrozumieli, że za odrzucenie biało-czerwonych barw (przynajmniej w strefie decorum) płaci się w Polsce słoną cenę.

Inteligencja, jak widać, jest mało inteligentna. Wciąż beszta Polaków, że są nie tacy jak trzeba, że ma-

eprasa.pl a3976d4b30

ją krew za paznokciami; poucza, że wciąż musimy płacić za realne i wydumane przewiny. Nie mam jednak pewności, że premier uczy się na błędach – 1 sierpnia nie było go na obchodach Powstania Warszawskiego, 11 listopada nie było go w stolicy Polski.

▶ Kto pamięta Janusza Palikota i Kubę Wojewódzkiego wspólnie reklamujących w social mediach alkohol, ten lepiej uchwyci szerszy fenomen show-biznesu: przenikanie się mocno ogranych postaci, które my pamiętamy przede wszystkich z telewizji i łam liberalnych gazet z social mediami, atrakcyjniejszymi dla młodszych roczników. Wieczne młodziki objaśniają nam świat?

Mainstreamowe media sprzedały nam figury dyskursu, które rzeczywiście „wyjaśniają" masom świat. Infotainment w social mediach idzie jeszcze dalej, skomplikowane procesy polityczne i gospodarcze sprowadzając do prostych emocji. To jest zwykle narracja ironiczno-sarkastyczna, mocno tiktokowa: nie ma w tym za grosz analizy, za to świetnie się sprzedaje kpina, złość, szyderstwo. Spektakl zastępuje debatę.

Paradoks sytuacji polega na tym, że spychana do niszy dyskusja ekspercka wraca w mediach, które powstały jako połączenie starych i nowych form. Możemy zgadzać się lub nie ze strategią Krzysztofa Stanowskiego, ale jego Kanał Zero pokazał, że kilkugodzinne dyskusje na poważne tematy wciąż przyciągają odbiorców. Ludzie nie chcą w mediach tylko błaznów; chcą ekspertów, którzy potrafią się spierać na merytoryczne argumenty.

▶ Znana i modna jest teza, zwykle za sprawą popularyzatorów ludowej historii Polski, że przemoc klasowa, kultura upokarzania to dziedzictwo pańszczyźnianej historii, ewentualnie PRL-owskich hierarchii, ich przepoczwarzania w staro-nowe elity. Pytanie, czy tym sposobem nie rozgrzeszamy zbyt łatwo własnych czasów, obyczajowości kształtującej się w latach transformacyjnych?

Od początku obserwowałem pracę historyków i antropologów, której efekty zbiorczo nazywamy dziś ludową historią Polski. Interesujące było śledzenie tego, jak ten temat został wykorzystany w debacie akademickiej, a jeszcze częściej – publicystycznej. Impuls przyszedł ze Stanów Zjednoczonych. To słynna „Ludowa historia Stanów Zjednoczonych" Howarda Zinna.

Ludowe historie Polski – bo doczekaliśmy się mnogości ich ujęć – mają na celu pokazanie relacji władzy. Znamienne jest, że ten zwrot ludowy ma znaczny potencjał polityczny, który zostaje mocno wyhamowywany, im bliżej jesteśmy naszych czasów. Opowieść kończy się właściwie na 1989 roku.

Gdyby tę interpretację historii Polski pociągnąć dalej, okazałoby się, że ludem, o który tak bardzo troszczą się autorzy albo ściśle związani z obecnym obozem władzy, albo zdecydowanie antypisowscy, są pogardzani przez salony wyborcy prawicy.

▶ Tak zwany populistyczny elektorat?

Znam autora, który bardzo ubolewał nad cierpieniami ludu w dawnych wiekach, a przy mnie głośno krzyczał: „J**ać PiS!". Dlatego tak silna jest niechęć do opowiadania dalszego ciągu ludowej historii Polski, bo szczególnie od czasów transformacji staje się ona poznawczo mocno niewygodna dla przytłaczającej większości liberalnej i lewicowej inteligencji. Godny obrony jest lud, który dawno leży w ziemi. Żywi ludzie są zbyt kłopotliwi – źle głosują, wciąż są zbyt religijni, nadto konserwatywni, antyimigranccy.

Jest jednak duży plus z ludowej historii Polski, który daje ważny efekt tożsamościowy – ludzie dotąd myślący tylko o społecznym awansie, zaczęli odkrywać swoje korzenie, przyglądać się swoim babciom i dziadkom. Dostali sygnał, że przeszłość nie jest wstydliwa, nawet jeśli pochodzi się z ludu.

▶ „Typowy polski inteligent, gardzący religią chrześcijańską, a szczególnie jej ludową wersją, uwielbia w internecie poinformować o podsłuchanych przez siebie strzępkach rozmów, najczęściej na cmentarzu we Wszystkich Świętych. W ogóle zrobiła się jakaś moda na podsłuchiwanie innych ludzi, by wyłowić jakieś sformułowanie i inteligencko zinterpretować językowy obraz świata. Szkoda, że nie potrafi zobaczyć tej ulotnej chwili misterium nad grobami bliskich" – to cytat z jednego z Pana ostatnich tekstów, poświęconego awersji pewnego grona osób do ludowej religijności. Co luminarzy postępu tak denerwuje w obrzędowości na pograniczu sacrum i profanum?

Polski inteligent jest ukształtowany przez oświeceniowe wzorce, wedle których wszystko, co nie jest rozumem, musi uchodzić za jakąś aberrację. Rozumem postrzeganym zresztą w coraz bardziej zredukowany sposób. A to powoduje, że fenomeny, utożsamione choćby z ludem, traktowane są jako pole inteligenckiej misji. Tyle że to już nie jest szlachetna misja emancypacyjna, pragnienie wydźwignięcia ludu z nędzy, lecz coraz bardziej opresyjna ochota, by zmoder-

eprasa.pl a3976d4b30

nizować społeczeństwo na swój obraz i podobieństwo. To wszystko oparte jest na znanych kliszach: wyszukuje się choćby niechętne mniejszościom seksualnym wypowiedzi kleru.

Inteligenckie postrzeganie wsi jest pełne stereotypów, mocno grających na dychotomii zacofanie–postęp. Nieufnie postrzegane jest przywiązanie do ziemi i religii, wiejska obyczajowość, traktowana jako patriarchalna, źle jest widziany ludowy patriotyzm. Bardzo długo rodzima inteligencja jako przeciwwagę dla tych wzorców przedstawiała neoliberalne normy, ignorując lub bagatelizując opresyjne elementy systemu, który powstał na gruzach ustrojowych przemian. Polscy inteligenci to agenci wpływu bardzo agresywnej wersji kapitalizmu.

▶ Specyficznym przejawem współczesnej kultury masowej jest tzw. kultura upokarzania i zawstydzania. Zaczęło się z pozoru niewinnie od słynnego reality show „Big Brother"; format przeniósł się później na rajskie wyspy przypominające mieszaninę panoptikonu i sekt. Z roku na rok zaczęło przybywać najróżniejszych talent show, gdzie zupełni amatorzy poddawani są bezwzględnej ocenie przez starych wyjadaczy z show-biznesu. Po latach dziwimy się, że dzieci mają niską samoocenę, a młodociane grupy rówieśnicze przypominają bezwzględną dżunglę, do której dorośli nie mają wstępu.

Telewizja, szczególnie od lat 90., zaczęła mocno promować określone wzorce społeczne: kim należy być, jak warto się zachowywać, jakie opinie wyrażać, by uciec od piętna wieśniaka czy ciemnogrodu. Z czasem programy typu talent show, o strukturze konkursowej, bazujące również na pewnej „zamianie światów", typu „Damy i wieśniaczki", pod płaszczykiem rozrywki zaczęły jasno pokazywać nowe hierarchie. Ich głównym wyznacznikiem stał się materialny dobrobyt, przeciwstawienie nowoczesnego miasta zapóźnionej wsi. Jasno dostrzec można pozawerbalny przekaz: wieśniaczka musi zmienić swój styl życia, bogata jest wzorem osobowym, reprezentantką lepszego świata. Dychotomia biedny dom – bogaty dom zastąpiła w większości mediów bazujących na rozrywce właściwie całą dyskusję o społecznych wartościach.

▶ Parafrazując klasyka: Toto, chyba nie jesteśmy już w świecie „Wielkiej Gry".

[śmiech] Zdecydowanie, nie jesteśmy.

Na tym nie koniec przemian – moi obecni studenci zostali już wychowani w świecie internetu, w rzeczywistości social mediów. Ich bohaterowie nie biorą się już na ogół z telewizji. Trend kulturowy pozostał – szczęście to kwestia dobrobytu i sukcesu materialnego. To kapitalistyczna opowieść, wynikająca z tego, że pieniądz jest gwarantem dobrego życia. Moi studenci, gdy z nimi rozmawiam, nie wyobrażają sobie życia w biedzie, bo w naszych realiach oznacza to, że byliby nieszczęśliwi i niespełnieni. Mój kolega, Dominik Lewiński z Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego, napisał świetny tekst na podstawie badań opartych na rozmowach ze studentami naszej uczelni: „Bycie przegrywem to bycie biednym". Tyle że ludzi wciąga to w kierat, z którym nie wszyscy sobie radzą.

▶ Pytanie, jak Pana studenci definiują biedę. Czy to ubóstwo mierzone ekonomicznie, czy raczej poczucie, że się nie ma na iPhone'a, rzadziej można wyjeżdżać za granicę, bez przeszkód bywać na mieście? Nie neguję oczywiście, że część studentów jest realnie mało zamożna.

Rozumienie biedy dobrze widać po rocznikach. Gdy byłem na studiach magisterskich, wydawało się oczywiste, że nie ma się zbyt wiele pieniędzy na rozrywki. Priorytetem była nauka, studia były inwestycją – język produktywności towarzyszy przecież polskiej edukacji od dawna. Nie było chyba jednak tak wielkiego poczucia, że tu i teraz jako studenci musimy mieć na wszystko, czego dusza zapragnie. Dzisiaj do pracy chodzą wszyscy moi studenci na dziennych. Gdy pytam, dlaczego kosztem nauki decydują się na pracę zarobkową, odpowiadają często: potrzebujemy na dobre życie. A to jest zabawa, konsumpcja, podróże…

▶ Brzmimy jak dziadersi?

Mówimy o trendach społecznych i kulturowych. Nie jestem szaleńcem, nie powiem nikomu: „Bądź trochę biedniejszy, ale w zamian za to może więcej przeczytasz, lepiej wypoczniesz" albo „Skup się na studiach, bo za pięć lat dzięki temu będziesz miał lepszą pozycję na rynku pracy".

Wrócę do mediów społecznościowych. To one w dużej mierze przyniosły zmianę, wdrukowały ludziom pragnienie czy wręcz żądanie: chcemy nagrody tu i teraz. Trudno mi obwiniać studentów – oni są odbiciem systemu coraz bardziej cyfrowego kapitalizmu, w którym jako tryby funkcjonujemy. Nawet jeśli mają przebłyski, że coś z tym jest nie tak, to ideowo i politycznie są osadzeni w pewnych sztampach. Mam poczucie, że to pokolenie bardzo samotne, uciekające w siebie, coraz bardziej przestraszone i rozczarowane rzeczywistością i tym, co się wokół dzieje. A równocześnie jest to pokolenie z dużymi oczekiwaniami, których – jak zaczynają się domyślać – pewnie już nie zrealizują. ■

eprasa.pl a3976d4b30

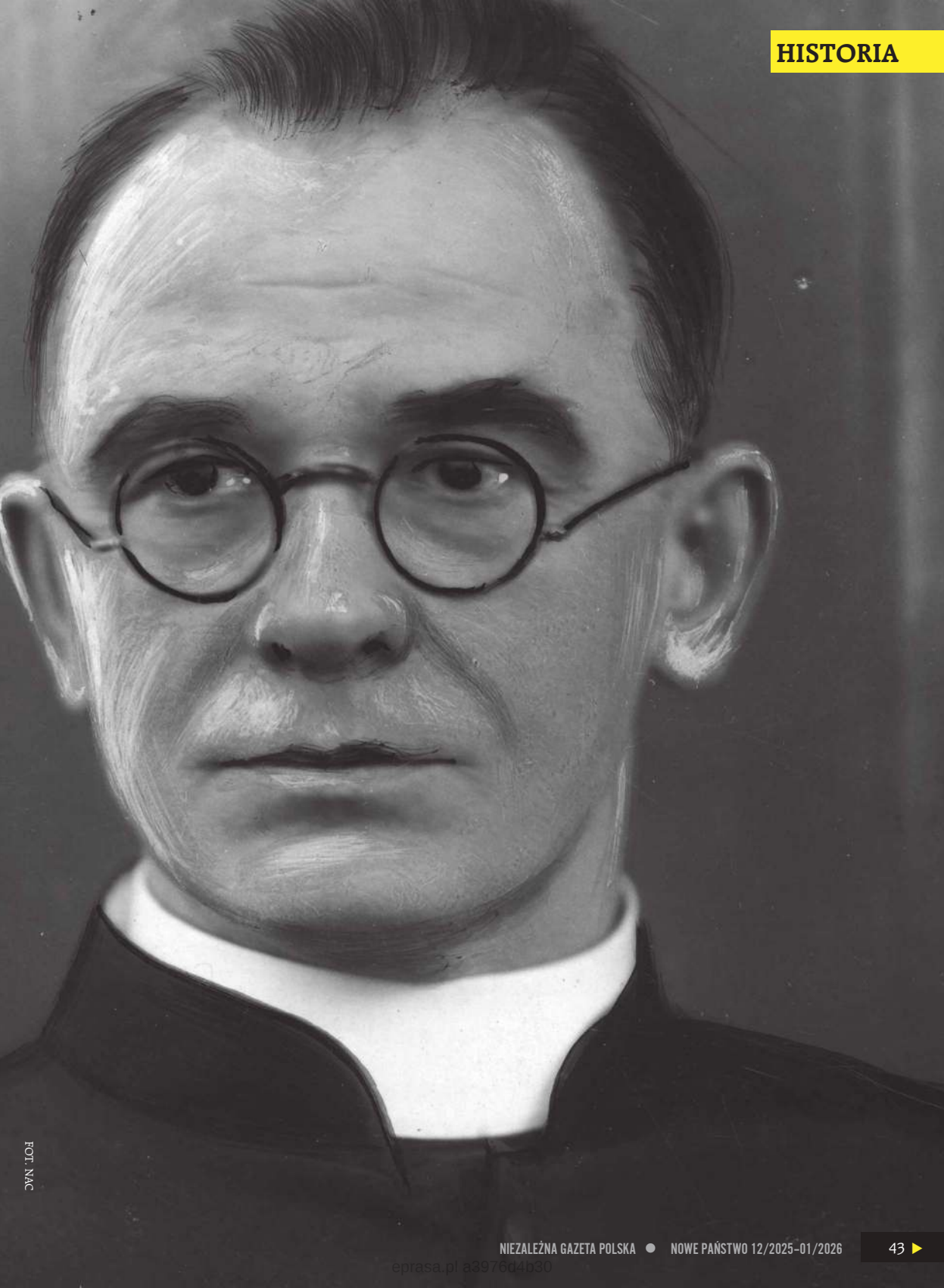
Walczył o polskość i los biednych. Niemcy wysłali wspaniałego księdza do gazu

Piotr Lisiewicz



Z Danii do Polski przywiózł ks. Antoni Ludwiczak ideę uniwersytetów ludowych, podnoszących biednych na wyższy poziom i budujących ich patriotyczną świadomość. Niemcy nie wybaczyli polskiemu księdzu zwycięstwa powstania wielkopolskiego, którego był kapelanem. Oraz zaangażowania w walkę o polskość Śląska i Warmii. Nie pomógł mu ogromny szacunek na świecie. W 22 lata później Niemcy wysłali go do komory gazowej.

eprasa.pl a3976d4b30



FOT. NAC

eprasa.pl a3976d4b30

Tego tekstu nie mogłem nie napisać, bo poznałem Pana Adama Piernika z Kostrzyna Wielkopolskiego. Przyjeżdżał wraz z synem na manifestacje przeciwko nielegalnemu przejęciu TVP przez koalicję 13 grudnia w Poznaniu. Wymieniliśmy się numerami telefonu i odtąd co jakiś czas Pan Adam do mnie dzwonił i relacjonował mi, co z jego akcją na rzecz upamiętniania ks. Antoniego Ludwiczaka, który urodził się w Kostrzynie. Często zżymał się na bezduszność i brak wiedzy urzędników, którzy nie rozumieli wagi sprawy.

Przyznaję się bez bicia, że części telefonów od Pana Adama nie odbierałem, bo zawalony byłem robotą w Telewizji Republika czy „Gazecie Polskiej". A tu wydzwaniał do mnie człowiek, dla którego najważniejszą sprawą jest upamiętnienie księdza w małym Kostrzynie. Aż wreszcie poczytałem o ks. Antonim i pojąłem w lot, dlaczego to jest najważniejsza sprawa. „Życie i działalność księdza Antoniego Ludwiczaka to gotowy scenariusz na film o pracy organicznej, patriotyzmie i niezłomności" – napisano na stronie Radia Głos i w pełni podzielam tę opinię. „Zapalał światła w mroku, budował życie polskie…" – to tytuł książki Barbary Dąbrowskiej o niezwykłym księdzu.

Syn zubożałego chłopa czyta polskie książki

Ksiądz Antoni Ludwiczak urodził się 16 maja 1878 roku w Kostrzynie Wielkopolskim. Był jednym z dziesięciorga dzieci Jana, robotnika drogowego, i Salomei, z domu Pawela. Jak pisze Tomasz Maliszewski: „Rodzina żyła w bardzo trudnych warunkach (o czym może świadczyć fakt, iż jedynie on z dwoma braćmi dożyli pełnoletności), jako że wcześniej Jan Ludwiczak stracił za długi ojcowiznę we wsi Węgierki k. Wrześni" (artykuł „Wyższe szkoły ludowe w koncepcjach pracy oświatowej ks. Antoniego Ludwiczaka", „Studia Edukacyjne", nr 29/2013).

Gdy miał trzy latka, rodzina przeniosła się do Poznania, gdzie ojciec został kościelnym w poznańskiej katedrze na Ostrowie Tumskim. Młody Antek od szóstego roku życia uczęszczał – w latach 1884–1891 – do szkoły ludowej w podpoznańskiej – wtedy – Śródce. Nauka odbywała się w języku niemieckim. Jednak już w 1887 roku – dzięki lokalnej bibliotece Towarzystwa Czytelni Ludowych (TCL) – uzyskał możliwość regularnego kontaktu z literaturą polską. „Czytanie polskich książek stało się jego wielką pasją, a z samym Towarzystwem, jak się wkrótce okazało, związał się wówczas na niemal całe życie" – pisze autor. Pomimo oczytania, jako syn zubożałego chłopa Antek miałby marne szanse na zdobycie wykształcenia. Na szczęście, uznany za wyjątkowo zdolnego i pracowitego, trafił, dzięki ks. Witalisowi Maryańskiemu, na listę stypendystów poznańskiej katedry. Dzięki temu znalazł się w gimnazjum.]

Przywódca strajku szkolnego

W czasie nauki w gimnazjum, nazywanym wtedy Königliche Marien-Gymnasium, czyli Królewskim Gimnazjum Maryi w Poznaniu, którego kontynuacją jest dziś Liceum św. Marii Magdaleny, był założycielem polskiego, konspiracyjnego, samokształceniowego Towarzystwa Tomasza Zana. „Działo się w czasach najostrzejszej germanizacji na obszarze zaboru pruskiego, i w jego katolickiej szkole, w której większość stanowiła młodzież polska, we wszystkich klasach, były tygodniowo 54 godziny lekcji języka niemieckiego, 130 języka łacińskiego, 72 języka greckiego, 38 języka francuskiego i … 28 godzin nauki języka polskiego. Językiem nauczania był oczywiście niemiecki" – czytam w książce „Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945" autorstwa Wiktora Jacewicza i Jana Wosia.

W latach 1900–1903 ks. Ludwiczak odbył studia teologiczne. Najpierw teoretyczne w Seminarium Duchownym w Poznaniu, a następnie praktyczne w Seminarium Duchownym w Gnieźnie. Święcenia kapłańskie otrzymał w Gnieźnie 15 grudnia 1903 roku. Pracował jako wikariusz w Lubaszu koło Czarnkowa (1904 – VIII 1907), Buku (IX 1907 – II 1908), Ostrzeszowie (III 1908 – II 1910) i Ostrowie Wielkopolskim (II 1910 – XII 1911).

W Wielkopolsce dochodziło wtedy do wielu strajków dzieci szkolnych przeciwko germanizacji, z których najsłynniejszym był strajk dzieci wrzesińskich. Podczas strajku z lat 1906–1907 ksiądz Antoni Ludwiczak kierował buntem szkolnym polskich dzieci w Lubaszu. W Ostrowie Wielkopolskim zaangażował się w prowadzenie ogródków jordanowskich dla dzieci i założył pismo „Przyjaciel Dzieci".

Pod czujnym okiem szkopskiej policji

Jako że sam w dzieciństwie przeżył dramat skrajnej biedy, w bardzo ważnym szkicu na temat ks. Piotra Skargi cytował legendarnego kaznodzieję wyznaczającego porządek pomocy ubogim: „Pierwej odprawować mają chore, aniżeli zdrowe; pierwej te, co dla samego nieszczęścia zubożeli, niźli te, które same są przyczyną doli; pierwej te, co mają siła dzieci, niźli te, co nie mają […]; pierwej te, które dobrze żyli, niźli te, co źle". Pisał o wielkości ks. Skargi: „Wielkość każdego pracownika społecznego pokazuje się dopiero wtenczas, jeśli umie dzieło swoje tak utrwalić, że ono przetrwa założyciela swego".

eprasa.pl a3976d4b30

Patronował Katolickim Towarzystwom Robotników Polskich, zakładał biblioteki ludowe, propagował spółdzielczość. Wspierał także amatorski ruch artystyczny, lokalne teatry czy organizację muzeów regionalnych. Aktywność księdza w latach 1910– 1918 była pilnie śledzona przez pruską policję. Sporządzono o niej szczegółowe raporty do zaborczej władzy.

Podczas I wojny światowej, która wybuchła w 1914 roku, założył polską gazetę dla Polaków powołanych do służby w Armii Cesarstwa Niemieckiego. Rozpoczął akcję „Książka polska w polu dla polskiego żołnierza". Skala przedsięwzięcia była ogromna. Na front i do szpitali wojskowych czy obozów internowania i obozów jenieckich rozesłano 61 tys. książek, w tym książki do nabożeństwa, dziesiątki tysięcy obrazków religijnych, 191 tys. egzemplarzy gazet i czasopism. Ksiądz Ludwiczak współpracował też z organizacją Czerwonego Krzyża. „Być może z polską sekcją Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, powstałą w 1915 w Genewie, bowiem Niemcy nie udzielali zgody na powstanie polskiego oddziału Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Mimo tego poznańscy lekarze prowadzili konspiracyjne kursy sanitarne i szkolenia – od 1915 także w ramach Poznańskiego Komitetu Ratunkowego, na którego powstanie Niemcy zgodę dali" – piszą Jacewicz i Woś.

wanej przez członków Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". Od tej pory stanowiła ona przejaw polskiej władzy w miasteczku i stała się zalążkiem polskiego wojska. Niemcy, mimo wycofywania się z Warszawy, nie mogli się długo z tym pogodzić. Jeszcze 20 listopada 1918 roku do Pniew wkroczyła niemiecka żandarmeria z Międzychodu, w poszukiwaniu broni gromadzonej przez Straż Ludową. Konspiracja zadziałała – żandarmi nic nie znaleźli i wyjechali.

Ksiądz Antoni Ludwiczak, otrzaskany w boju o polskość Wielkopolski, został skierowany przez polski rząd do walki o polskość innych dzielnic. 12 marca 1920 roku został mianowany przez ministra spraw zagranicznych przewodniczącym Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego. 2 maja 1920 roku zorganizował w Poznaniu w Teatrze Wielkim koncert, którego celem było przyjście z pomocą finansową rodakom Warmii i Mazur. Niestety, mimo ogromnego zaangażowania, plebiscyt zakończył się przegraną. Następnie ks. Antoni współtworzył w Poznaniu Komitet Obrony Górnego Śląska. W listopadzie 1919 roku zorganizował dla Ślązaków kurs bibliotekarski w Biedrusku koło Poznania.

> ODCZAS I WOJNY ŚWIATOWEJ, KTÓRA WYBUCHŁA W 1914 ROKU, ZAŁOŻYŁ POLSKĄ GAZETĘ DLA POLAKÓW POWOŁANYCH DO SŁUŻBY W ARMII CESARSTWA NIEMIECKIEGO. ROZPOCZĄŁ AKCJĘ „KSIĄŻKA POLSKA W POLU DLA POLSKIEGO ŻOŁNIERZA".

Polska Wielkopolska, Śląsk i Warmia

Jesienią 1918 roku duchowny wszedł w skład konspiracyjnego Komitetu Obywatelskiego w Pniewach. Podobne struktury powstawały w całej Wielkopolsce. Ksiądz Ludwiczak został łącznikiem z tajnym Międzypartyjnym Komitetem Obywatelskim, powstałym w Poznaniu, w którym byli także polscy posłowie do Reichstagu.

Po tym, jak 11 listopada Józef Piłsudski przejął władzę w Warszawie, 17 listopada Komitet Obywatelski w Pniewach ujawnił się i przekształcił w Radę Ludową – na wzór Naczelnej Rady Ludowej NRL powstałej w Poznaniu. Ksiądz Antoni Ludwiczak stanął na jej czele. Było to o tyle ważne, że w mieście powstała równocześnie Rada Żołniersko-Robotnicza, z niemiecką większością.

Rada Ludowa, kierowana przez ks. Ludwiczaka, doprowadziła do powstania Straży Ludowej, zorganizo-

Niemcy… rozwiązali się

„Miasto mego dzieciństwa, odległego czaru/ jaki się kiedyś w grudniu począł od Bazaru/ dniem, co jeszcze w pamięci, którą ból przesłania,/ żyje z dzisiejszej dali i nieobecności –/ tamto było jak pierwsze poszumy wolności/ ciągnącej ulicami w sztandarach powstania,/ budującej to szczęście, z któregom dowoli/ żył, aż je utraciłem. Nic bardziej nie boli" – pisał o powstaniu wielkopolskim na wygnaniu w czasach komuny poeta Aleksander Janta-Połczyński. Wiersz ten pokazywał, czym stały się tamte wydarzenia dla całego pokolenia Wielkopolan.

Gdy powstanie wybuchło, także w Pniewach zorganizowały się oddziały powstańcze, które wzięły udział w bitwach w okolicy Międzychodu, wyzwalając znany z pięknych jezior Sieraków i walcząc pod Kamionną, Kolnem i Zbąszyniem. Ksiądz Antoni Ludwiczak także wyruszył w pole jako kapelan powstania.

Choć Wielkopolska była wciąż formalnie częścią Niemiec, ksiądz został delegatem na Polski Sejm

eprasa.pl a3976d4b30

Dzielnicowy, obradujący od do grudnia 1918 roku w Poznaniu. Wyraził on wolę powstania zjednoczonego państwa polskiego z dostępem do morza. Uznał też Naczelną Radę Ludową w Poznaniu za jedyną legalną władzę Polaków w Niemczech. A 20 grudnia 1918 roku rada w Pniewach, kierowana przez ks. Ludwiczaka, stała się jedyną władzą w miasteczku, gdyż zdominowana przez wycofujących się Niemców Rada Żołniersko-Robotnicza się rozwiązała.

Ksiądz poseł

Po odzyskaniu niepodległości ksiądz Ludwiczak wszedł na krótko do świata wielkiej polityki. W 1919 roku został prezesem Narodowego Stronnictwa Ludowego i posłem na Sejm, co w owych czasach nikogo nie dziwiło. Był przewodniczącym sejmowej komisji oświaty. Ale po dwóch latach wycofał się z życia politycznego, by poświęcić się dziełu swojego życia – uniwersytetom ludowym. „Kierunek wychowawczy projektowanej akademii ma być idealistyczny, dążyć będzie do podniesienia umysłowego i moralnego wychowanków. […] Głównymi przedmiotami będą: język ojczysty, historia, literatura, przyroda, rachunki, gimnastyka" – pisał.

Ich idea stała się znana w Polsce już wcześniej, pod zaborami, pierwsze takie uniwersytety, do których inicjatorów należał ks. Ludwiczak, powstały w zaborze pruskim w 1890 roku, jednak przypominały bardziej kursy rolnicze. W artykule na stronie Radia Głos czytamy: „Na ziemiach polskich, będących pod zaborami, idea ta trafiła na niezwykle podatny grunt, choć została w specyficzny sposób przetworzona i dostosowana do naszej wrażliwości narodowej. Polscy pionierzy ruchu dostrzegli w duńskim modelu potężne narzędzie do walki z duchowym i społecznym pęknięciem. Jak trafnie zauważył Ch. Brunn już w 1878 roku, chrześcijaństwo i ludzkie życie duchowe zaczęły się od siebie oddalać, idąc każde w swoją stronę. Polskie uniwersytety ludowe miały za zadanie to rozejście skleić – połączyć wiarę z codzienną pracą, kulturą i patriotyzmem".

Środek do celu

„Dla wielu wielkopolskich społeczników pierwszych dziesięcioleci XX wieku działalność na niwie oświatowej była nie celem, a środkiem do celu. Tym zaś było ukształtowanie nowego typu człowieka – upodmiotowionego obywatela, współuczestniczącego w kulturze, społecznie zaangażowanego i budującego wraz z innymi prawdziwą wspólnotę obywatelską" – pisze Tomasz Maliszewski.

Przełomowe dla budowania uniwersytetów ludowych w niepodległej Polsce przez ks. Ludwiczaka były podróże do Danii. Pierwsza okazja nadarzyła się w listopadzie 1921 roku, zaledwie miesiąc po otwarciu jego pierwszej szkoły. Latem kolejnego roku wizytował czołowe duńskie uniwersytety ludowe w Askov, Rens, Vallekilde, Frederiksborgu i Lyngby. Uznał, że polski uniwersytet ludowy nie powinien być szkołą zawodową. „Stał na stanowisku, że najpierw należy podnieść poziom umysłowy i moralny człowieka, obudzić w nim ducha idealizmu, a dopiero na takim fundamencie budować wykształcenie fachowe. Szkoły zawodowe, jego zdaniem, bez odpowiedniej podbudowy etycznej, przyczyniały się jedynie do materializacji życia" – czytamy na stronie Radia Głos.

„Przekuć nam trzeba miecze na pługi"

„Dwa lata nosiłem się z tą myślą (utworzenia uniwersytetu ludowego), a pierwszy raz wystąpiłem na zebraniu komitetu ku uczczeniu Tadeusza Kościuszki, utworzonego przy Radzie Narodowej, kiedy to powstała kwestia, pod jakim hasłem zbierać składki. Po zebraniu, idąc z panem Powidzkim, rzuciłem mimochodem, że ja wiedziałbym, na co pieniądze obrócić, i wspomniałem o duńskich uniwersytetach ludowych. Pan Powidzki był w Danii, znał te instytucje" – pisał ks. Antoni w książce „Uniwersytety ludowe w Polsce".

Realizacja marzeń ks. Ludwiczaka nastąpiła w Dalkach koło Gniezna. Ksiądz wybrał zrujnowany dworek otoczony dużym parkiem. Budynek wymagał kapitalnego remontu, ale udało się znaleźć na to środki podczas publicznych zbiórek w święto 3 maja. „Tradycyjnym zwyczajem zwracamy się w dniu 3. Maja do społeczeństwa o doroczną ofiarę na cel dziś bodaj najważniejszy: na oświatę społeczeństwa… Wczoraj jeszcze gotowi byliśmy złożyć życie swe i całe mienie na ołtarzu ojczyzny. Dziś, gdy zwycięski oręż polski wykreślił już granice Rzeczypospolitej, przekuć nam trzeba miecze na pługi, trzeba nam pracować szczególnie nad wewnętrznym odrodzeniem ojczyzny przez oświatę. Dziś nikt od nas ofiary z życia nie żąda, lecz ofiary stokroć mniejszej z mienia naszego" – apelował o wpłaty w gazetowym ogłoszeniu. Ze znakomitym skutkiem.

4 października 1921 roku prymas Polski kardynał Edmund Dalbor poświęcił budynek i otworzył pierwszy w Polsce uniwersytet ludowy. „Otwarcie Uniwersytetu Ludowego w niepodległej Polsce zmieniło cel z umocnienia w słuchaczach polskości i uodpornienia przeciwko wynarodowieniu, na kształtowanie cech, które by w szkole życia przygotowywały do wzorowego wypełniania powinności wobec narodu i państwa" – przemawiał ks. Ludwiczak.

eprasa.pl a3976d4b30

Nauczyciel premiera Mikołajczyka

Program nauczania wypracowany w Dalkach stał się wzorem dla innych placówek. Ksiądz Ludwiczak uznał, że nie wystarczy w nich jedynie „chrześcijański duch" przenikający inne przedmioty. Wprowadził religię jako odrębny przedmiot nauczania, obejmujący apologetykę, dogmatykę i teologię moralną. „Realizowano ją w wymiarze dwóch godzin tygodniowo, a wykładowcy mieli za zadanie przemawiać »żywym słowem«, porywając słuchaczy" – czytamy na stronie Radia Głos. Były tam organizowane także szkolenia bibliotekarskie.

Jego myśli bliźniaczo przypominały idee Jadwigi Zamoyskiej: „Wykształcenie, jakie daje się w Wyższych Szkołach jest ogólnopodstawowe, aczkolwiek w niektórych zakładach uwzględnia się także wykształcenie zawodowe. Celem szkół ma być przysporzenie krajowi dzielnych, światłych obywateli […], młodzieniec, który posiądzie gruntowne wykształcenie ogólne, będzie również dzielnym w swoim zawodzie i będzie potrafił wydoskonalić się w tem, co mu daje utrzymanie".

Ksiądz Ireneusz Juszczyński tak pisze o ich rozwoju: „Przy współudziale księdza Ludwiczaka, wykupiono w Zagórzu koło Gdyni budynek hotelu i tam 15 kwietnia 1926 r. zaczął kursy Uniwersytet Ludowy dla Pomorza. Po zamknięciu tej placówki wykupiono nowy teren w Bolszewie pod Wejherowem i tam kontynuowano działalność. Trzeci Uniwersytet Ludowy powstały z ramienia TCL oddano staraniem społeczeństwa Wielkopolski w Odolanowie koło Ostrowa. Miał on obsługiwać południową Wielkopolskę i Śląsk". Wśród absolwentów tych uniwersytetów znalazł się przyszły premier Stanisław Mikołajczyk. Od lipca 1938 roku ks. Ludwiczak został administratorem parafii w Chełmcach.

Kłamstwo niemieckich lekarzy-zbrodniarzy

Po zajęciu Polski przez Niemcy i Związek Sowiecki w 1939 roku, ks. Antoni został aresztowany przez Niemców po tym, jak… zaprosili go oni na spotkanie z niemieckim władzami 2 listopada 1939 roku. Tak zaczęła się jego więzienna i obozowa epopeja. Najpierw trafił do więzienia w Inowrocławiu, z którego przewieziony został do więzienia w Świeciu, zorganizowanego w dawnym zakładzie psychiatrycznym, a stamtąd przetransportowano go do obozu przejściowego w Górnej Grupie. Kolejnym obozem przejściowym był ZL Neufahrwasser w Gdańsku.

Stamtąd trafił już do Niemiec – do obozu koncentracyjnego w Stutthof, a potem w Sachsenhausen. W końcu 14 grudnia 1940 roku przetransportowany został do obozu koncentracyjnego w Dachau, w którym zamordowano 1034 duchownych, w tym aż 868 polskich księży. Był skrajnie wykończony, gdy tzw. niemieckim „Invalidentransport" („transportem inwalidów") wywieziony został do Centrum Eutanazyjnego TA Hartheim, gdzie został zamordowany w komorze gazowej. Niemieccy lekarze z Dachau kłamliwie wpisali jako przyczynę śmierci „Versagen des Kreislaufes bei Herzmuskelentartung", czyli „Niewydolność układu krążenia, przy zwyrodnieniu mięśnia sercowego".

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uniwersytety ludowe przekształciły się w podporządkowaną komunistom karykaturę, kontrolowaną przez prosowiecki Związek Młodzieży Wiejskiej. Jak czytamy na stronie Radia Głos: „Choć w 1945 roku z wielką dynamiką odrodził się ruch uniwersytetów ludowych (powstało Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych RP i 80 placówek), okres stalinizmu (1949–1952) przyniósł ich niemal całkowitą likwidację. Pozostawiono jedynie nieliczne szkoły na Ziemiach Odzyskanych, służące repolonizacji. Po odwilży 1956 roku uniwersytety ludowe powróciły, ale w zmienionej formie – podporządkowane Związkowi Młodzieży Wiejskiej, resortowi kultury i ruchowi »Samopomoc Chłopska«. Zmieniono ich cele, nasycając program treściami socjalistycznymi. Dopiero pod koniec lat 80., w obliczu upadku systemu, otwarcie zaczęto krytykować ten okres za zubożenie oferty kulturalnej i brak wychowania do demokracji".

W III RP przywracanie pamięci bohaterskiego księdza szło opornie, choć tam, gdzie wpływ miał na to Kościół, pojawiały się formy upamiętnienia. 19 października 2025 roku spełniło się żądanie Pana Adama Piernika, walczącego o pamięć o ks. Antonim Ludwiczaku. Przy ulicy Szymańskiego w Kostrzynie została odsłonięta tablica upamiętniająca księdza bohatera, który całe życie poświęcił Polsce. ■

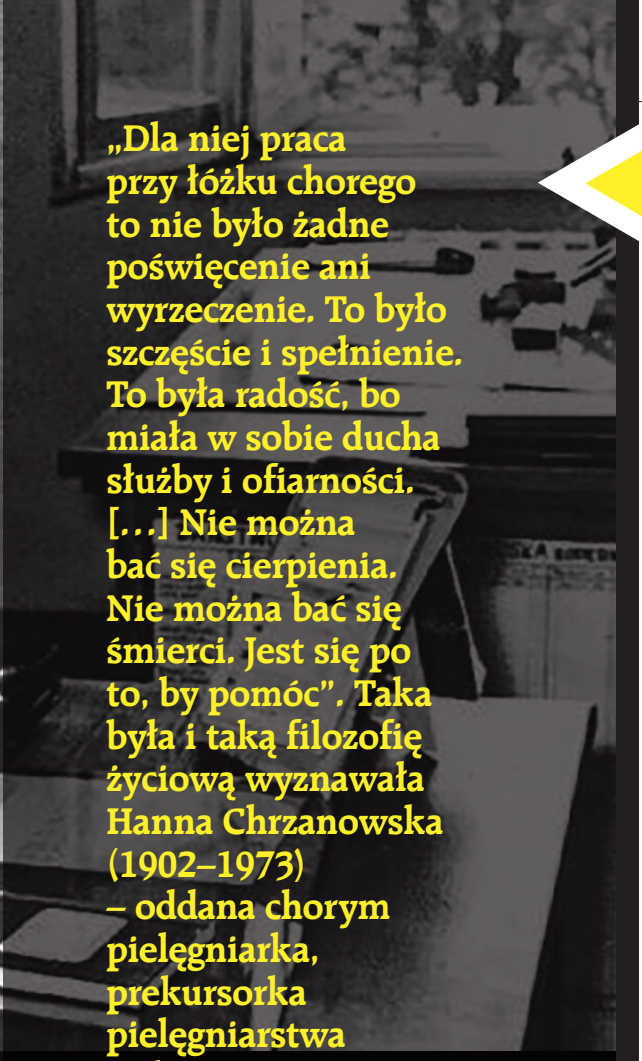
Ksiądz Antoni został aresztowany przez Niemców po tym… jak zaprosili go oni na spotkanie z niemieckim władzami 2 listopada 1939 roku. Tak zaczęła się jego więzienna i obozowa epopeja.

eprasa.pl a3976d4b30



Agnieszka Kowalczyk

Płomień samarytańskiej miłości. O błogosławionej Hannie Chrzanowskiej



„Dla niej praca przy łóżku chorego to nie było żadne poświęcenie ani wyrzeczenie. To było szczęście i spełnienie. To była radość, bo miała w sobie ducha służby i ofiarności. […] Nie można bać się cierpienia. Nie można bać się śmierci. Jest się po to, by pomóc". Taka była i taką filozofię życiową wyznawała Hanna Chrzanowska (1902–1973) – oddana chorym pielęgniarka, prekursorka pielęgniarstwa rodzinnego, domowego i parafialnego, redaktor naczelna pisma „Pielęgniarka Polska", działaczka charytatywna, pisarka, pedagog, przyjaciółka ks. Karola Wojtyły, błogosławiona Kościoła katolickiego.

FOT. HANNACHRZANOWSKA.PL

Pielęgniarki zastały chorą, około 40-letnią, dawną nauczycielkę, stale siedzącą na krześle. Nieuleczalnie chora. Bezwładna. Kręgosłup wygięty w pałąk. Nogi (potworne obrzęki) szeroko rozstawione. Ręce zwisają do tyłu, palce niemal pochowane w poduchach opuchniętych dłoni. Podana naprzód – nie wali się dzięki desce położonej na poręczach dwu krzeseł, o którą oparta jest brodą. Oczywiście na brodzie odleżyna. Rękami nie rusza […]. Na podłodze odchody. Wizyta pielęgniarki co dzień w południe: mycie, karmienie, nacieranie […] – i układanie bez końca chorych kończyn w wygodniej pozycji, i rozmowa, której chora jest tak spragniona!". W ten sposób Hanna Chrzanowska opisała jedną z setek swoich podopiecznych, którym służyła od młodości aż do śmierci. Każdy pacjent był dla niej indywidualnością, a pielęgniarstwo – powołaniem życiowym, radością, potrzebą poświęcania się szczególnie ludziom starym, ułomnym, dogorywającym, uwięzionym przez lata we własnych ciałach i zamkniętych w czterech kątach.

Z pałacu do szpitala

Wzrastała w jednym z najpiękniejszych pałaców Warszawy, wzniesionym przez jej dziadka Karola Jana Szlenkiera w latach 80. XIX wieku przy placu Zielonym. Ta wystawna rezydencja stała się później siedzibą Ambasady Republiki Włoskiej, słynąc z artystycznego smaku i komfortu urządzenia, zaprojektowana przez znanego architekta Franciszka Lanciego. Dla małej Hani, która właśnie tu przyszła na świat 7 października 1902 roku, był to „czarodziejski pałac" jej dzieciństwa, pełen „paproci, ślicznych płócien, szaf, bibliotek, dywanów, ogromnych grających muszel i jakichś zdumiewających bibelotów". Jej pradziadek ze strony mamy pochodził ze Szwarcwaldu i w XVIII wieku przybył do Warszawy. Założył tu wraz z braćmi garbarnię, którą przejął potem jego syn – Karol Jan, dziadek Hanny. Ten zaś zbudował w Warszawie fabrykę firanek, tiulu i koronek i jako pierwszy w kraju sprowadzał skóry z krów indyjskich. Jednocześnie troszcząc się o swych pracowników, zapewnił im ubezpieczenie, założył dla nich kasę chorych, a dla ich dzieci – trzyklasową szkołę. W oczach Hani dziadkowie byli najprawdziwszymi filantropami – zarówno Karol, jak i jego żona Maria – wytworna dama, która żadnemu biedakowi nie odmówiła jałmużny. Z kolei mama Hani, Wanda, nie bała się w młodości praktykować w ambulatorium panny Julii i hr. Aleksandrowiczówny, opatrując rany najuboższych. Ona to właśnie została żoną Ignacego Chrzanowskiego – wybitnego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownika Katedry Historii Literatury Polskiej, który szybko wrósł

976d4b30

w intelektualny świat Krakowa, tętniącej życiem artystycznym stolicy Młodej Polskiej, do której rodzina Chrzanowskich przeniosła się w 1910 roku.

Hania kochała swoich rodziców, była też przywiązana do starszego brata Bohdana, lecz na największy podziw zasługiwała w jej oczach ciocia Zofia, młodsza siostra mamy, która przez jakiś czas studiowała medycynę na Uniwersytecie w Genewie, a później uczyła się w szkole pielęgniarskiej Florencji Nightingale w Londynie. Po powrocie do Warszawy założyła szpital dziecięcy (otwarty w 1913 roku), nadając mu imiona swoich rodziców – Karola i Marii. O tym, że było to miejsce wyjątkowe, 12-letnia Hanna mogła się przekonać w chwili, gdy zachorowała poważnie na czerwonkę i trafiła do tejże placówki. Nie bała się jednak wcale, tym bardziej że czuwał nad nią prawdziwy anioł – pani Aniela – ciepła i delikatna pielęgniarka, która serdecznie się nią zaopiekowała. To ona właśnie wzbudziła w Hannie płomień samarytańskiej miłości, który rozgorzał w niej podczas I wojny światowej. W 1918 roku zapisała się na kurs pielęgniarski organizowany przez Amerykański Czerwony Krzyż, a po przeszkoleniu zgłosiła się jako ochotniczka do krakowskiej kliniki przy ul. Kopernika, by służyć rannym żołnierzom.

Pielęgniarstwo zamiast polonistyki

Kiedy w 1920 roku zdała maturę z wyróżnieniem, stanęła na rozdrożu, zastanawiając się, jaką drogę wybrać. W czasach jej młodości zawód pielęgniarki nie był szanowany, brakowało też szkół kształcących w tym zakresie. Pewnie dlatego jako urodzona humanistka rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, idąc w ślady swojego ojca, po którym odziedziczyła talent pisarski, co udowodniła jako autorka powieści „Niebieski klucz" (1934) i „Krzyż na piasku" (1938). Dowiedziawszy się, że w Warszawie w październiku 1921 roku otwarto profesjonalną szkołę dla pielęgniarek, rzuciła filologię i zdecydowała się pojechać do stolicy, by spróbować swych sił w tej dziedzinie. Nie zrażały jej ani mieszkanie w internacie, ani nocne hałasy, ani głodowe posiłki, ani nawet ów śledź w cieście przygotowany na powitanie – zjadła go jako jedyna, ćwicząc w ten sposób swój charakter i siłę woli.

Dyrektorką tej placówki, a zarazem jej mentorką została wysportowana, jeżdżąca konno, elegancka Amerykanka Helen Bridge. Ukończywszy szkołę pielęgniarską w Miami Valley, a potem studium nauczycielskie na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, gdzie powstał pierwszy na świecie Wydział Pielęgniarstwa, zdobywała doświadczenie nie tylko na sali operacyjnej, lecz także na dalekiej Syberii, organizując w ramach misji Amerykańskiego Czerwonego Krzyża pracę pielęgniarską w tamtejszych szpitalach. W nowej szkole Hanna nauczyła się wiele również od instruktorki pielęgniarstwa Stelli Tylskiej, wynosząc z jej ćwiczeń i wykładów to, co najcenniejsze, bo jak pisała: „Pani Tylska umiała połączyć sztywną pedanterię z taką miłością do chorych, że serce we mnie topniało".

Runęło na nią piękno Paryża…

To był jeden z najszczęśliwszych dni w życiu Hanny, gdy Helen Bridge zaproponowała jej roczne stypendium Fundacji Rockefellera w Paryżu. Do stolicy Francji dotarła 6 stycznia 1925 roku wraz z koleżanką z kursu Zulą Wasilewską. Zamieszkały w Szkole Pielęgniarstwa Dziecięcego, gdzie w arkana tej dziedziny wprowadzała je dyrektorka Melle Greiner. W tym czasie Hanna z niezwykłym zapałem oddawała się nauce i pracy pielęgniarskiej, jednocześnie ulegając urokowi Paryża, którego piękno „runęło" na nią niespodziewanie: „Uskrzydliło, rozszerzyło i uszczęśliwić miało w te wszystkie wolne niedziele i święta. […] Wkrótce zadomowiłam się w olbrzymich galeriach Luwru, zaczęłam wracać do ukochanych obrazów […]. Potem na dobre zanurzyłam się w cotygodniowych, cudnych koncertach w Starym Konserwatorium. W świecie muzycznym żyłam wtedy pod wyłącznym panowaniem Beethovena. […] Paryż… Ukochałam na zawsze Sainte Chapelle, Notre Dame, wózki z kwiatami, cudne, ulubione nade wszystko różnobarwne anemony".

Po powrocie w styczniu 1926 roku podjęła pracę instruktorki pielęgniarstwa społecznego w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie, którą kierowała Maria Epsteinówna. Angażowała się we wszelkie możliwe przedsięwzięcia – wykładała pielęgniarstwo zdrowia publicznego, zajmowała się instruktażem w Poradni Przeciwgruźliczej, była kierowniczką Poradni dla Niemowląt, prowadziła wraz z prof. Aleksandrem Rosnerem Poradnię dla Kobiet Ciężarnych przy Klinice Ginekologiczno-Położniczej w Krakowie, wreszcie została redaktorem naczelnym miesięcznika „Pielęgniarka Polska", tworząc podwaliny nowoczesnego pielęgniarstwa.

Czas zabijania – czas ratowania

Wybuch II wojny światowej wstrząsnął rodzinami Chrzanowskich i Szlenkierów, odmieniając ich dotychczasowe życie. Gdy w 1939 roku na Warszawę sypały się tony niemieckich bomb, Hanna utraciła ukochaną ciocię Zofię Szlenkier, nie tylko bliską krewną, lecz także „duszę pielęgniarską", kogoś, kto zainspirował ją do podjęcia życiowej misji. Co więcej, nie mogła znieść tego, że założony przez nią szpital dziecięcy został zniszczony na początku wojny.

eprasa.pl a3976d4b30

Kolejny cios spadł na Hannę niespodziewanie, już w Krakowie, przemianowanym przez okupanta na stolicę Generalnego Gubernatorstwa. Oto 6 listopada 1939 roku prof. Ignacy Chrzanowski udał się do gmachu Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie odbyć się miało zebranie pracowników naukowych UJ, wezwanych przez SS-Sturmbannführera Bruno Müllera, który miał wygłosić odczyt na temat stosunku III Rzeszy do zagadnień nauki i szkolnictwa wyższego. Profesor Chrzanowski, choć był na emeryturze, zdecydował się pójść na uczelnię, bo czuł się z nią bardzo związany. W sali numer 66 zgromadzili się uczeni głównie Uniwersytetu Jagiellońskiego (155 osób), a także Akademii Górniczej (17) i Akademii Handlowej (3). Wtedy, ku ogólnemu zaskoczeniu, budynek został otoczony przez kordon funkcjonariuszy gestapo i policji, a Müller w niemieckiej eskorcie wkroczył do sali, oznajmiając: „Tutejszy uniwersytet rozpoczął rok akademicki bez wcześniejszego uzyskania zgody władz niemieckich. Jest to wyraz złej woli. Ponadto jest powszechnie wiadomo, że nauczyciele zawsze byli wrogo nastawieni do niemieckiej nauki. W związku z tym wszyscy, poza obecnymi na sali kobietami, zostaną wywiezieni do obozu koncentracyjnego. Jakakolwiek dyskusja, a nawet wypowiedzi na ten temat są wykluczone. Kto odważy się na opór wobec wykonania mojego rozkazu, zostanie zastrzelony". Zszokowanych tymi słowami profesorów popędzono następnie do stojących wokół Collegium Novum ciężarówek, które ruszyły w kierunku więzienia przy ul. Montelupich.

Hanna po raz ostatni widziała swojego ojca uwięzionego w koszarach 20. Pułku Piechoty przy ul. Mazowieckiej. Ukazał się w oknie pierwszego piętra. Rodzinom umożliwiono spotkanie z aresztowanymi o godzinie piątej wieczorem, ale Hanna nie mogła już dłużej czekać, bo spieszyła się na swój dyżur w Radzie Głównej Opiekuńczej. Dwa dni później wywieziono profesorów do więzienia we Wrocławiu, a potem do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Wkrótce potem Hanna z matką zostały zmuszone do natychmiastowego opuszczenia mieszkania profesorskiego, mając tylko dwie godziny na spakowanie swoich rzeczy. Przez cały czas bardzo martwiły się o profesora. Miał 73 lata, rozedmę płuc i często się przeziębiał, tym bardziej że zima przełomu lat 1939/1940 okazała się szczególnie mroźna. W Sachsenhausen panował dokuczliwy głód, straszliwe zimno, a więźniowie byli cienko ubrani i z gołą głową stali podczas apelu trzy razy dziennie nawet po trzy godziny na siarczystym mrozie. Profesor wkrótce rozchorował się na zapalenie płuc i 19 stycznia 1940 roku zmarł w szpitalu obozowym. Hiobowa wieść dotarła do Hanny i jej matki kilka dni później (23 stycznia). Ich rozpacz nie miała granic. Pojechały do Sachsenhausen, by pożegnać zmarłego. Młody żołnierz zaprowadził je do długiego, niskiego baraku, gdzie, jak pisze Wanda Chrzanowska, spoczywał „Ignaś w czarnej, drewnianej, prostej trumnie. […] Ignaś?! Ten starzec dziewięćdziesięcioletni najmniej […], te kości wystające na zapadłych policzkach, nos wyostrzony, usta współotwarte w bolesnym ostatnim wydechu". Wiele tygodni upłynęło jeszcze, zanim urna z prochami prof. Chrzanowskiego dotarła do Krakowa. Tragedii rodziny dopełnił dramat brata Hanny – Bohdana, oficera Wojska Polskiego, który na początku wojny wzięty do radzieckiej niewoli, został zamordowany w Katyniu.

Mimo traumatycznych przeżyć Hanna przez cały okres okupacji starała się ulżyć w cierpieniu ofiarom wojny, działając z wielkim oddaniem w Sekcji Pomocy Wysiedlonym Polskiego Komitetu Opiekuńczego, który od maja 1940 roku otwierał dla potrzebujących kuchnie, herbaciarnie, ogrzewalnie, noclegownie, a także punkty opieki medycznej i duchowej. Jednocześnie Chrzanowska pracowała na oddziale noworodków Kliniki Położniczej przy ul. Kopernika, gdzie ordynatorem był lekarz niemiecki. W tym czasie pomagała zwłaszcza dzieciom narodowości żydowskiej, którym groziła zagłada, ukrywając je w różnych klasztorach. Organizowała też wakacyjne wyjazdy dla najmłodszych, przyjmowanych często przez rodziny ziemiańskie. Dla sierot wojennych szukała rodzin zastępczych, sprawdzając dokładnie, czy to ludzie godni zaufania. W przypadku wątpliwości nigdy nie zezwalała na adopcję.

„By całe zło przemienić w dobro"

Po zakończeniu wojny Hanna odnalazła swe miejsce w reaktywowanej zaraz po wyzwoleniu Krakowa Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek i Higienistek. Tam powierzono jej funkcję Kierownika Szkolenia w Otwartej Opiece Zdrowotnej, która obejmowała szeroko rozumianą profilaktykę (na przykład szkolenia matek, dzieci, chorych na gruźlicę, jaglicę i inne choroby zakaźne), opiekę przyszpitalną, a od roku 1946 – pielęgniarstwo domowe, skupione na trosce o ludzi obłożnie chorych w ich domach. Zwłaszcza ten ostatni rodzaj aktywności uważała za szczególnie potrzebny w polskiej rzeczywistości. Toteż z wielkim entuzjazmem przyjęła wiadomość, że Ministerstwo Zdrowia wysyła ją na stypendium do USA. Działo się to na przełomie lat 1946–1947. Hanna jeździła po domach dzielnicy Harlem i przyglądała się wzorowej pracy sióstr z Nowego Jorku, co utwierdziło ją w przekonaniu, że „pielęgniarstwo domowe jest pracą bardzo mądrą, bardzo szeroką, że są potrzebne, tak jak w innych działaniach, wysokie kwalifikacje. Tamtejsze pielęgniarki domowe to kwiat pielęgniarstwa amerykańskiego".

eprasa.pl a3976d4b30

Po powrocie ze stypendium w USA z jeszcze większą pasją rzuciła się w wir pracy w szkole dla pielęgniarek. Rozległą wiedzą i niezwykłą życzliwością podbiła serca swych uczennic, także jako wykładowczyni w Ośrodku Instruktorek w Warszawie. Uczulała je na wiele trudnych sytuacji, gdy niejednej z nich miało przyjść zetknąć się z tyfusem plamistym, czerwonką, wścieklizną czy tężcem, przeżyć pierwszą śmierć na oddziale albo wybierać robactwo z ran starych ludzi. Ciągle powtarzała, że w centrum ich zainteresowania powinien być zawsze chory, a pielęgniarka „musi choremu coś ciekawego przekazać, musi go czymś zainteresować, pożartować, odciągnąć od choroby. Na przekór często strasznemu cierpieniu. By całe zło przemienić w dobro". Jedna z jej uczennic, Zofia Szlendak-Cholewińska, pisała: „Zauroczyła mnie swoją osobowością, wykładami, filozofią życia, sposobem prowadzenia zajęć. […] To był żar miłości i żar zachęty człowieka do służby".

Idziemy tam, gdzie nikt nie dociera

Hanna, szczególnie uwrażliwiona na los ludzi młodych i starych przykutych do łóżek w swoich domach, pozbawionych na co dzień koniecznej opieki pielęgniarskiej, z wielkim zaangażowaniem zabrała się za organizowanie kilkutygodniowych praktyk w domach pacjentów będących w ciężkim stanie. Ufała swoim uczennicom, dawała im dużą samodzielność i wspierała na każdym kroku. Wielokrotnie były to przypadki bardzo ciężkie. Oto na przykład „staruszka z nowotworem mózgu, z raną ogromną, sięgającą brwi. Nieopisanie brudna, z odleżyną. Opieka domowa córki, psychopatki, sama wymagająca opieki, której nie ma. Paznokcie chorej tak długie i grube, że słychać stuk o podłogę, kiedy je obcinamy. Przy odwracaniu na bok, wyje i szczypie […]. Wszy sypią się jak piasek i roją się w ranie pod warstwą brudu i maści. Pielęgniarki dotarły do chorej po kilkuletniej chorobie, dopiero na tydzień przed końcem. Stan psychiczny dobry, całkowicie przytomna, zadowolona, że się ją myje i pielęgnuje. Przynajmniej umarła w jakim takim zadbaniu". Zarówno w tym przypadku, jak i w szeregu innych Chrzanowska pragnęła zapewnić obłożnie chorym w domach podstawowe zabiegi higieniczno-pielęgniarskie, jak: kąpiel, zapobieganie odleżynom lub ich leczenie, zmiana pościeli, podanie posiłku, wykonanie podstawowych ćwiczeń rehabilitacyjnych. Była to zarazem wielka pomoc dla ich rodzin, a gigantyczna dla osób samotnych, które w pojedynkę mierzyły się ze swoim losem.

Hanna Chrzanowska miała świadomość, że organizowanie pielęgniarstwa domowego jest zadaniem pionierskim. Nie było u nas przecież ani pielęgniarek środowiskowych, ani opiekunek społecznych, ani też sióstr PCK. Wszystko należało tworzyć od podstaw, a punktem wyjścia stały się zainicjowane przez nią kilkutygodniowe praktyki z zakresu pielęgniarstwa domowego. Dziewczęta mówiły o nich pół żartem, pół serio – „idziemy na dziady", wiedząc, jakie czekają je zadania, bo w warunkach powojennych nie brakowało ludzi starych i chorych, kalek i inwalidów okaleczonych przez wojnę, cierpiących straszną biedę. Dla młodych pielęgniarek była to prawdziwa szkoła pokory i hartu ducha. „Zaczęły nam wpadać w ręce potworne przypadki – odnotowała Hanna. – Stwora w płaszczu na nagim ciele, rozkudłana, siedząca w kuchennej alkowie od kilku miesięcy, dosłownie zasypana śmieciem, z nogami opuchniętymi jak konwie… Reumatyczka (gdzieś na dalekiej Olszy), której się obierało ziemniaki, paliło w piecu i Bóg wie co – poza pielęgniarską obsługą. Sypnęły się przypadki z całego Krakowa. Uczennice mogły jeszcze ciągle przechodzić miesięczne praktyki […]. Ciągle jeszcze nie bały się pracy. I można było pielęgnować czasem 50 chorych".

„Co za radość: myć, szorować, otrząsać pchły"

Nawet gdy znalazła się już na emeryturze nauczycielskiej, z pracy pielęgniarskiej nie zrezygnowała. W rozmowie z siostrami szarytkami z całą szczerością wyznała: „Długie lata byłam instruktorką, dyrektorką. Kierowałam, rządziłam, egzaminowałam. Co za radość na stare lata dorwać się do chorych: myć, szorować, otrząsać pchły". Co więcej, postanowiła całkowicie zaangażować się w działania na rzecz pielęgniarstwa domowego, które – po jej odejściu z krakowskiej szkoły – wyraźnie podupadło. Hannie przyszła do głowy myśl, by w dziele pomocy potrzebującym zaangażować Kościół. Początkowo jednak spotkała się z odmową lub niezrozumieniem proboszczów, których nie udało się jej przekonać do swoich racji. Nie traciła jednak nadziei. W końcu razem z Zofią Szlendak udały się do wikarego z kościoła św. Floriana, który był człowiekiem otwartym na problemy innych. A okazał się nim ks. Karol Wojtyła. Wysłuchał uważnie obu kobiet i umówił je na rozmowę z proboszczem parafii mariackiej – ks. Ferdynandem Machayem, który w czasie wojny udzielał pomocy uchodźcom, Żydom, sierotom czy więźniom, i on to bez wahania zgodził się zaangażować w projekt Chrzanowskiej. Co więcej, na ten szczytny cel przeznaczył dużą sumę pieniędzy, która pozwoliła na etatowe zatrudnienie profesjonalnej opiekunki, gdyż Hanna uważała, że sam wolontariat nie jest wystarczający. W swej działalności nie musiała ograniczać się do parafii mariackiej, bo jak twierdził ks. Machay, „miłość Chrystusa nie zna granic!". Otwierał się więc przed nią cały Kraków cierpiących, do których domów pragnęła dotrzeć. I tak zaczęło się rozwijać na coraz szerszą skalę pielęgniarstwo para-

eprasa.pl a3976d4b30

fialne, którego serce biło przy kościele Mariackim, na plebanii ks. Machaya, gdzie odbywały się spotkania pań zaangażowanych w służbę chorym i gdzie miały swój punkt organizacyjny i skrzynkę pocztową. Na początku działalności, w 1957 roku, pod ich opiekę trafiło 25 chorych, dwa lata później – 72, a w 1967 roku było ich już prawie 500.

Nad dziełem Hanny i jej ofiarnych współtowarzyszek cały czas czuwał ks. Karol Wojtyła – od 1958 roku biskup krakowski, na którego chorzy i ich opiekunki zawsze mogli liczyć. Poparł on również gorąco pomysł Hanny, by w pielęgniarstwo parafialne włączyć siostry zakonne, które wyrzucane przez komunistów ze szpitali, z ochotą przystąpiły do tej akcji. Chrzanowska organizowała więc dla nich specjalne szkolenia pielęgniarskie, a dyplom ich ukończenia podpisywał sam kardynał Wojtyła. Podczas 23 kursów odbywających się na Wydziale Charytatywnym Kurii Metropolitarnej udało się przeszkolić 700 osób: sióstr, nowicjuszek, braci zakonnych i osób świeckich. Przyjął się nawet zwyczaj, że wraz z Hanną Chrzanowską ks. Karol odwiedzał w czasie Wielkiego Postu chorych w ich domach. Wszystko to sprawiło, że pielęgniarstwo parafialne rozrastało się coraz bardziej, wychodząc poza granice Krakowa i rozwijając się też w innych diecezjach – w Warszawie, Nowym Targu, Zakopanem, Bielsku-Białej, Żywcu, Chrzanowie, Oświęcimiu…

Radosna terapia dla zbolałych ciał i dusz

Za sprawą Hanny Chrzanowskiej ludzie ciężko chorzy, uwięzieni w swoich domach i ciałach, mogli wreszcie opuścić własne samotnie i udać się na prawdziwy wypoczynek połączony z rekolekcjami – do Trzebini pod Krakowem! To ona właśnie była pomysłodawczynią i organizatorką niezapomnianych wakacji z Bogiem, które począwszy od 1964 roku odbywały się corocznie, przez 21 lat, w domu rekolekcyjnym braci salwatorianów w Trzebini. „Na placu przed domem znajdował się koncentrat cierpienia: kalectwa, starości, biedy, odrzuconych istnień ludzkich. Każdego roku to specyficzne skupisko nieodmiennie wywoływało wstrząsający i chyba najistotniejszy bodziec świadomości, że – jeśli ktoś dotarł do tych ludzi, wydobywał ich z zapomnienia (i mnie tak samo) – to dokonuje się tu coś niezwykłego, coś najważniejszego, najpotężniejszego" – wspominała jedna z uczestniczek tych niezwykłych spotkań. Na początku podopieczni Hanny nie byli przekonani do tego pomysłu, bali się obnosić ze swoim cierpieniem i mieli obawy, że nie dadzą sobie rady poza domem. Okazało się jednak, że pobyt w Trzebini stał się dla nich radosnym świętem, na które czekali z nadzieją przez kolejny rok. Nie mogło tam też zabraknąć serdecznego przyjaciela Chrzanowskiej i wszystkich chorych – ks. Karola Wojtyły, który z każdym się witał, żartował, ucinał sobie pogawędkę.

Zapowiedź odlotu

Hanna Chrzanowska przez dziesięciolecia ofiarnie służyła cierpiącym, ale i ona musiała ponieść własny krzyż choroby. W 1966 roku zdiagnozowano u niej nowotwór. Jeszcze tego samego roku przeszła operację, a później poddała się radioterapii. Każdy kolejny dzień traktowała jako Boży dar. Pomimo dolegliwości cały czas pracowała intensywnie, starając się jednocześnie uporządkować wszystkie swoje sprawy. Księgozbiór swojego ojca ofiarowała Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu, a wszystko, co posiadała, przeznaczyła dla chorych. Czuła, że ostateczne spotkanie z Bogiem jest coraz bliższe. Niecałe dwa lata przed śmiercią, w 1971 roku, stworzyła osobistą modlitwę wyznanie: „Topole pachną Mazowszem. Bzów już nie ma. Kwitną irysy. W alei topolowej króciutka maja Droga Krzyżowa. Chryste, daj, żebym zapomniała tutaj o krzywdzie (śmiesznie małej), jaka mnie spotkała. Daj, żebym tu tylko żyła dla chorych, dla Ciebie. […] Każdy siwiejący włos niech będzie radośnie przyjęty jako zapowiedź odlotu do Ciebie. Każdy krok obolałej nogi zbliża mnie do Ciebie. Ojcze".

Wiosną 1973 roku choroba przypuściła ostatni szturm. W końcu, 28 kwietnia, straciła przytomność, a nazajutrz o świcie odeszła do wieczności. Była to Biała Niedziela, pierwsza po Zmartwychwstaniu Pańskim, dzień, który w przyszłości ustanowiony został świętem Miłosierdzia Bożego przez Jana Pawła II. Teraz to on właśnie, kard. Karol Wojtyła, odprowadzał Hannę na miejsce wiecznego spoczynku i przewodniczył pożegnalnej Mszy świętej w słoneczny dzień 2 maja 1973 roku. Wokół trumny zgromadziły się tłumy tych wszystkich, którzy darzyli ją miłością, przyjaźnią i wdzięcznością. Zmarłą żegnali bliscy, księża, lekarze, pielęgniarki, a przede wszystkim chorzy, w tym niepełnosprawni na wózkach inwalidzkich, poruszeni słowami ks. Wojtyły, który mówił, że Hanna swym życiem odpowiedziała na głos Chrystusa: „Byłem chory naprzód w różnych klinikach i szpitalach Krakowa, byłem chory w różnych domach, na poddaszach, w suterynach, byłem chory i często całymi tygodniami zapomniany od ludzi – znalazłaś mnie albo sama, albo przez Twoje siostry, zaopiekowałaś się mną".

Wszystko to sprawiło, że Hanna Chrzanowska, ta krakowska samarytanka, została błogosławiona 28 kwietnia 2018 roku w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. ■

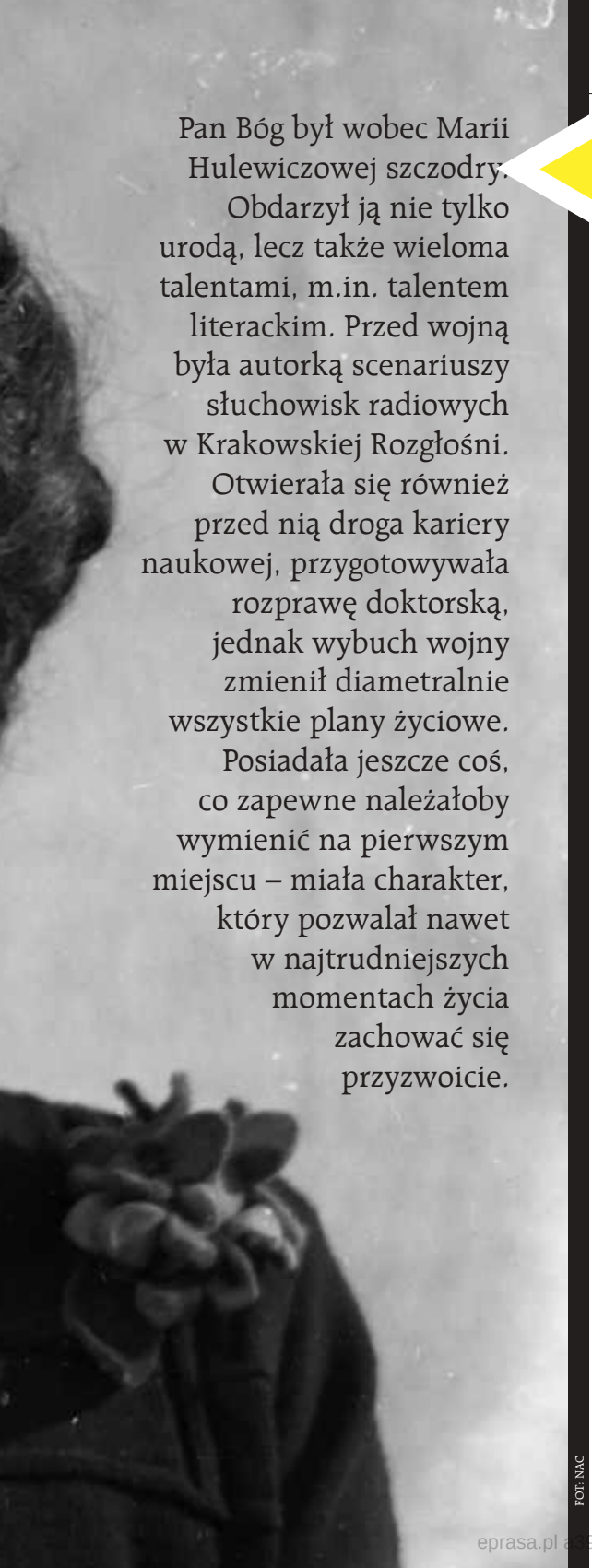
Źródło: „Radość dawania. Hanna Chrzanowska we wspomnieniach, listach, anegdotach", oprac. Marzena Florkowska, Kraków 2010.

eprasa.pl a3976d4b30



Dariusz Jarosiński

Marii Hulewiczowej życie u boku



Pan Bóg był wobec Marii Hulewiczowej szczodry. Obdarzył ją nie tylko urodą, lecz także wieloma talentami, m.in. talentem literackim. Przed wojną była autorką scenariuszy słuchowisk radiowych w Krakowskiej Rozgłośni. Otwierała się również przed nią droga kariery naukowej, przygotowywała rozprawę doktorską, jednak wybuch wojny zmienił diametralnie wszystkie plany życiowe. Posiadała jeszcze coś, co zapewne należałoby wymienić na pierwszym miejscu – miała charakter, który pozwalał nawet w najtrudniejszych momentach życia zachować się przyzwoicie.

FOT. NAC

Przeszła niezwykłą drogę życiową u boku trzech mężczyzn: profesora Jana Hulewicza, premiera rządu RP na uchodźstwie, Stanisława Mikołajczyka i pułkownika „ludowego" Wojska Polskiego, literata, komunisty Janusza Przymanowskiego. Jej losy mogą stanowić osobliwą, dającą wiele do myślenia, wersję najnowszej historii Polski. Maria Hulewiczowa była zasłużoną działaczką podziemia niepodległościowego, związaną z ruchem ludowym, antykomunistką, osobą represjonowaną. W latach 1947–1954 odbywała karę więzienia. Po opuszczeniu murów więziennych, po przeżyciu wielkiego zawodu miłosnego, kiedy zorientowała się, że kochany przez nią „Stach", czyli Mikołajczyk, okazał się cynicznym kobieciarzem, który za nic miał jej poświęcenie, wierność, dotychczasowe ideały zeszły na dalszy plan. Ważne było dla niej choćby to, że w czasie małżeństwa z Przymanowskim przestała prześladować ją bezpieka, że jako Maria Przymanowska znalazła spokój, mogła realizować swoje niektóre plany sprzed kilkudziesięciu lat. Mogła nadrabiać stracony czas. Tłumaczyła książki, była też współautorką książki i scenariusza filmu „Czterej pancerni i pies". Za honorarium mogli wraz z mężem kupić sobie willę. Stefan Kisielewski nie mógł pogodzić się w swoim „Dzienniku" z tym, że kobieta z tak pięknym życiorysem wyszła za mąż za „komunistycznego fagasa", jakim był bez wątpienia Janusz Przymanowski, i jeszcze do tego fałszowała z nim historię, pisząc wspólnie scenariusz filmu „Czterej pancerni i pies".

Klęska planów życiowych

Maria przyszła na świat w Wilnie w roku 1913, jej ojciec, Henryk Kaliski, był przedsiębiorcą, matka, Maria Sachs, pochodziła z rodziny żydowskiej. Rodzice zadbali o dobre wychowanie i wykształcenie córki. W roku 1932 rozpoczęła studia filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Po dwóch latach studiów wyszła za mąż za starszego o osiem lat doktora Jana Hulewicza z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wkrótce po ślubie uzyskała roczny urlop dziekański i wyjechała wraz z mężem w podróż do krajów Europy Zachodniej – Francji, Belgii, Niemiec, Szwajcarii, gdzie w tamtejszych archiwach, bibliotekach Jan Hulewicz zbierał materiały do swojej pracy naukowej.

Po powrocie z naukowej wyprawy małżonkowie zamieszkali w Krakowie przy ulicy Syrokomli 12. Maria kontynuowała studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W roku 1938 uzyskała tytuł magistra filozofii na podstawie pracy „Artur Górski jako publicysta". Niestety wojna pokrzyżowała plany przygotowania dysertacji doktorskiej na temat recepcji poezji Juliusza Słowackiego; promotorem jej pracy był prof. Stanisław Pigoń, a recenzentem prof. Ignacy Chrzanow-

eprasa.pl a976d4b30

ski. Zresztą wszystkie plany legły w gruzach. Więcej szczęścia miał jej mąż, który zdołał jeszcze przed wybuchem wojny habilitować się na podstawie pracy z zakresu historii kultury polskiej w epoce nowożytnej, napisanej pod kierunkiem prof. Stanisława Kota. To właśnie za pośrednictwem prof. Kota, członka władz naczelnych Stronnictwa Ludowego, oboje małżonkowie związali się ze środowiskiem ludowców. Profesor Kot, pochodzący z rodziny chłopskiej, prezentował poglądy zdecydowanie antysanacyjne, solidaryzował się z przebywającym na emigracji Wincentym Witosem.

Po wybuchu wojny Maria złożyła przysięgę w Związku Walki Zbrojnej, współorganizowała Ludowy Związek Kobiet, w którym kierowała Wydziałem Propagandy i Prasy. 14 października 1939 roku podjęła pracę w Radzie Głównej Opiekuńczej, kierowanej przez Adama Ronikera. Nie zastosowała się do rozporządzenia władz okupacyjnych niemieckich nakazujących noszenie Żydom białych opasek z gwiazdą Dawida, a przecież w myśl ustawodawstwa rasowego miała taki obowiązek. Posługiwała się nowym świadectwem urodzenia, wystawionym przez księdza Henryka Kleczyńskiego.

Na początku wojny małżeństwo Marii i Jana zostało poddane ciężkiej próbie. Jan przyjął propozycję swego mistrza, prof. Kota, i wyjechał do Francji, gdzie został utworzony przez gen. Władysława Sikorskiego rząd uchodźczy, w którym prof. Kot objął tekę ministra i stał się jednym z bardziej prominentnych polskich polityków na emigracji. Maria pozostała w kraju, uważała, że tutaj jest jej miejsce. Czy miała żal do męża, że ją zostawił? Chyba tak, jednak nie skarżyła się z tego powodu, bo rozumiała nadzwyczajną sytuację.

Zadanie dla najlepszych

Chociaż sama miała potworne problemy, to starała się pomóc rodzicom mieszkającym w Warszawie, prowadziła też komplety gimnazjalnego tajnego nauczania. W roku 1940 eksmitowano ją z mieszkania. Pomimo wielu kłopotów nie zaprzestała pomocy uwięzionym kolegom męża, profesorom UJ – w imieniu podziemia dostarczała im paczki i grypsy do więzienia, zabezpieczała też w Krakowie zbiory biblioteczne przed rabunkiem Niemców. Doświadczyła nagonki i jako Polka żydowskiego pochodzenia, i jako osoba aktywna w konspiracji. Zagrożona aresztowaniem przez Gestapo, ukrywała się u znajomych. W Krakowie przeżyła trudny okres, ale był to też czas budujący jej charakter.

W roku 1942 zostali aresztowani rodzice Marii. Ojca zamordowali Niemcy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, matka trafiła do getta, gdzie w niedługim czasie zmarła. Maria dała się namówić przyjaciołom i jesienią 1942 roku przekroczyła szlakiem kurierów granicę i przedostała się na Węgry. Nie mogła żyć bez nauki, więc w budapesztańskim uniwersytecie podjęła studia na wydziale humanistycznym i jednocześnie pracowała w nieoficjalnej placówce polskiego rządu RP. Sprawowała funkcję szefa kurierów utrzymujących łączność między krajem a Londynem; do niej docierały mikrofilmy wywiadowcze, szyfry i prasa podziemna z Polski. W swojej roli wykazała się dużą skutecznością i determinacją, za co otrzymała Krzyż Walecznych i awansowała do stopnia porucznika.

Sprawdzonej już działaczce podziemia powierzono nowe zadanie. Żona Stanisława Mikołajczyka, wicepremiera rządu RP, przywódcy ludowców, Cecylia, trafiła do obozu koncentracyjnego, a ich 15-letni syn został aresztowany przez Niemców. Podziemiu udało się wykupić chłopca z rąk Gestapo i przerzucić go na Węgry. Zadaniem Marii było dowiezienie chłopca przez kraje europejskie, a następnie Stambuł, Jerozolimę i Kair do Londynu, gdzie czekał na niego ojciec. Nie trzeba dodawać, jak bardzo Mikołajczyk był wdzięczny Marii za to, że dowiozła mu całego i zdrowego syna jedynaka. Być może w ramach rekompensaty Maria otrzymała pracę w ministerstwie spraw wewnętrznych, choć jej umiejętności literackie, językowe, organizacyjne, a ponadto duża kultura osobista predestynowały ją do objęcia nawet wysokich stanowisk urzędniczych.

Wicepremier Mikołajczyk zaczął szybko doceniać nie tylko kompetencje Marii, lecz także jej urodę. Maria została jego osobistą sekretarką. Spędzali ze sobą czas również po pracy. Stach, jak zwykła była zwracać się do niego, kiedy byli sami, imponował jej swoją charyzmą, siłą charakteru; był od niej o 12 lat starszy, bardziej doświadczony życiowo. Związek Marii i Mikołajczyka przestał być tajemnicą w najbliższym otoczeniu. Z czasem wręcz traktowano Marię jak żonę Mikołajczyka. Sytuacja była skomplikowana, bo w Londynie mieszkał Jan Hulewicz, w dalszym ciągu prawowity mąż Marii; pod koniec wojny przyjechała do Anglii z obozu Cecylia Mikołajczykowa, żona przywódcy ludowców.

W świecie londyńskiej polityki

Stanisław Mikołajczyk po śmierci gen. Władysława Sikorskiego, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, został w lipcu 1943 roku premierem rządu RP na uchodźstwie. Posiadał skromne wykształcenie – ukończył cztery klasy szkoły powszechnej w Niemczech, półtoraroczny kurs w uniwersytecie ludowym i trzymiesięczny kurs rolniczy, nic dziwnego zatem, że Maria, osoba świetnie wykształcona, znająca biegle języki, stała się jego prawą ręką. Jeden z biografów określił Mikołajczyka mianem „sprytnego samouka". Maria nie ograniczała się tylko do pracy *stricte* urzędniczej, a na przykład przed mikrofonem radia BBC prezentowała cykl pogadanek na temat okupacji w Polsce, napisała też pod pseu-

eprasa.pl a3976d4b30

donimem Maria Brzeska książkę pt. „Oczami kobiety" o okupacji Niemców w Polsce. Książka została przetłumaczona na kilka języków i stanowiła w krajach Europy Zachodniej pierwsze ważne świadectwo niemieckich zbrodni popełnianych na Polakach. Czuła się jak ryba w wodzie, mogąc przygotowywać audycje radiowe dla konspiracyjnej radiostacji Świt, nadającej rzekomo z okupowanej Polski, a która w rzeczywistości nadawała z Bletchley Park pod Londynem.

Porządkowała i katalogowała dokumenty dotyczące walki podziemnej w kraju. Były to materiały propagandowe nadsyłane przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego i partie polityczne, w tym prasa konspiracyjna, ulotki, broszury, książki i fotografie, z których robiła odbitki fotograficzne. Prowadziła pracę propagandową w jednostkach armii polskiej w Wielkiej Brytanii, redagowała „Biuletyny Informacyjne", tłumaczone na język angielski, które otrzymywali alianci.

Stanisław Mikołajczyk był politykiem niesamodzielnym, uległym wobec Brytyjczyków, premiera Winstona Churchilla, notabene to jemu zawdzięczał stanowisko premiera. Mikołajczyk uważał się za kontynuatora polityki Sikorskiego, opartej na założeniu, że mimo ujawnienia zbrodni katyńskiej i zerwania stosunków dyplomatycznych, konieczne jest dążenie do kompromisowego porozumienia z Sowietami.

Nienawidził piłsudczyków. Bezpardonowo zwalczał naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, wybitnego dowódcę i polityka. Niechęć Mikołajczyka do generała w dużej mierze zaważyła na wielu jego fatalnych decyzjach. Sosnkowski był przeciwny układaniu się z Sowietami, a akceptację granicy na linii Curzona uważał za zbrodnię wobec narodu polskiego. Poglądy polskiego wojskowego były bardzo niewygodne dla Brytyjczyków, którzy chcieli utrzymywać dobre stosunki z Józefem Stalinem.

Stanisław Mikołajczyk wyznawał stanowisko, że Sowietów wkraczających na ziemie polskie nie można traktować jak okupantów, bo to zagrozi interesom Polski, popierał akcję „Burza", będącą w istocie dekonspiracją polskiego podziemia niepodległościowego. Generał Sosnkowski nie mógł wydać w tej sprawie rozkazu, bo tego typu kwestie leżały wyłącznie w kompetencjach rządu.

Kazimierz Sosnkowski nie sprzeciwiał się idei powstania powszechnego, aczkolwiek uważał, że jego wybuch musi zostać poprzedzony rzeczową analizą i oceną realnych szans zwycięstwa. Wiedział, że alianci pomocy nie udzielą. Pisał 28 lipca 1944 roku do prezydenta Raczkiewicza: „Wszelka myśl o powstaniu zbrojnym jest nieuzasadnionym odruchem – pozbawionym sensu politycznego, mogącym spowodować tragiczne, niepotrzebne ofiary". Odrębną wiadomość wysłał do komendanta głównego Armii Krajowej Tadeusza Bora-Komorowskiego 29 lipca 1944 roku, w której sprzeciwiał się przeobrażeniu akcji „Burza" w powstanie.

Mikołajczyk, udający się pod koniec lipca 1944 roku na pertraktacje z Rosjanami, notabene z inicjatywy Churchilla, uważał naiwnie, że wybuch antyniemieckiego powstania w kraju da mu silniejszą pozycję negocjacyjną. 26 lipca 1944 roku gen. Tadeusz Komorowski „Bór" otrzymał pełnomocnictwo do zainicjowania powstania w Warszawie.

Premier polskiego rządu nie odrzucił propozycji komunistów z PKWN utworzenia wspólnego rządu, w którym miałby zostać premierem, a politycy emigracyjni mieliby otrzymać cztery ministerstwa. Przedstawiona polskim politykom emigracyjnym propozycja Mikołajczyka wspólnego rządu z komunistami z PPR oraz odrzucenia konstytucji z 1935 roku spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem prezydenta Władysława Raczkiewicza, socjalistów z PPS, dowództwa Armii Krajowej, a gen. Sosnkowski zagroził wypowiedzeniem posłuszeństwa rządowi.

Chociaż Kazimierz Sosnkowski był przeciwnikiem powstania, to gdy doszło do jego wybuchu, robił wszystko, by pomóc walczącym powstańcom, zabiegał o wsparcie aliantów. Nie mogąc uzyskać pomocy, zamierzał wyjechać do kraju, na co nie otrzymał zgody prezydenta Raczkiewicza. We wrześniu wydał odezwę do walczącej Warszawy, w której ostro skrytykował aliantów, zarzucił im złamanie umów sojuszniczych. Odezwa spotkała się z ogromnym oburzeniem zarówno Brytyjczyków, jak i Sowietów. Premier Churchill interweniował w tej sprawie u prezydenta Władysława Raczkiewicza, w efekcie 30 września 1944 roku generał Kazimierz Sosnkowski został zdymisjonowany ze stanowiska naczelnego wodza.

W czasie wizyty na Kremlu w październiku 1944 roku Mikołajczyk dowiedział się od ministra spraw zagranicznych ZSRS Mołotowa, w obecności Churchilla i Stalina, o tajnych ustaleniach konferencji w Teheranie, oddających wschodnie terytoria RP Sowietom. Po powrocie do Londynu Mikołajczyk próbował przekonać polski rząd do zaakceptowania sowieckich warunków co do przeprowadzenia granicy polsko-sowieckiej na linii Curzona. Po odrzuceniu propozycji przez przedstawicieli pozostałych partii reprezentowanych w rządzie, Mikołajczyk podał się do dymisji.

W rządzie z komunistami

Mikołajczyk mimo dotychczasowego fiaska rozmów ze Stalinem, a także fatalnych dla sprawy polskiej ustaleń tzw. wielkiej trójki w Jałcie, ponownie pojawił się w Moskwie w czerwcu 1945 roku na konferencji w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Tym razem już nie w roli premiera, a lidera Stron-

eprasa.pl a3976d4b30

nictwa Ludowego, przyszłego koalicjanta komunistów. I ponownie spotkały go upokorzenia. Zrobiono wiele, by udowodnić byłemu premierowi polskiego rządu, gdzie jest jego miejsce: w tym samym czasie trwał w Moskwie proces 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, zaś Gomułka skierował do niego, cytowane później często, słowa, że „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy". 5 lipca 1945 roku zwycięskie mocarstwa uznały narzucony przez Sowietów nowy rząd w Polsce i zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem RP na uchodźstwie. Mikołajczyk w nowym rządzie został wicepremierem i ministrem rolnictwa.

Mikołajczyk i kierowane przez niego Stronnictwo Ludowe, przemianowane na Polskie Stronnictwo Ludowe, stały się symbolami legalnej opozycji wobec komunistów, zyskując duże poparcie ze strony polskiego społeczeństwa. Prezes PSL-u rozbudził nadzieje na chociaż połowiczne odzyskanie suwerenności przez Polskę, wszędzie, gdzie pojechał, był witany entuzjastycznie.

Dziś wiemy, że nadzieje Mikołajczyka były, najdelikatniej mówiąc, naiwne, ponieważ komuniści nigdy nie myśleli o podzieleniu się władzą, a jego – byłego premiera – powrót do kraju tak naprawdę legitymizował powojenny układ i pozwalał aliantom na „umycie rąk" w sprawie polskiej. Komuniści wykorzystali byłego premiera rządu RP do stworzenia pozorów demokracji w powojennej Polsce. Zdaniem polskiej emigracji Mikołajczyk zachował się jak zdrajca legitymizujący system i zależność od ZSRS oraz rozbijający jedność polskiego oporu.

W jednej celi z ubecką agentką

Wróćmy do Marii Hulewiczowej. Przyjechała ona wraz z Mikołajczykiem do Polski. Tutaj była dosłownie jego cieniem, towarzyszyła mu we wszystkich wyjazdach, wiecach, spotkaniach. Traktowano ją jak żonę wicepremiera, lidera ludowców. Podziwiała upór swego partnera, odwagę stawienia czoła przeciwnościom, zagrożeniom ze strony bolszewii, bo przecież wielu działaczy PSL-u zapłaciło życiem za swoje uczestnictwo w opozycyjnym Polskim Stronnictwie Ludowym. Maria Hulewiczowa była autorką przemówień Mikołajczyka, przygotowywała teksty pism urzędowych, politycznych, na jego polecenie prowadziła też dokładny diariusz wszystkich poczynań, codziennie notowała wydarzenia, protokołowała wystąpienia publiczne. Ponieważ język Mikołajczyka nie był zbyt potoczysty, była niezastąpiona w czasie konferencji prasowych z polskimi i zagranicznymi dziennikarzami oraz dyplomatami.

Po sfałszowanych wyborach w roku 1947, wobec nasilającego się terroru i ostrzeżeń o zamiarach aresztowania, Mikołajczyk poprosił ambasadę amerykańską o pomoc w zorganizowaniu ucieczki za granicę. 20 października 1947 roku, za pośrednictwem urzędników ambasady, został dowieziony do Gdyni i przemycony na pokład statku „Baltavia", którym opuścił polskie wody terytorialne i udał się do USA. Podobno Amerykanie zastrzegli, że mogą pomóc tylko jemu. Tak czy owak Mikołajczyk nie zadbał o to, by zapewnić bezpieczeństwo Marii i jego najbliższym współpracownikom. Na wiadomość o ucieczce za granicę lidera legalnej opozycji w szoku byli nie tylko ludowcy z PSL-u, lecz także wszyscy polscy patrioci. Mikołajczyk po ucieczce z Polski nie miał już czego szukać w Londynie, zamieszkał w USA. Jak pisał prof. Piotr Kardela: „Dotychczasowy prezes PSL, licząc na przychylność życzliwych mu Amerykanów, planował rozwijanie działalności w emigracyjnym ruchu ludowym i współpracę z powstałym w maju 1944 roku Kongresem Polonii Amerykańskiej. Jego kalkulacje okazały się chybione: Amerykanie już go nie potrzebowali, decyzje polityczne, które podjął w przeszłości, przyczyniły się do zwiększenia podziałów w polskim ruchu ludowym na obczyźnie, a Kongres Polonii tylko krótko był skłonny uznawać go za polskiego męża stanu".

Maria planowała dotrzeć do ambasady USA w Pradze w Czechosłowacji i korzystając z pomocy amerykańskich dyplomatów, przedostać się na Zachód. Wraz z dwoma zaufanymi działaczami PSL-u, Mieczysławem Dąbrowskim i Wincentym Bryją, dotarli do Krakowa, a następnie z pomocą byłego kuriera AK, Eugeniusza Gąsienicy-Sieczki, przeszli granicę w górach. Po ucieczce Mikołajczyka bezpieka nie mogła sobie pozwolić na kolejny blamaż, postawiła więc na nogi służby w Polsce i w Czechosłowacji. Do zatrzymania uciekinierów doszło w Pradze, denuncjatorem okazała się kobieta, która miała załatwić czeskie dokumenty tożsamości. Maria trafiła do aresztu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Koszykowej w Warszawie.

Przesłuchiwały ją na zmianę, w dzień i w nocy, same tuzy bezpieczniackiej roboty – Józef Różański (Goldberg), Adam Humer; oprawcy z Departamentu Śledczego MBP: Józef Dusza, Ludwik Serkowski, Eugeniusz Chimczuk, Michał Winnicki, Jerzy Kędziora i Roman Łaszkiewicz. Jeszcze po latach na wspomnienie brutalnego śledztwa robiło jej się słabo. Przetrzymywana była w zimnym, wilgotnym karcerze, w którym cały czas kapała woda, padała nieprzytomna po wielogodzinnych „stójkach". Długie przebywanie w chłodnej wilgotnej celi spowodowało odmrożenie nóg. Została przymuszona do podpisania zgody na ewentualną amputację odmrożonej nogi. Po przeniesieniu do innej celi otrzymała do towarzystwa ubecką agentkę celową. Agentka niewiele zdołała wyciągnąć od Marii, chyba jedynie to, że „bardzo kocha Stacha".

eprasa.pl a3976d4b30

Śledztwo trwało kilkanaście miesięcy. Maria najbardziej bała się nocnych przesłuchań Różańskiego. Przedwojenny prawnik, adwokat uwielbiał bić kobiety, manipulować nimi w czasie przesłuchań. To oczywiste, że czasami udawało mu się wyczerpaną fizycznie i psychicznie ofiarę złapać na kłamstwie lub coś z niej wydusić. Można domniemywać, że Maria była maltretowana w zastępstwie premiera Stanisława Mikołajczyka. Niektórzy z działaczy PSL-u przebywający na emigracji podejrzewali, że to Maria ujawniła miejsce ukrycia poufnych dokumentów, m.in. prowadzonego przez nią diariusza, dopiero po latach okazało się, że informatorem był jeden z posłów PSL-u, zaufany Mikołajczyka.

8 października 1951 roku Maria Hulewiczowa została skazana przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod przewodnictwem płk. Mieczysława Widaja na siedem lat więzienia, utratę praw na lat pięć oraz przepadek wszelkiego mienia. W chwili ogłaszania wyroku miała 38 lat. Oskarżyciel publiczny, prokurator mjr Jan Orliński (właściwie Unterweiser), oskarżył ją m.in. o działalność antypaństwową, o współpracę z wywiadem angielskim i amerykańskim.

U boku komunisty

Po śmierci Stalina pojawiły się oznaki złagodzenia represji wobec polskiego społeczeństwa. Na mocy decyzji Rady Państwa z maja 1954 roku Maria Hulewiczowa mogła opuścić więzienie, kara została zawieszona na okres dwóch lat. Po wyjściu z więzienia nie wiedziała, gdzie się podziać, nie miała przecież swego domu, rodzinę straciła w czasie wojny. Jako osoba karana, wróg ludu, o znalezieniu pracy mogła jedynie pomarzyć. Na szczęście nie odmówiła jej pomocy była teściowa mieszkająca w Krakowie. Mąż, Jan Hulewicz, opłacił kurację Marii w domu wypoczynkowym Polskiej Akademii Nauk w Zakopanem i pomógł w uzyskaniu pracy – przez kilka najbliższych lat utrzymywała się z prac zleconych redakcji filologicznej Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Maria Hulewiczowa nawet w więzieniu nie zwątpiła w zapewnienia Stanisława Mikołajczyka, że kiedyś na pewno ułożą sobie wspólne życie. Nadal go kochała. Być może nawet ta miłość pomagała jej przetrwać trudy więzienia. W niedługim czasie podjęła próbę odnowienia relacji, jednak listy wysyłane do „kochanego Stacha" trafiały w próżnię; starała się też, niestety bezskutecznie, o zgodę na legalny wyjazd za granicę. Po pewnym czasie dotarła do niej wiadomość, że w roku 1954 zmarła Cecylia Mikołajczyk, a jej „kochany Stach" ma nową partnerkę. Była to wiadomość, która bardzo ją dotknęła. Powoli też zaczęła nabierać dystansu do środowiska ludowców, przekonała się, że dopóki była blisko z Mikołajczykiem, o jej względy wszyscy zabiegali, a po wyjściu z więzienia odsunęli się od niej. A przecież odegrała bardzo ważną rolę w antykomunistycznym ruchu narodowym, jakim bez wątpienia było PSL.

Po wyjściu z więzienia Maria Hulewiczowa była przez wiele lat nękana przez bezpiekę, prowadzono przeciwko niej sprawę rozpoznania operacyjnego o kryptonimie „Korek". Pod koniec lat 50. przeniosła się do Warszawy. Prawdopodobnie w pociągu na trasie Kraków–Warszawa poznała oficera „ludowego" Wojska Polskiego i początkującego literata, Janusza Przymanowskiego, młodszego od niej o dziewięć lat. Okazało się, że oboje przeżyli zawody miłosne, Przymanowski był po rozwodzie. W roku 1964 zawarli związek małżeński. Przymanowski, literat samouk, autor książek o tematyce wojskowej, a także piosenek śpiewanych na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, mógł wiele nauczyć się od wykształconej filologicznie partnerki, ona była nie tylko pierwszym czytelnikiem jego tekstów, jak wspominał, lecz także nauczycielką, korektorem i redaktorem.

Jaki był udział Marii w napisaniu powieści „Czterej pancerni i pies", wydanej w 1964 roku, której oficjalnym autorem jest Przymanowski? Nie wiemy. Na pewno miała ogromny udział w tworzeniu scenariusza serialu na podstawie książki. Starsi czytelnicy pamiętają, jak ogromnym powodzeniem, szczególnie wśród dzieci i młodzieży, cieszył się ten serial. Maria i Janusz Przymanowscy za uzyskane honorarium kupili willę w ekskluzywnej części warszawskiego Mokotowa, przy ulicy Idzikowskiego 17. Po sąsiedzku, przy ulicy Ikara, mieszkał gen. Wojciech Jaruzelski.

Maria próbowała nadrobić stracony w czasie wojny i w więzieniu czas. Dużo pracowała, tłumaczyła książki z języka francuskiego i angielskiego.

W 1972 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zakończyło sprawę jej rozpoznania operacyjnego. W aktach SB można znaleźć notatkę: „[…] odbycie kary, zmiana miejscowości zamieszkania i powtórne małżeństwo z człowiekiem wielce zasłużonym w PRL wpłynęło na całkowite zerwanie z przeszłością i poprzednim środowiskiem. Wymieniona jest obecnie literatem, pracuje w domu, zajmuje się kulturą staroeuropejską i razem z mężem często wyjeżdża za granicę […]. Nie stwierdzono, aby figurantka nawiązywała na terenie W-wy kontakty z byłymi aktywnymi działaczami byłego PSL".

Maria nie zgodziła się na zaproponowany jej proces rehabilitacyjny, dowodząc, że przecież działała jawnie w legalnym stronnictwie politycznym, nie przyjęła też proponowanego jej wówczas odszkodowania w wysokości 30 tys. złotych za pobyt w więzieniu.

Zmarła na chorobę nowotworową 15 marca 1978 roku. Tylko nieliczni wiedzieli, że to Maria Hulewiczowa, była nieformalna żona Stanisława Mikołajczyka, premiera polskiego rządu RP na uchodźstwie. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Piotr Lisiewicz

Wywiad Marka Ruszczyńskiego z Węgrem Istvanem Belovai pokazuje, jak wiele mamy ze sobą wspólnego jako kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Oto oficer wywiadu komunistycznych Węgier dochodzi do wniosku, że naszym państwom grozi atomowa zagłada, jeśli Związek Sowiecki uderzy na państwa NATO. A będzie mógł uderzyć, bo tajemnice Sojuszu wyciekają do Moskwy za sprawą szpiega, umieszczonego w zachodnich Niemczech. Dlatego postanawia przejść na stronę Zachodu. Były to więc motywacje podobne do motywacji gen. Ryszarda Kuklińskiego. Przedrukowujemy ten wywiad ze zmarłym w 2009 roku oficerem w czasie, gdy w Polsce, 36 lat po upadku komunizmu (na cztery łapy), marszałkiem Sejmu został komunistyczny aparatczyk Włodzimierz Czarzasty, nazywający Kuklińskiego zdrajcą. Co pokazuje, że nasze rozrachunki z komunizmem nigdy nie zostały zakończone. I nadal Rosja i Niemcy robią wszystko, by przeszkadzać w sojuszu państw Międzymorza, przeciągając ku sobie polskie i węgierskie elity. Tym bardziej aktualna to dziś lektura.

Pierwszy węgierski oficer w NATO

– Miałem w swoich rękach informacje na temat niebezpiecznego szpiega Conrada, który pracował dla wywiadu węgierskiego i dostarczał nam przeogromne ilości supertajnych dokumentów. Te tajne dokumenty prawie natychmiast przekazywane były do GRU. Na początku lat 80. sowiecki wywiad wojskowy dysponował wystarczającą ilością informacji o armii amerykańskiej i wojskach NATO w Europie, tak że Armia Czerwona miała możliwość skutecznego ataku na NATO w Europie – mówił Istvan Belovai na łamach „Tygodnika Solidarność". Rozmawiał Mark Ruszczyński.

▶ Proszę nam powiedzieć, czym zajmował się Pan, będąc oficerem Węgierskiej Armii Ludowej?

W czerwcu 1963 roku zacząłem służbę w Węgierskim Strategicznym Wywiadzie Wojskowym – HSMIS. W Departamencie Informacji byłem najmłodszym oficerem. W 1964 roku zacząłem służbę w Departamencie Brytyjskim. Praca polegała na analizowaniu materiałów nadsyłanych przez rezydenturę z Anglii.

Studia skończyłem na Uniwersytecie Sztabu Armii w roku 1973 i wróciłem do pracy w wywiadzie. Tym razem pracowałem w Departamencie Amerykańskim, gdzie analizowałem materiały nadchodzące z USA. Poznałem wtedy bardzo dobrze rozmieszczenie wojsk amerykańskich w Europie, a później także lokacje wszystkich międzykontynentalnych pocisków balistycznych (rakiety Titan i Minutement). Skoro ja o tym wiedziałem, to oczywiste jest, że wiedział o tym także Związek Radziecki.

Na wiosnę 1975 roku dostałem pierwsze materiały od Clyde'a Lee Conrada*. Wtedy oczywiście nie znałem jego nazwiska. To był mikrofilm dotyczący VII Armii USA w Europie. Materiał nosił tytuł „Bieżące procedury operacyjne VII Armii USA". W skali od 1 do 5 oceniłem go na 4 i poprosiłem o dodatkowe materiały na temat wojsk amerykańskich w Europie.

Pod koniec 1978 roku czułem, że powinienem poinformować ambasadę amerykańską w Budapeszcie, a przez to przywódców amerykańskich, że z Niemiec napływały w dużych ilościach najtajniejsze sekrety NATO. Chciałem Amerykanów ostrzec, ponieważ ta-

eprasa.pl a3976d4b30

kie sekrety w rękach Rosjan to było zagrożenie dla pokoju w Europie i na świecie.

▶ Dlaczego zdecydował się Pan ryzykować własne życie, aby pomóc Zachodowi?

Miałem w swoich rękach informacje na temat niebezpiecznego szpiega Conrada, który pracował dla wywiadu węgierskiego i dostarczał nam przeogromne ilości supertajnych dokumentów. Te tajne dokumenty prawie natychmiast przekazywane były do GRU. Na początku lat 80. sowiecki wywiad wojskowy dysponował wystarczającą ilością informacji o armii amerykańskiej i wojskach NATO w Europie, tak że Armia Czerwona miała możliwość skutecznego ataku na NATO w Europie.

W przypadku wojny NATO miałoby do wyboru albo skapitulować, albo użyć przeciwko ZSRR broni atomowej. Zdecydowałem się zapobiec potencjalnej sowieckiej agresji.

W roku 1984, gdy byłem asystentem militarnym w Londynie, przekazałem rządowi amerykańskiemu informacje o działalności sierżanta US Army USA Clyde'a Lee Conrada i jego siatki szpiegowskiej w US Central Army Group w Niemczech Zachodnich. Jestem pierwszym węgierskim oficerem wywiadu, który po roku 1956 miał odwagę walczyć przeciwko ekspansji Armii Czerwonej w Europie.

▶ Czy uważa Pan, że wiele pomógł pan Zachodowi?

Materiały od Conrada grupowałem według 9 kategorii i według 40 zakresów tematycznych. W systemie zarejestrowałem 150 teczek. Po aresztowaniu Conrada prasa na Zachodzie pisała, jakie dokładnie materiały zostały przekazane wywiadowi węgierskiemu. Lista ta nie była jednak pełna. Wiem, że pomiędzy 1980 i 1985 w sejfach węgierskich znajdowało się więcej niż 150 teczek z materiałami od siatki Conrada.

Materiały o rozmieszczeniu atomowych min NATO miały przeogromne znaczenie. Skoro Rosjanie wiedzieli, gdzie one się znajdują, to Rosyjska Armia Grupy Środka mogła w zachodnim teatrze wojny skutecznie zaatakować NATO Central Army Group. Jeżeli wojna by się rozpoczęła, to system obrony NATO zostałby zniszczony, zanim mógłby zadziałać. Posiadając te informacje, Rosjanie mogliby zniszczyć kluczowe miejsca, grupy żołnierzy i najważniejsze obiekty w krótkim czasie.

Siatka szpiegowska Conrada była rozpracowywana od wiosny 1984 do sierpnia 1988. Te cztery lata wskazują, jaką ogromną pracę musiały wykonać CIA, FBI i niemiecki kontrwywiad.

Zdradziłem blok sowiecki w 1984 nie po to, żeby zaszkodzić mojemu krajowi, ale żeby ustrzec go przed katastrofą. Osiągnąłem to poprzez przeszkodzenie sowieckim planom ataku na NATO i inwazji na Europę Zachodnią. Uważam, że poprzez swoją działalność przyczyniłem się także do obalenia komunizmu na Węgrzech.

▶ W jaki sposób doszło do Pana wpadki i aresztowania?

Fakt, że węgierski kontrwywiad mnie aresztował, nie oznacza wcale, że była to wina CIA, raczej zbieg okoliczności, przypadków, wydarzeń. Myślę, że zadziałało prawo Murphy›ego. (Jeżeli cokolwiek złego może się zdarzyć, to się zdarzy na pewno).

Nie wykluczając innych możliwości, wydaje mi się, te Aldrich Ames mógł przekazać Rosjanom informacje o mnie. To KGB poinformowało węgierski kontrwywiad o mnie w roku 1985. Współpraca komunistów w tym zakresie była doskonała. To doprowadziło do mojego aresztowania.

▶ Czy za swoją pomoc dla Zachodu dostawał Pan pieniądze?

Nigdy nie myślałem o tym, że robię to dla pieniędzy. W Londynie ustaliłem z agentem CIA, który przedstawił się jako John, że będę z nimi współpracował tak długo, jak Sowieci będą na Węgrzech. Powiedziałem mu wyraźnie, że nie chcę żadnych pieniędzy za moją pomoc. Miałem wystarczająco dużo pieniędzy w banku na Węgrzech oraz w banku w Londynie. Ustaliliśmy też, że nie stanie się krzywda Węgrom pracującym w Londynie. Nawet po moim aresztowaniu nie spotkała ich żadna nieprzyjemność ze strony Zachodu.

▶ Jak był Pan traktowany przez komunistów po aresztowaniu?

Węgierska komunistyczna policja niemal pozbawiła mnie życia, ale przeżyłem. Tu więzień polityczny nie miał prawa obrony ani przedstawienia swoich dowodów. Nie było niezależnego systemu sądownictwa, lecz dyktatura komunistyczna. Było dla mnie jasne, że nie ma znaczenia, co powiem, ani to, jakie przedstawię motywy mojego działania. Wiedziałem, że po zakończeniu dochodzenia zostanę zabity. Wiedziałem wystarczająco dużo o procesach takich, jak mój. Jeden z przesłuchujących powiedział mi od razu wprost: „Będziesz wisiał".

W celi, do której mnie wsadzono, był drugi więzień. Od razu zdałem sobie sprawę, że ten człowiek jest podstawiony, żeby donosić na mnie.

Podczas drugiego dnia przesłuchań przesłuchujący mnie major zaczął dyktować do akt, że przyznaję się

eprasa.pl a3976d4b30

do skontaktowania z CIA w celu obalenia komunistycznego systemu politycznego na Węgrzech i wprowadzenia brytyjskiego typu demokracji. Brzmiało to ładnie, ale to nie była prawda, bo ja tak nie powiedziałem. Zapytał mnie, czy taka forma przyznania się do winy jest dobra. Odpowiedziałem, że forma jest wspaniała i podpisałem.

W zasadzie, to komuniści mieli tylko jeden bezpośredni dowód na mnie. To była mała paczuszka od CIA. Dziwiło ich, że przez 5 miesięcy przesłuchań nie próbuję popełnić w celi samobójstwa. To im zupełnie nie pasowało. Wiedziałem, że ich celem była moja śmierć. Wiedziałem, że zostanę zabity, jednak tak długo jak żyłem, miałem nadzieję.

▶ O co oficjalnie został Pan oskarżony w czasie procesu?

O szpiegowanie przeciwko interesom Związku Radzieckiego.

▶ To nie o szpiegowanie przeciwko interesom komunistycznych Wegier?

No właśnie, nie. W oficjalnym akcie oskarżenia było napisane: „przeciwko interesom Związku Radzieckiego".

▶ Jak przebiegał proces i jakim wyrokiem się zakończył?

16 grudnia 1985 roku po pięciu miesiącach i sześciu dniach przesłuchań stanąłem przed wojskowym sądem. Wojskowym sędzią był pułkownik Ede Raboczki. Ponadto było dwóch dodatkowych sędziów, którzy teoretycznie powinni pełnić taką rolę, jak przysięgli w USA. Ci jednak głosowali zawsze „winny". Wojskowym prokuratorem był pułkownik policji Elemer Balatoni, znany proso- wiecki komunista. Prokurator domagał się dla mnie kary śmierci. Mój adwokat Jozef Lay nie miał żadnego wpływu na przebieg procesu. Proces był tajny i odbywał się przy drzwiach zamkniętych. Wojskowy sąd skazał mnie na dożywocie.

Po 17 grudnia 1985 roku oczekiwałem w więzieniu na drugą rozprawę, bo mój adwokat bez konsultacji ze mną złożył apelację. Trzymano mnie w celi dla skazanych na śmierć.

Drugi proces rozpoczął się 13 stycznia 1986 roku. Sędzią był pułkownik Guorgy Korda, którego nazywano „Sędzią Śmierć". Ten sam prokurator co poprzednio znów domagał się kary śmierci. Ku rozczarowaniu prokuratora, sędzia Korda ogłosił, że jestem skazany na dożywocie i konfiskatę całego majątku.

▶ Jak długo siedział Pan w więzieniu?

Pięć lat i dwa miesiące. Zostałem wypuszczony w dniu 7 września 1990 roku.

▶ Czy demokratyczne i niepodległe Węgry są wdzięczne za Pana pomoc dla NATO, którego członkiem są obecnie?

Nie. Węgry nie są wdzięczne za moją pomoc dla NATO. Wprawdzie 7 września 1990 roku otrzymałem ułaskawienie od prezydenta i wypuszczono mnie z więzienia, a decyzją prezydenta Freneca Madla z dnia 7 września 2000 roku przestałem być kryminalistą, to jednak nie zwrócono mi majątku. Nie otrzymuję emerytury, ponieważ nie przywrócono mi mojego oficerskiego stopnia. Nie oczyszczono mnie z zarzutu szpiegostwa. W moim ojczystym kraju demokratyczni liderzy karzą tych szpiegów, którzy pomagali NATO. Oni są w NATO i chętnie przyjmują amerykańską pomoc. To jest paradoks, w sytuacji gdy pomoc amerykańska idzie między innymi na szkolenie młodych oficerów wywiadu.

Moim zdaniem na Węgrzech dokonano tylko tytularnej zmiany politycznego systemu. To znaczy, że od samego początku zmiany systemu towarzysze ze starej kadry utrzymują pozycje poza kulisami sceny politycznej.

▶ Czy jest Pan uważany na Węgrzech za bohatera narodowego?

Nie. Chociaż część społeczeństwa tak chyba uważa. W ciągu ostatnich sześciu lat wielokrotnie o mojej sprawie pisano. Media węgierskie nie są mi wrogie. Dziennikarze wskazują, jak nielogiczne i nieetyczne jest to, że skazały mnie Węgry komunistyczne, a demokratyczne Węgry nie chcą mnie w pełni zrehabilitować.

**Conrad był oficerem armii amerykańskiej, który rozpoczął współpracę z wywiadem węgierskim w 1975 roku. Do jego obowiązków należało zabezpieczanie tajnych dokumentów VIII Zmechanizowanej Dywizji w Niemczech Zachodnich.*

Mark Ruszczyński *– znawca zagadnień zimnej wojny i Europy Wschodniej. Doradca amerykańskich polityków za prezydentury Reagana i Busha. W latach 80. zeznawał przed Senacką Komisją Spraw Zagranicznych.* ■

Przedruk za: „Tygodnik Solidarność", 16 grudnia 2004 r.

eprasa.pl a3976d4b30

Małgorzata Matuszak

Czym jest... nadziejność

Nadziejność" to słowo niemal nieobecne w naszym języku. Brzmi zarazem znajomo i obco, jakby ukrywało w sobie sens, którego nie potrafimy jeszcze nazwać. W słownikach trafimy na lakoniczną wzmiankę, że to „cecha bycia pełnym nadziei", ale w potocznym użyciu słowo to praktycznie nie występuje, jakbyśmy w języku mieli samą nadzieję, a brakowało nam nazwy dla tego, co ją umożliwia. A przecież intuicyjnie czujemy, że różnica między nadzieją a nadziejnością jest zasadnicza. Nadzieja jest doświadczeniem, uczuciem, ruchem serca; nadziejność – czymś głębszym. Gdy ją tracimy, mówimy o beznadziejności. I właśnie to zestawienie – nadziejność kontra beznadziejność – odsłania, jak bardzo brakuje nam słowa, które pozwoli nam uchwycić ten stan poprzedzający nadzieję, a niewidzialny wtedy, gdy jej nie ma. Beznadziejność nie jest bowiem jedynie brakiem nadziei, lecz doświadczeniem, w którym człowiek dotyka jakiegoś fundamentalnego zamknięcia, utraty przyszłości jako przestrzeni możliwego dobra.

Dlatego warto wydobyć „nadziejność" z językowego niebytu. Wskazuje ona na samo źródło nadziei, na możliwość dobra, która jest wpisana w strukturę świata i ludzkiego istnienia. Zanim bowiem człowiek poczuje nadzieję, zanim ją nazwie i zanim ją straci, żyje dzięki nadziejności. Jest ona jak fundament doświadczenia, jak światło, które istnieje, nawet jeśli chwilowo nie potrafimy go dostrzec.

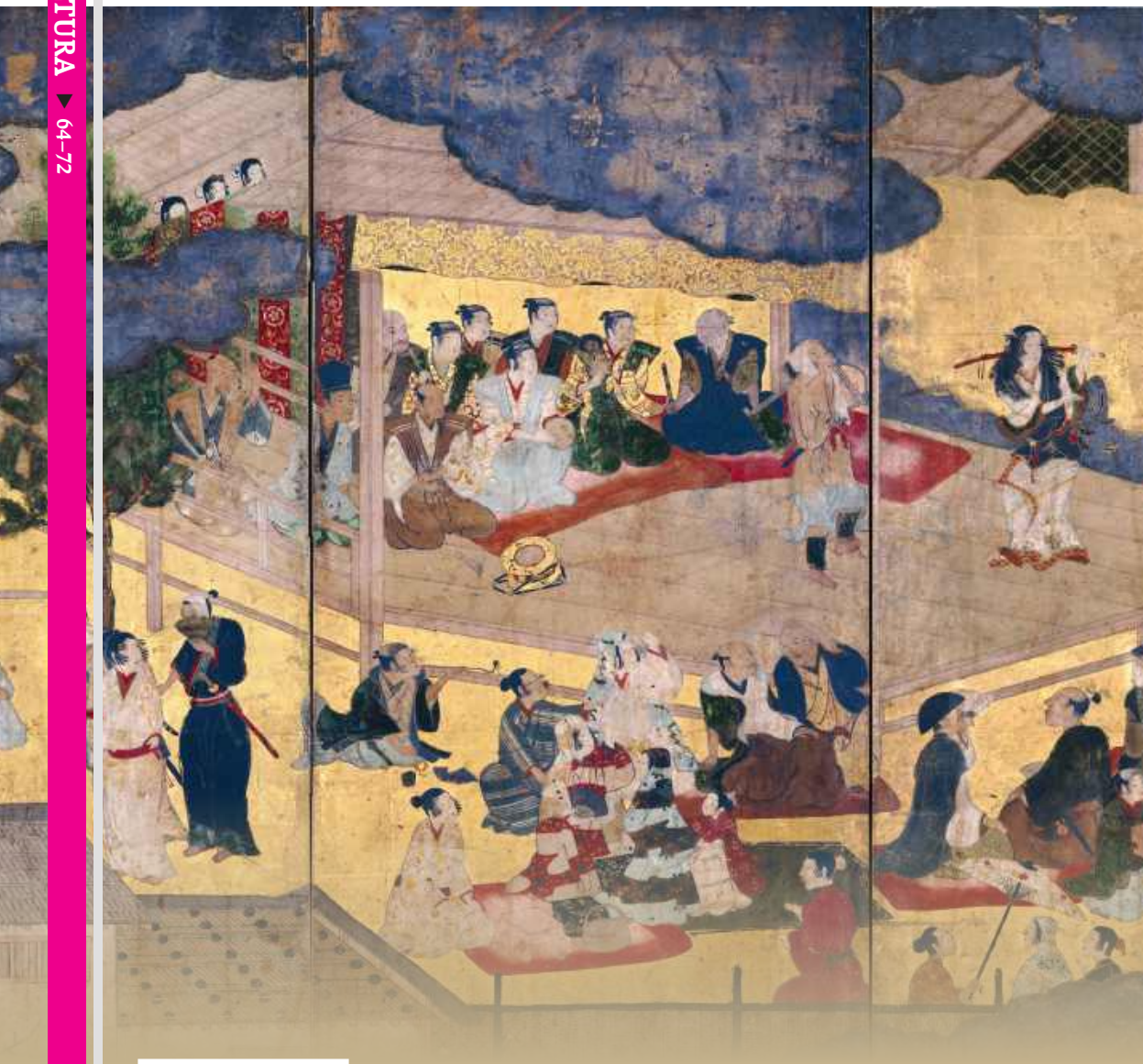
Nadziejność jest ontologiczną cechą bytu, strukturą ontologiczną świata i egzystencji, w której przyszłość pozostaje otwarta, a dobro możliwe do zaistnienia. To dzięki niej człowiek może doświadczać nadziei, która jest egzystencjalnym aktem ukierunkowania na możliwe dobro, mimo niepewności i trudności. Nadzieja różni się jednak od taniego optymizmu: nie jest powierzchownym przekonaniem, że „będzie dobrze", lecz świadomym rozpoznaniem możliwości, które rzeczywiście istnieją w świecie nadziejności.

Istnieją w roku chwile, w których nadziejność, zwykle ukryta w strukturze świata, staje się wyjątkowo widoczna. Adwent, Boże Narodzenie i przełom roku to czas, w którym człowiek nie tylko wspomina obietnice, lecz także uczy się na nowo je przyjmować, nosić, wcielać i przekazywać. Adwent to czas najbardziej czystej nadziejności. Nie jest on sentymentalnym oczekiwaniem na święta, lecz duchową formą czujności wobec Boga, który jest już blisko. Nadziejność objawia się tu jako ontologiczna otwartość stworzenia na przychodzącego Stwórcę. Boże Narodzenie jest zaś szczytowym momentem nadziejności, czasem, w którym obietnica staje się ciałem. Spełnia się w nim obietnica i tajemnica zarazem, że Bóg nie tylko stwarza czas, lecz także wchodzi weń, by go pobłogosławić i przemienić. Nadziejność wciela się w konkretną obecność – w dziecko, które jest jednocześnie bezbronne i wszechmocne. W Bożym Narodzeniu nadziejność świata – i nas samych – zostaje ostatecznie potwierdzona: odtąd w każdej ciemności może się narodzić światło, którego nikt nie zdoła zgasić. Przełom roku dopełnia tę logikę, choć w sposób bardziej symboliczny. W tradycji chrześcijańskiej koniec i początek roku nie są jedynie zmianą kalendarza, lecz przypomnieniem, że czas jest darem Boga. To On jest „Alfą i Omegą", Tym, który otwiera i zamyka dzieje, a jednocześnie prowadzi człowieka drogą, którą tylko On w pełni zna.

> CZŁOWIEK JEST ISTOTĄ NADZIEJNĄ NIE DLATEGO, ŻE POTRAFI ŻYCZENIOWO PATRZEĆ W PRZYSZŁOŚĆ, LECZ DLATEGO, ŻE JEGO BYT JEST ZAKORZENIONY W BOGU, KTÓRY OBIECUJE I DOCHOWUJE WIERNOŚCI.

W tym czasie ujawnia się fundamentalna prawda wiary: że nadziejność jest wpisana w samą naturę stworzenia, bo stworzenie jest odpowiedzią na Boże „fiat", na słowo, które zawsze niesie obietnicę dobra. Człowiek jest zatem istotą nadziejną nie dlatego, że potrafi życzeniowo patrzeć w przyszłość, lecz dlatego, że jego byt jest zakorzeniony w Bogu, który obiecuje i dochowuje wierności. Dlatego ten czas tak mocno porusza nasze serca. Bo choć świat często zdaje się pełen beznadziejności, to w tych dniach wybrzmiewa w nas ciche, ale nieodparte przypomnienie: Bóg naprawdę przychodzi. Przychodzi zawsze. I przychodzi w taki sposób, że nikt nie pozostaje poza zasięgiem Jego światła. ■

eprasa.pl a3976d4b30



Łukasz Czarnecki

Teatr jest światem

eprasa.pl a3976d4b30



Powstały w XVII wieku japoński teatr kabuki, w 2008 roku został oficjalnie wpisany przez UNESCO na listę niematerialnego dziedzictwa ludzkości. Akt ten stanowił uhonorowanie długiej drogi przebytej przez ów rodzaj widowiska od mocno szemranych początków, przez dynamiczny rozwój w epoce Edo, po czasy współczesne, kiedy cieszy się statusem jednej z klasycznych dziedzin sztuki Kraju Kwitnącej Wiśni i jako taki otoczony jest aurą niemalże świętości…

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.ORG

Licząca 422 lata historia kabuki zaczęła się w 1603 roku na niewielkiej, prowizorycznej scenie, wybudowanej naprzeciw świątyni Kitano w Kioto. Przed ciekawskimi widzami wystąpiła na niej kapłanka z chramu shinto w Izumo imieniem Okuni. Dziewczyna służyła bóstwom jako tancerka, razem z grupą podobnych jej młodych kobiet cieszyła serca zarówno bogów, jak i wiernych tańcami, w których sfery sacrum i profanum przenikały się. Układy choreograficzne, wykonywane przez świątynne służebnice, tańczono przy akompaniamencie pieśni miłośnych, cechowała je duża zmysłowość, a i same kapłanki uchodziły za kobiety wyzwolone, nie stroniące od używek i innych rozkoszy ciała.

Publiczne zgorszenie

Widowisko, które tamtego dnia pokazała Okuni, dobrze wpisywało się tradycje tego rodzaju spektakli. Pomysłodawczyni i główna aktorka show wystąpiła na scenie przebrana za… mężczyznę. Taka inwersja płci była czymś nowym. Dodatkowo atrakcyjności widowisku dodawał wybór postaci, w jaką wcieliła się kapłanka, która przyjęła rolę kabukimono, tj. wielkomiejskiego hulaki, ronina, weterana niedawno zakończonych wojen domowych, który z życia korzystał, ile się dało. Dziewczyna występowała odziana w męskie kimono, zbrojna w dwa miecze w zdobnych pochwach, z fajką, woreczkiem na tytoń i sakwą z sake przy boku, zaś z szyi zwisał jej ostatni krzyk mody wśród japońskich dandysów… kryształowy krucyfiks zakupiony od Portugalczyków. Wykonała przed publiką żywiołowe tańce, przeplecione zabawnymi skeczami. W jednej ze scenek, jako zblazowany ronin, negocjowała z właścicielką zamtuza cenę za usługi kurtyzany. Będąca obiektem targów pani do towarzystwa, gdy pojawiała się na scenie, kryła twarz za wachlarzem, nie na tyle jednak konsekwentnie, by widzowie nie zauważyli, iż dziewka sprzedajna… miała brodę! Jeśli zaś ktoś był na tyle gapowaty, by mu ten szczegół umknął, wątpliwości co do tego, że prostytutkę gra mężczyzna, rozwiewały się, gdy ta przemawiała grubym, męskim głosem.

Show okazało się wielkim sukcesem i Okuni wraz z towarzyszkami dawały je jeszcze wiele razy. Szybko znalazły się naśladowczynie, które te tzw. tańce kabuki (kabuki odori) potrafiły wykonywać z jeszcze większym rozmachem. Jedno z XVII-wiecznych malowideł pokazuje grupę aż 60 przebranych w męskie stroje tancerek wykonujących układy choreograficzne nad brzegiem Kano w Kioto. Moda na widowisko szybko rozlała się z cesarskiej stolicy na inne miasta.

eprasa.pl 3976d4b30

Wkrótce kabuki odori tańczono w kupieckiej Osace, dynamicznie rozwijającym się Edo, gdzie siedzibę miał szogun, i pozostałych większych ośrodkach. Ku narastającemu zgorszeniu władz, bo nową formę sztuki scenicznej bardzo szybko upodobały sobie… prostytutki. Wyzywające pozy i stroje sprawiły, iż handlarki płatnej miłości rychło zaczęły wykorzystywać tańce kabuki do reklamowania swoich usług. Spektakle w ich wykonaniu kończyły się uciechami cielesnymi dla tych, którzy skłonni byli zapłacić za wdzięki „artystek". Niejednokrotnie poprzedzały je burdy między rozpalonymi do czerwoności widzami.

W roku 1628 rząd powiedział w końcu dość tej fali rozpusty, wprowadzając zakaz występowania kobiet na scenach. Natura nie zna jednak próżni… Dziewki sprzedajne szybko zastąpili nastoletni młodzieńcy, równie chętnie kupczący swym ciałem. Zaczął się trwający dwie dekady okres „chłopięcego kabuki", gdy scenę zdominowały grupy męskich prostytutek, kuszących nie tylko zmysłowymi podrygami, lecz także opadającymi na czoło grzywkami, które ówcześni Japończycy o określonych skłonnościach uważali za nadzwyczaj erotyczne… Jak często bywa, władza chcąc uzdrowić publiczną moralność, tylko pogorszyła sprawę. Prostytucja, tyle że teraz homoseksualna, nadal kwitła, a awantury na widowniach trwały, co gorsza coraz częściej angażując – oprócz prostego ludu – samurajów i arystokratów! W roku 1648 dokonano kolejnej prawnej interwencji w świecie show biznesu i młodzieńcy znaleźli się na cenzurowanym. Od teraz występować w widowiskach mogli już tylko dojrzali mężczyźni, o których pełnoletności dobitnie świadczyło wygolone czoło.

▶ Władza…

Paradoksalnie to właśnie wojna, jaką formującemu się dopiero kabuki wypowiedział szogunat, doprowadziła do tego, że erotyczne show przemieniło się w drugiej połowie XVII wieku w autentyczny teatr. Trupy nie mogły już budować widowiska w oparciu o atrakcyjność kobiecych czy młodzieńczych ciał. By przyciągnąć widzów, aktorzy musieli zacząć grać naprawdę, skecze dotychczas stanowiące przerywnik tańców mnożyły się i łączyły w fabuły, aż w końcu autentyczne dramaty zyskały dominującą funkcję w programie, choć tańce nigdy nie zniknęły do końca z repertuaru kabuki.

W ciągu następnego półwiecza dokonała się ewolucja i w przypadającą na początek XVIII stulecia tzw. erę Genroku, kabuki weszło okrzepłe i obdarzone własnym, unikalnym charakterem, który zaskarbił mu uwielbienie plebejskiej publiczności. Dla mieszkańców Edo, Kioto, Osaki i innych miast aktorzy stali się idolami i wyznacznikami trendów, ale cień, jaki na ich profesję nadal rzucały bliskie związki jej początków z prostytucją, pozostał. Nawet najwięksi, ubóstwiani przez fanów wykonawcy z punktu widzenia prawa znajdowali się na najniższym szczeblu drabiny społecznej (a właściwie to nawet pod nim) razem z nierządnicami. Widać to było nawet w języku – po japońsku gdy liczymy jakieś przedmioty lub stworzenia, do oznaczających je liczebników dodajemy odpowiednie klasyfikatory. Do liczenia aktorów używano w epoce Edo klasyfikatora… małych zwierząt.

Teatr kabuki szybko stał się ulubioną rozrywką mieszczaństwa. Choć Japonię kojarzy się głównie z samurajami i począwszy od XII wieku aż po drugą połowę wieku XIX to oni stanowili klasę rządzącą, na czasy szogunatu Tokugawów przypada bezprecedensowy rozwój urbanistyczny i demograficzny, który pociągnął za sobą szybki rozwój kultury mieszczańskiej o charakterze popularnym.

Paradoks tamtej epoki polega na tym, że choć stanowiła ona złoty wiek mieszczaństwa, to równocześnie było ono grupą nieustannie szykanowaną przez władzę. Sam fakt, że kupcy, rzemieślnicy i miejskie pospólstwo uwielbiali kabuki, był dla szogunatu podejrzany, nawet wówczas, gdy zerwane zostały jego powiązania z branżą „płatnej miłości". Wystawiane na scenach dramaty oskarżano o demoralizowanie publiczności, a fabuły kontrolowali cenzorzy. Spektakle nie mogły komentować spraw politycznych ani podważać porządku społecznego. Jednak artyści to niepokorne środowisko i na przekór autorytetom, gdy chcieli, potrafili skutecznie obchodzić przepisy. W jednym przypadku przyniosło to owoc w postaci największego japońskiego teatralnego hitu wszechczasów.

W roku 1748 na deskach teatru Shibai w Osace wystawiono „Skarbiec wiernych wasali albo wzór liter". Sztuka pierwotnie powstała dla konkurującego z kabuki teatru lalkowego, ale już w roku premiery kukiełkowego oryginału stworzono aktorską adaptację. Fabuła opowiadała o wendecie 47 roninów pragnących pomścić śmierć ich seniora, będącą efektem dworskiej intrygi. Tematyka dramatu gwarantowała sukces, bo kanwę stanowiły prawdziwe wydarzenia, które wstrząsnęły Japonią zaledwie nieco ponad 40 lat wcześniej. Sęk w tym, że cała rzecz nadal była bardzo świeża i takie rozdrapywanie starych ran mogło rozjątrzyć cenzurę. I tu objawił się geniusz twórców sztuki, gdyż na scenie incydent przeniesiono w odległą o cztery wieki przeszłość, umiejscawiając akcję w początkach szogunatu rodu Ashikaga i nieco modyfikując szczegó-

eprasa.pl a3976d4b30

ły, takie jak imiona bohaterów. To wystarczyło, by uspokoić władzę, a „Skarbiec wiernych wasali" stał się utworem kultowym do tego stopnia, że to właśnie on uformował ostatecznie legendę 47 roninów, rodząc mnóstwo spin-offów oraz niezliczone ilustrujące fabułę spektaklu drzeworyty ukiyo-e (Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie zorganizowało przed laty wystawę tych ostatnich; zainteresowanym polecam sięgnąć po wydany przy tej okazji album z reprodukcjami).

Kontrolę władz nad kabuki łatwiej zrozumieć, gdy zdamy sobie sprawę, jak bardzo wpływowe było to medium. Aktorzy wyznaczali wśród mieszkańców miast mody i wzorce postępowania. Nieprzypadkowo olbrzymia część spośród drzeworytów ukiyo-e przedstawia właśnie osobistości ze świata sceny. Produkowano je w setkach odbitek i sprzedawano za niewielką cenę, by każdy fan mógł sobie pozwolić na nabycie wizerunków idoli. Moc oddziaływania kabuki potrafiła być też destrukcyjna. Typowym przykładem są tu dramaty o samobójstwach z miłości, które przez pewien czas stanowiły jeden z ulubionych gatunków publiczności. Czerpały one inspiracje z prawdziwych tragedii, jednak makabryczne wydarzenia prezentowano w sposób tak wzruszający i atrakcyjny, że... bohaterowie znajdowali tłumy naśladowców, zwłaszcza wśród młodszych widzów. Efekt był zaiste niszczycielski – przez japońskie miasta przetoczyła się fala samobójstw. Te najbardziej spektakularne i najgłośniej komentowane trafiały potem na scenę, a nieszczęśliwi młodzi kochankowie, których podatność na wpływy kosztowała życie, stawali się idolami kolejnych desperatów idących w ich ślady… W końcu rząd nie wytrzymał i nakazał zdjąć z afiszów romanse kończące się samobójstwem.

▶ ...i widzowie

Skoro już wspomnieliśmy o widzach, warto zatrzymać się na chwilę, by rzucić na nich okiem. Współczesne audytorium kabuki nie różni się tak bardzo od tego, do czego przyzwyczajeni jesteśmy w teatrze w naszym kręgu kulturowym. Odbiorcy spektaklu w skupieniu obcują ze sztuką. Tymczasem w epoce Edo to, co działo się na widowni, stanowiło spektakl sam w sobie! Zachowane drzeworyty prezentujące wnętrza teatrów w trakcie pokazów ukazują widzów ściśniętych niczym sardynki w puszce. Co więcej, ze źródeł pisanych dowiedzieć się możemy, że panował gwar, który nie ustawał nawet po rozpoczęciu przedstawienia! Wydawać by się mogło, że aktorzy grali sobie a muzom, zaś widzowie robili to, na co akurat mili ochotę. Wiadomo o krążących po widowni sprzedawcach jadła i napojów oraz jegomościach z krzesiwem zapalających za drobną opłatą fajki palaczy. Bez skrępowania toczono rozmowy, wymieniano plotki, flirtowano. Profesor japonistyki Iga Rutkowska napisała swego czasu, że wyobraźnia człowieka XXI wieku nie sięga na tyle daleko, by ogarnąć to, co wyczyniała publiczność kabuki w okresie Edo. I tylko szkoda, że we współczesnej Japonii już nie doświadczymy niczego z tamtej atmosfery..

Dlaczego widz ówczesny z taką nonszalancją podchodził do tego, co działo się na scenie? Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć o fundamentalnym szczególe różniącym podejście japońskiej publiki od tej zachodniej. Podczas gdy w naszym kręgu kulturowym teatr ma za zadanie imitować rzeczywistość, dając nam iluzję podglądania czyjegoś życia, tak kabuki nawet nie pretenduje do realizmu. Nie dość że wszystko jest w nim przerysowane, to jeszcze bardzo luźno podchodzi się do logiki i ciągłości fabuły. W trakcie jednego spektaklu zazwyczaj pokazywany jest nie pojedynczy dramat od początku do końca (choć są wyjątki, jak jednoaktówka „Chwileczkę!" i „Skarbiec wiernych wasali"), lecz kompilacja fragmentów z różnych fabuł! Dla widza zachodniego jest to bardzo dziwne rozwiązanie, lecz nie dla Japończyka. Fabuła sztuki go nie interesuje, bo zna ją z innych źródeł, tym, co naprawdę wzbudza jego fascynację, są osoby artystów, ich miny, gesty, zmiany kostiumów, efekty specjalne. W okresie Edo więzi między aktorem a widzem były zaś nieporównanie bardziej silniejsze niż dzisiaj, gdyż artyści wdawali się w przekomarzania z widownią, nawiązywali z nią dialog, improwizowali, byli obrzucani na scenie cukierkami albo zbierali datki. Efekt łamania czwartej ściany, który w europejskim teatrze zrodził się stosunkowo niedawno, w kabuki istnieje od jego początków.

Tak więc widz z czasów szogunów z rodu Tokugawa siedząc w teatrze, mógł śledzić, bez lęku utraty wątku, dramat jednym okiem i uchem, drugie koncentrując na siedzącym obok szwagrze, z którym rozmawiał. Równocześnie doskonale wiedział, kiedy nastąpi ważny i spektakularny zwrot akcji, dający aktorom okazję do popisania się. W jego momencie dopiero skupiał całą uwagę na ulubionych gwiazdorach.

▶ W garderobie

Omówiliśmy już nieco smaczków z historii kabuki, teraz musimy przedstawić jego cechy charakterystyczne.

eprasa.pl a3976d4b30

Zacząć trzeba chyba od tego, co najbardziej rzuca się w oczy osobie oglądającej spektakl – makijażu. W kabuki, w przeciwieństwie do drugiego wielkiego japońskiego gatunku scenicznego, tj. teatru nō, nie stosuje się masek. Zamiast tego aktorzy malują twarz białą farbą, na której następnie rysują podkreślające ich rysy linie. Kolor zależy od charakteru granej postaci – w przypadku bohaterów używa się barwnika czerwonego, zaś łotrom przypada niebieski. Czynność tę artysta wykonuje sam, bez pomocy znanego z europejskiej garderoby charakteryzatora. W Japonii zarówno w przypadku aktorów kabuki, jak i gejsz samodzielną charakteryzację uznaje się za konieczny etap przygotowań do występu, pozwalający osiągnąć artyście odpowiedni stan umysłu.

Kolejnym ciekawym elementem są wykonywane z prawdziwych ludzkich włosów, często bardzo okazałe peruki. Szczególnie ważne są dla onnagata, tj. aktorów wcielających się w kobiety. Jak pamiętamy, w 1628 roku szogunat zabronił paniom występów w kabuki. Przez następne dwie dekady role żeńskich postaci (podobnie jak w elżbietańskiej Anglii) odgrywali nastolatkowie, ale gdy z racji niemoralnego prowadzenia i oni znaleźli się na cenzurowanym, wchodzący w skład trup teatralnych dojrzali mężczyźni musieli zacząć wskakiwać w damskie kimona i zakładać odpowiednie peruki, jeśli w granej przez nich sztuce pojawiały się role damskie. Wygolone czoła, których widoczności żądało prawo, onnagata zakrywali specjalnymi chusteczkami, z czasem uznanymi za szczególny atrybut ich udawanej kobiecości. Istniały różne poglądy na temat tego, jak aktor wcielający się w żeńską bohaterkę może jak najlepiej oddać w swej grze jej naturę. Niektórzy mistrzowie rzemiosła z epoki Edo twierdzili, że aby w przekonujący sposób grać kobietę na scenie, należy nie wychodzić z roli także poza nią. W codziennym życiu nosili damskie stroje i zachowywali się w sposób przypisany przedstawicielkom płci pięknej. Możliwe, że dziś przylgnęłoby do nich miano transwestytów lub uznano by, iż w praktykowaniu tzw. metody Stanisławskiego posunęli się do ekstremum.

▶ Aktor – to brzmi dumnie

Na szczególny podziw zasługują artyści nieograniczający swego repertuaru do kreacji jednej płci. Tacy arcymistrzowie potrafią w jednym przedstawieniu wcielić się zarówno w bohaterów męskich, jak i kobiecych, błyskawicznie zmieniając kostiumy oraz styl gry. Trwająca stulecia sceniczna inwersja płci doprowadziła kunszt odtwórców ról żeńskich do takiej perfekcji, że kiedy w XX wieku podjęto próbę wprowadzenia do kabuki aktorek, zakończyła się ona totalną klapą, gdyż… autentyczne kobiety okazały się być na scenie mniej kobiece od onnagata! Być może nie powinno nas to zdziwić, skoro sztuka ta przekazywana była w aktorskich rodach z pokolenia na pokolenie i nieustannie szlifowana przez kolejne generacje. Dodatkowo kabuki charakteryzuje przerysowanie świata przedstawionego, jego umowność i w pewnym sensie „komiksowość", sprawiając, że żeńskie bohaterki wyróżnia o wiele większe natężenie cech przypisywanych ich płci, niż ma to miejsce w przypadku autentycznych pań. Biorąc to pod uwagę, w scenicznej konfrontacji kobiecość prawdziwa rzeczywiście mogła polec w boju z tą udawaną. Choć warto odnotować, że w Chinach analogiczny proces feminizacji tradycyjnej chińskiej opery zakończył się sukcesem.

Skoro przy aktorach jesteśmy, trzeba wiedzieć, że choć w epoce Edo drzwi do zawodu były otwarte dla wszystkich, którzy chcąc zasmakować scenicznej sławy, nie lękali się utraty dobrego imienia, dziś wrota prowadzące do świata kabuki są tak wąskie, że „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne", niż przekroczyć je człowiekowi z zewnątrz. Teatralne środowisko zdominowane jest przez grupę aktorskich dynastii. W rodzinach tych w każdym pokoleniu powtarzają się określone kombinacje nazwisk i imion czy też „pseudonimów scenicznych". Nie zawsze przechodzą one z ojca na syna, poszczególni członkowie rodu muszą zasłużyć sobie na zaszczyt ich noszenia, a w historii poszczególnych familii zdarzały się wewnętrzne konflikty, adopcje czy nawet… wykup nazwiska przez konkurentów! Największym autorytetem cieszy się każdorazowo aktor noszący miano Ichikawy Danjūrō. Klan, do którego on przynależy, jest prawie tak samo stary jak kabuki, bowiem jego założyciel, a zarazem pierwszy z długiej linii Ichikawów Danjūrō żył w latach 1660–1704. Obecnie na japońskiej scenie króluje Ichikawa Danjūrō XII.

Przynależność do aktorskiej familii określają nie tylko nazwiska jej członków, lecz także rodzaj dramatów ról, do grania których są uprawnieni. Każda rodzina posiada własną listę tytułów stanowiących jej specjalność, a wręcz monopol. Tylko człowiek połączony z klanem więzami krwi lub adopcji ma prawo do czerpania ze skarbca tzw. ino no gie, tj. przynależnych dynastii tytułów i postaci. I tak na przykład członkowie familii Ichikawów mają na skompilowanej w 1840 roku liście 18 spektakli, m.in. wspomnianą już jednoaktówkę „Chwileczkę!", graną zwykle dla uczczenia otwarcia nowego sezonu teatralnego. W bombastycznego wojownika, będącego głównym bohaterem owej komedii, po raz pierwszy wcielił się w roku 1697 sam Ichikawa Danjūrō I i do dziś rola ta

eprasa.pl a3976d4b30

zarezerwowana jest dla aktorów z jego linii. Wedle legendy ta jedna z najbardziej ikonicznych sztuk powstała przypadkowo, gdy w trakcie inscenizacji patriarcha rodu nie mogąc doczekać się wejścia na scenę, krzyknął zza kulis do okupujących ją kolegów: „Chwileczkę!", chcąc ich pośpieszyć. Okrzyk wywołał rozbawienie publiczności, więc obsada poszła za ciosem, improwizując dalszy ciąg show, a po opadnięciu kurtyny opracowując nowy spektakl zainspirowany incydentem.

Sztuka improwizacji

Swoją drogą odmienność kabuki od europejskiego teatru dobrze odzwierciedlają pochodzące z epoki Edo scenariusze „Chwileczki!", w których główny bohater sztuki nazywany jest po prostu… „głównym bohaterem", a całość stanowi zbiór dość luźnych wskazówek co do kierunku, w którym powinna zmierzać akcja. Gdy w XIX wieku zachodni teatrolodzy zaczęli badać kabuki, przeżyli szok, uświadomiwszy sobie, jak małe znaczenie dla tego gatunku miało słowo pisane. Aktorzy mieli w epoce Edo ogromną swobodę improwizacji, dialogi były często wymyślane na bieżąco w trakcie występów, podobnie jak inne niewerbalne zachowania postaci. W efekcie każdy spektakl był inny, a widz mógł chodzić wielokrotnie na tę samą sztukę i każdego wieczoru delektować się nowymi atrakcjami. Praktyka owa miała niestety tę konsekwencję, że wiele dramatów, zwłaszcza granych w mniejszych teatrach lub na prowincji, bezpowrotnie przepadło, bo nikt nie zapisał ich scenariuszy!

W profesjonalnie zarządzanych trupach pracowały zespoły skrybów, którzy rozpisywali przebieg akcji, a obserwując aktorów – czy to w trakcie prób, czy też spektaklu – na bieżąco zapisywali szczególnie chwytliwe bon moty i dialogi, by można je było wykorzystać w przyszłości. Na owych nieszczęsnych gryzipiórkach spoczywała też nieprzyjemna konieczność zadawania się z cenzorami i pilnowania, by na scenę nie zakradły się antyrządowe treści. Rola pisarczyków była całkowicie podrzędna wobec aktorów, będących współtwórcami tekstów dramatycznych. Jako że to właśni ci drudzy ściągali do teatrów widownię, a co zatem idzie pieniądze, to do nich należało ostateczne słowo w kwestii opracowywanej wspólnie fabuły. Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, scenariusze – będące efektem pracy całej grupy skrybów i aktorów – podpisywali swym nazwiskiem tylko główni skrybowie. Dlatego trudno szukać w historii kabuki postaci wielkich dramatopisarzy na modłę europejską.

Nowa rola

Po upadku szogunatu Tokugawów w roku 1868 Japonia wkroczyła na ścieżkę szybkiej modernizacji. Nowy reżym uznał, że kabuki ma ogromny potencjał, by stać się jedną z wizytówek Kraju Kwitnącej Wiśni. Oficjalnie uznane zostało za narodowy teatr japoński. O nagłej przemianie kabuki z podejrzanej rozrywki plebsu w sztukę przez wielkie „S" najlepiej świadczył wieczór 7 czerwca 1878 roku, kiedy to na widowni premierowego spektaklu w nowo otwartym Teatrze Shintomi w Tokio zasiadł sam cesarz! Rzecz dawniej nie do pomyślenia. Podczas gdy monarcha w otoczeniu członków rządu delektował się przedstawieniem, oddanych fanów gatunku wywodzących się z miejskiego pospólstwa, którzy też przyszli na spektakl, nie wpuszczono do środka.

Przez następne lata kabuki „cywilizowano" na wzór zachodni. W efekcie straciło swój pazur, stając się podniosłym widowiskiem i szacownym elementem japońskiej kultury. Aktorzy, dawniej uznawani za ludzkie śmieci, awansowali do rangi żywych skarbów narodowych, kapłanów tradycji, autorytetów w dziedzinie sztuki oraz… moralności. Przekonał się o tym boleśnie Ichikawa Danjūrō XII, który w młodości dał się poznać jako celebryta o dość rozrywkowym trybie życia. Zszargana reputacja sprawiła, że ojciec nicponia – Ichikawa Danjūrō XI – odmówił mianowania go dziedzicem scenicznego pseudonimu. Czcigodny starzec zmarł w roku 2013, a synowi utracjuszowi zajęło prawie dekadę ciężkiej pracy i nienagannego prowadzenia się udowodnienie, że zasługuje na czcigodne nazwisko i imię, które ostatecznie klan pozwolił mu przyjąć dopiero trzy lata temu.

Kabuki, nawet we współczesnej złagodzonej formie, jest widowiskiem totalnym i fascynującym. Niestety bardzo rzadko można oglądać je poza granicami Japonii. Dziś co jakiś czas trupy kabuki dają występy w czołowych teatrach Francji i Wielkiej Brytanii. W Polsce do tej pory miały miejsce (niestety!) tylko dwa spektakle: kolejno w Warszawie i Krakowie jesienią roku 2019.

Trudno jest streścić wszystkie aspekty barwnego świata kabuki, który profesor Rutkowska jakże trafnie określiła mianem „kwiatu Edo". Dlatego tym, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, polecam jej książkę poświęconą powstaniu i ewolucji tego gatunku. Tym zaś, którzy chcieliby zobaczyć spektakl, zdradzę, że na YouTube znaleźć można trwające ponad dziewięć i pół godziny nagranie „Skarbca wiernych wasali" z angielskimi napisami. Wystarczy wpisać tytuł sztuki w języku Szekspira. Rzecz w sam raz na długie, zimowe wieczory. ■

eprasa.pl a3976d4b30





Krzysztof Karnkowski

Norymberga oczami psychiatry



„Norymberga" to film żonglujący nastrojami i tym mocniej uderzający nas w najbardziej dramatycznych momentach. To kawał dobrego, mądrego i wymagającego kina. Temat znany, zostaje ujęty z nowej perspektywy, oddając sprawiedliwość jednemu z bohaterów wydarzeń, zbyt pesymistycznemu dla medialnego cyrku i spragnionego spokoju i nadziei powojennego świata.

FOT. MAT. PRAS.

James Vanderbilt z przemysłem filmowym związany jest od ponad 20 lat. Był współscenarzystą i producentem bardzo wielu filmów, często poruszając się w obrębie takich gatunków jak thriller (m.in. „Zodiak") czy horror (kilka części znanej serii „Krzyk"). Jako reżyser pracował jednak dużo rzadziej, tak naprawdę na koncie miał dotąd tylko jedną pełnowymiarową produkcję, „Niewygodną prawdę" sprzed 10 lat. Dekadę po debiucie porwał się jednak na bardzo poważne przedsięwzięcie: łączącą w sobie elementy kilku gatunków i mającą cechy superprodukcji „Norymbergę". Inaczej niż jego bohaterowie, Vanderbilt wychodzi z tej próby zwycięsko.

Kelley vs Göring

Ponieważ to jednak dopiero drugi film w reżyserii Vanderbilta, medialne przekazy skupiają się przede wszystkim na aktorach, grających dwie główne role w filmie. Russel Crowe wcielił się w Hermanna Göringa, wicekanclerza Trzeciej Rzeszy, wieloletniego przewodniczącego Reichstagu, wielokrotnego ministra i zaufanego towarzysza Adolfa Hitlera. Jest to dość ciekawy wybór, gdy przypomnimy sobie, że pierwszą wielką rolą, która przyniosła uznanie temu aktorowi, był Hando, australijski nazistowski skinhead, w głośnym dramacie „Romper Stomper" Geofreya Wrighta z 1992 roku. To ten film otworzył przed Crowem wrota do Hollywood i ról w takich filmach jak „Szybcy i martwi", „Gladiator" czy „Piękny umysł". Jego antagonistą jest główna postać, przez której pryzmat patrzymy na proces norymberski, amerykański psychiatra wojskowy Douglas Kelley, główny psychiatra więzienia w Norymberdze, w którego wciela się Rami Malek, znany przede wszystkim z serialu „Mr. Robot" i z brawurowego wcielenia się we Freddiego Mercurego w filmie „Bohemian Rhapsody" amerykański aktor o egipskich i greckich korzeniach.

Kelley, jak to psychiatra, sam jest w filmie odrobinę wariatem, miotanym między różnymi emocjami, przeżywającym też konflikt lojalności w momencie, gdy zwykłe, ludzkie poczucie sprawiedliwości coraz mocniej kłóci się z etyką zawodową. Specyficzna uroda Malka bardzo mocno podkreśla psychologię postaci, której większa część od razu maluje się na twarzy. Göring z kolei zupełnie nie wygląda i nie zachowuje się jak zbrodniarz. O najgorszych rzeczach, według swojej opowieści i linii obrony, nie wiedział, był patriotą i ideowcem. W przeciwieństwie do wielu ze swoich uwięzionych w sąsiednich celach kolegów, nie ucieka w szaleństwo ani w agresję, zachowuje się z pewną dystyngowaną, choć świadomą sytuacji godnością. Z psychiatrą zaczyna nawiązywać relację coraz bardziej przyjacielską, kreuje się na brata łatę, rubasznego intelektualistę, trochę tylko zbyt pewnego siebie i swojego geniuszu. Kelley uczy go magicznych sztuczek, które są jego specjalnością, Göring prosi go o odnalezienie jego żo-

egnasn.pl/e976d4b30

ny i córki. Gdy psychiatra spełnia jego prośbę, poznajemy wówczas więźnia Norymbergi we wcieleniu kochającego i kochanego męża i ojca. Długo, aż do pierwszych scen z procesu, można by pomyśleć, że Vanderbilt zbyt mocno zbrodniarza uczłowiecza, tworząc jego ciepły i przyjazny wizerunek, który u części widzów wzmocnić może jeszcze fakt, że Crowe bardziej będzie im przypominał Tilla Lindemanna z zespołu Rammstein niż prawdziwego Hermanna Göringa. Jak jednak wspomniałem, do czasu.

Filmowy udany patchwork

„Norymberga" nie jest opowieścią, którą można zamknąć w jednym gatunku. Początkowo jest to opowieść w klimacie sensacyjnym, prowadzona z pewnym dystansem, a Vanderbilt, będący również twórcą scenariusza, daje nam nawet kilka scen bliskich komedii – lądowanie Rudolfa Hessa w Wielkiej Brytanii pokazane jest w sposób przywodzący na myśl Monty Pythona, zachowania niektórych z osadzonych są mocno karykaturalne, choć być może nie jest to intencjonalne, nie sposób jednak nie uśmiechnąć się, gdy kluczowi naziści odpowiadają, z czym kojarzą im się atramentowe plamy z testu Rorschacha. Wszystko się jednak zmienia, najpierw, gdy Kelley orientuje się, że Göring może się wywinąć oskarżeniu, a równocześnie Amerykanie aresztują bliskich więźnia, którzy byli kluczowi dla gry, jaką psychiatra prowadził ze swoim pacjentem. Przez chwilę jesteśmy w centrum dusznego thrillera, który jednak ustępuje miejsca dramatowi sądowemu. Dramatowi, który w pierwszych scenach wrzuca widza w sam środek koszmaru, pokazując przez kilka minut dowód w sprawie, autentyczne nagrania filmowe z uwalniania obozów. Widzimy więc ludzi na krawędzi śmierci głodowej, a równocześnie całkowite posypanie się linii obrony. Wreszcie ponury koniec i… tak naprawdę niewiele lepsze zakończenie historii samego wojskowego psychiatry, który traci wszystko najpierw w wojsku, a potem i w życiu. Próbuje bowiem ostrzec świat, że to, co się stało, nie musi być i nie jest specjalnością jednego miejsca na ziemi.

To zresztą ważny akcent i przesłanie filmu. Gdy doktor Kelley mówi, że w każdych warunkach i w każdym kraju są ludzie, którzy w imię władzy mogą sprawić, że jedna połowa narodu nienawidzi połowy drugiej, zapewne załatwia własne polityczne porachunki z amerykańskiej sceny politycznej. Dziś, w Polsce w 2025 roku, słowa te wywołują wyjątkowo złowieszcze skojarzenia. A gdy sam Malek w jednym z wywiadów między wierszami porównuje je do „pewnych współczesnych wypowiedzi", mam dziwne wrażenie, że chodzi mu o Trumpowskie „Let's make America great again". „Myślę, że każdy czytelnik pańskiej gazety dokładnie wie, o co mi chodzi" – mówi aktor dziennikarzowi „Guardiana". Vanderbilt zaprzecza jednak takiej interpretacji, mówiąc, że ten fragment scenariusza powstał już w 2014 roku.

Nie ma ucieczki od narodowości sprawców

Od lat zmagamy się z raczej narastającym niż odchodzącym problemem zdejmowania z Niemców winy za zbrodnie II wojny światowej, rozmywania ich odpowiedzialności przez manipulację sferą pojęć. Opowiadając o Norymberdze, trudno jest od kwestii pochodzenia sprawców uciekać, ale przecież nie takie rzeczy się twórcom udawały. Jestem przekonany, że recenzenci i widzowie szczególnie będą więc zwracać uwagę na pokazanie tego aspektu dramatu. Wydaje mi się, że choć nie wszyscy będą zadowoleni, film nie manipuluje jednak prawdą historyczną w tej materii. Owszem, zgodnie z amerykańskimi zwyczajami, prawie cały czas słyszymy o „nazistach", kilka razy również „hitlerowcach", a najmniej o „Niemcach". Jednak „Niemcy" jako słowo padają w kluczowych momentach, które nie pozwalają na żadne wątpliwości. Sam Kelley chce badać i opisać w przyszłej książce przyczyny tego, co wydarzyło się w Niemczech, a Göring pytany o to, dlaczego on i jemu podobni dali się porwać niemającemu wcześniej zbyt wielu sukcesów na koncie Adolfowi Hitlerowi, odpowiada, że Hitler sprawił, że ludzie poczuli się znów Niemcami. Po niemiecku wreszcie toczona jest duża część rozmów. Nie ma więc ucieczki od narodowości sprawców.

Co więcej, bardziej od psychiatry wierzący w ludzkość dziennikarze i inni napotykani przez niego rozmówcy uważają, że to, co się wydarzyło, możliwe było tylko w Niemczech, choć tu chodzi raczej o samo uspokajanie się co do kondycji moralnej człowieka, a nie przypisywanie jakichś szczególnych cech demonicznych naszym zachodnim sąsiadom. Oczywiście w licznych, towarzyszących filmowi publikacjach prasowych na Zachodzie o Niemcach już raczej nie poczytamy. Jeśli jednak chcieliby Państwo zapytać, co z Polakami, odpowiedzieć trzeba, że właściwie… nic. Polska zasygnalizowana jest tu tylko śladowo, Polacy pojawiają się raz w akcie oskarżenia jako jedna z grup ofiar, jednak nietrudno być zaskoczonym, że w tym kontekście najwięcej słyszymy o Żydach.

„Norymberga" to film żonglujący nastrojami i tym mocniej uderzający nas w najbardziej dramatycznych momentach. Kto będzie chciał, na pewno doszuka się w nim historycznych skrótów, na pewno też z polskiego punktu widzenia zbyt mało mówi się w nim o dramacie naszych współobywateli niebędących Żydami. Jest to jednak kawał dobrego, mądrego i wymagającego kina, na swój sposób klasycznego, może nawet zachowawczego, co jednak bardzo pasuje do podjętej tematyki. Temat znany, zostaje ujęty z nowej perspektywy, oddając sprawiedliwość jednemu z bohaterów wydarzeń, zbyt pesymistycznemu dla medialnego cyrku i spragnionego spokoju i nadziei powojennego świata – dlatego warto na pewno się na ten film wybrać. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Marek Kalinowski

Między mistycyzmem a popkulturą

Rosalia – hiszpańska gwiazda muzyki pop – zamiast nowoczesnej elektroniki sięga po klasyczny skład London Symphony Orchestra. W swoich tekstach krąży wokół świętości i mistycyzmu, a jednocześnie jak mało która artystka przyciąga uwagę kamer i milionów młodych słuchaczy na całym świecie. Na jej najnowszej płycie „Lux" gościnnie zaśpiewała sama Björk, a pewien trop prowadzi również do… Polski.

Warszawa znowu na chwilę znalazła się w centrum popkulturowej uwagi. Oto w praskim barze mlecznym Rusałka, jak gdyby nigdy nic, pojawiła się hiszpańska gwiazda muzyki pop Rosalia – jedna z najbardziej wpływowych artystek młodego pokolenia. Jej zdjęcia z wizyty w warszawskim zoo, a potem z baru, w którym próbowała pomidorowej i schabowego, obiegły media społecznościowe na całym świecie.

Wizyta, jak się wkrótce okazało, nie była przypadkowa. Właśnie ukazał się jej najnowszy album „Lux", a wraz z nim teledysk do piosenki „Berghain", na którym uważne oko dostrzeże wiele znajomych kadrów i nawiązań. Artystka przemierza warszawskie zaułki żółto-czerwonym solarisem, a rozsiane w scenariuszu dyskretne tropy prowadzą do cytatów z filmów Krzysztofa Kieślowskiego. Dlaczego o tym wspominam? Dla milionów młodych fanów katalońskiej piosenkarki jej twórczość jest równie ważna, jak ślady z przeczytanych przez nią książek i obejrzanych dzieł, którymi dzieli się dość często w social mediach. Za sprawą takich właśnie rekomendacji XIII-wieczna „Flamenca" nagle wskoczyła na listę bestsellerów, a wydany w niewielkim nakładzie współczesny esej Marty D. Riezu rozszedł się z dnia na dzień.

Kilka lat temu Rosalia zasłynęła bardzo udanym połączeniem muzycznej tradycji flamenco ze współczesną elektroniką. Jeśli jej poprzednie płyty wydawały się już bardzo nowatorskie, to na „Lux" idzie jeszcze dalej: tworzy koncept album, w którym przełamuje bariery gatunków, języków oraz kultur.



Rosalia, LUX, Columbia Records

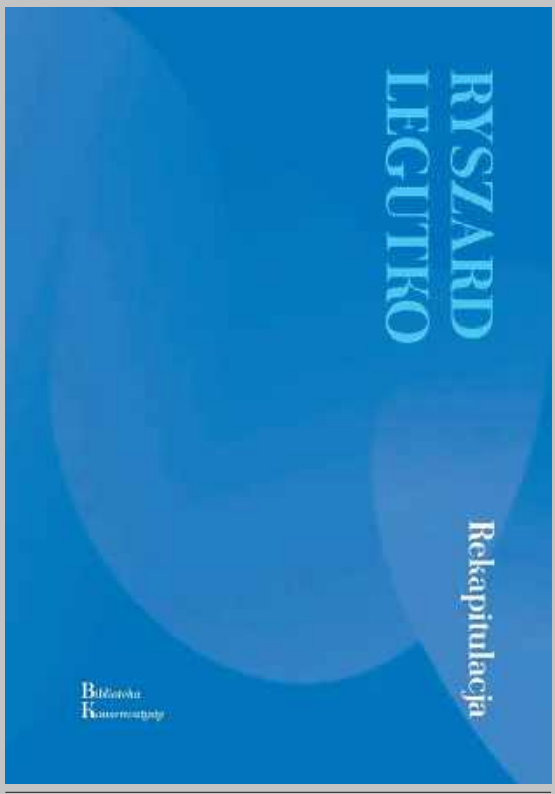
„Lux" w języku łacińskim oznacza „światło", a w centrum uwagi hiszpańskiej artystki pozostają tym razem Bóg i pojęcie świętości. W swoich opowieściach przywołuje historię oraz słowa znanych mistyczek, nie tylko związanych z religią chrześcijańską. Znajdziemy tu odniesienia m.in. do św. Hildegardy z Bingen, Olgi z Kijowa, Klary z Asyżu, a także francuskiej myślicielki Simone Weil czy japońskiej mniszki Ryōnen Gensō. Ta wielowymiarowa opowieść jest zaś prowadzona w kilkunastu językach.

Elektronika, dominująca na poprzednich albumach Rosalii, ustąpiła tym razem miejsca instrumentom akustycznym, bliższym muzyce klasycznej niż popowi. W rękach muzyków London Symphony Orchestra brzmienia zyskują barwę i głębię, której próżno szukać w większości dzisiejszych popowych produkcji.

Ani obecność London Symphony Orchestra, ani wspaniałe chóry, ani nawet nawiązujący do muzyki klasycznej układ utworów nie czynią jeszcze z „Lux" dzieła muzyki poważnej. Próby zaszufladkowania wydają się tu zresztą całkowicie nieistotne. Na przekór utartym w muzyce ścieżkom, artystka drąży bowiem w jakiś anarchiczny sposób, własny, zupełnie osobny korytarz, wyróżniając się niezwykle charyzmatyczną osobowością, ekspresją i oryginalnymi połączeniami. W tej przestrzeni jej głos odkrywa też pełnię możliwości. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl a3976d4b30



Ryszard Legutko, „Rekapitulacja", wydawnictwo Fronda, Warszawa 2025.

Krzysztof Wołodźko



Polska, czyli agony

„Rekapitulacja" Ryszarda Legutki nie jest klasyczną autobiografią filozoficzną, opowieścią mędrca zamkniętego w kryształowej wieży. Mocno zaznacza się polityczny pazur autora, polemiczna pasja, z której słynie krakowski profesor. Namysł nad Polską z rozdziału na rozdział staje się coraz bardziej gorzki, to opowieść o rozwianych marzeniach. To jeszcze jedna historia naszych ojczystych agonów, wyimek z dziejów długiego sporu o Rzeczpospolitą, którego kolejny rozdział piszą żyjące dzisiaj pokolenia.

eprasa.pl a3976d4b30

W życiu narodów i państw da się zauważyć pewnego rodzaju prawidłowość: czasy wielkich, starannie zamyślonych i przeprowadzonych zamierzeń przenikają się z czasami powszechnej głupoty i oklaskiwanej przez tłumy anarchii; czasy niepamięci, pielęgnowanej knutem lub perswazją, z czasami ożywczego przebudzenia. Budowanie i niszczenie nierzadko zdają się jednak postępować pospołu – niewprawne polityczne zmysły nie uchwycą kryzysowego momentu, który daje życie lub zsyła śmierć. Refleksja nad stanem państwa i wspólnoty czasem przychodzi zbyt późno, szczególnie gdy fałszywi prorocy głoszą „pokój, pokój", a nie ma pokoju. Albo gdy powodzenie egoistycznych elit przedstawiane jest jako dobro dostępne właściwie wszystkim – choć głębokie zepsucie i społeczna niesprawiedliwość do rdzenia przenikają państwo i naród.

Legutko i inteligencki kanon

W zamęcie pospiesznego życia, w zgiełku nieustannego konfliktu, w jazgotliwej opowieści, narzuconej przez silniejszych i przedstawianej jako norma, aksjomat i znak czasu, łatwo przeoczyć nieuchronne konsekwencje dokonujących się zmian. Atrofia poznawczych zdolności, sparaliżowanych najróżniejszymi czynnikami, od cyfrowego przebodźcowania po metapolityczne strategie godne „1984 roku" Orwella, sprawia, że wielu nie chce spojrzeć za siebie albo głęboko się zastanowić, czy droga nie kończy się aby przepaścią. Rekapitulacja, czyli zdolność skrótowego, ale logicznego omówienia spraw, to przywilej tych, którzy zachowali zdolność krytycznego namysłu nad rzeczywistością. Dziś wielu ludzi sprawia wrażenie, jakby całe życie stali niewzruszenie przy swoich kieszonkowych kodeksach Hammurabiego albo mocno wybiórczych deklaracjach praw człowieka i obywatela. Im bardziej krótkoterminowe są racje, emocje i zapewnienia, tym solenniejsze mają sprawiać wrażenie. Nie tak jest w przypadku Ryszarda Legutki, który potrafi przyznać, że mylił się w ocenie ludzi, szkół filozoficznych, książek i sytuacji. Owszem, filozof/polityk zapewnia, że wciąż ma rację w wielu kwestiach. Jego pewność jest jednak niepewna, szczególnie w sprawach, które dotyczą Rzeczypospolitej. To niepokoi, podobnie jak narastający z rozdziału na rozdział minorowy ton i ewangeliczny cytat, który myśliciel odnosi do Polski: „Jeśli jakieś królestwo wewnętrznie jest skłócone, nie może się ostać" (por. Mk 3,24).

Jestem w stanie wyobrazić sobie, że co bardziej zniecierpliwiony czytelnik przewertuje szybko pierwsze rozdziały książki, złakniony politycznych zwierzeń i wrażeń. Warto jednak zacząć od fundamentów, nie od dymu z komina. Opowieść Legutki o rodzinnej, na poły kresowej genealogii, o czasach dzieciństwa i młodości w PRL pozwala lepiej zrozumieć i postać, i zamysł autora. Elementy autobiograficzne ściśle przenikają się z interpretacją procesów ustrojowych, kulturowych, cywilizacyjnych. Zwracałem na to uwagę w znacznie krótszej recenzji „Rekapitulacji" na łamach „Gazety Polskiej": mamy do czynienia z integralną, klasyczną opowieścią, w której namysł nad samym sobą przenika się z dziejami duszy, a one wreszcie są dziejami „zwierzęcia politycznego". Tradycja delfickiej autorefleksji, augustyńskie poznanie Boga i człowieka, arystotelejskie/tomistyczne uznanie człowieka jako istoty tak indywidualnej, jak i społecznej – Legutko tłumaczy klarownie odbiorcom słabo znającym filozoficzny warsztat, co przez całe życie odpychało go od licznych, z reguły coraz bardziej nam nieodległych, redukcjonistycznych szkół myślenia.

Jego konserwatyzm, który – zgodnie z tradycją Edmunda Burke'a – sięga chętnie po metafory angielskiego domu i ogrodu, szuka złożonych struktur, polifonicznych całości, godzi się nawet na zgrzyt, jeśli da się go włączyć w uniwersalną całość. Erudycja filozofa idzie w parze z klarownością, systematycznością wyciąganych wniosków. Pokazują to choćby wspomnienia lektur, gdzie rozważania o powieściach („Absalomie, Absalomie" Williama Faulknera, „Obcy" Alberta Camusa, „Na wschód od Edenu" Johna Steinbecka) rozwijają się w refleksje o determinizmie i przypadkowości ludzkich przeznaczeń, dziejowej konieczności i indywidualnej wolności. Przypomnienie dawnego inteligenckiego kanonu, który łączył czytelników o różnych przecież wrażliwościach ideowych, dzisiaj może wydawać się śmiesznie nieistotne. Warto jednak przypomnieć świat, w którym ostatecznym punktem odniesienia dla osób na studiach były sążniste lektury, a nie traktowane funkcjami copy-paste [kopiuj-wklej – przyp. red.] halucynacje sztucznej [ćwierć]inteligencji.

Krytyka akademickiego humanizmu

Fakt, że przez znakomitą większość publicystycznie aktywnego życia nie obchodził mnie medialny stereotyp prof. Legutki, przedstawiający go jako prawicowego fanatyka walącego pięścią w stół, wynikał z tego, że poznałem go jako wykładowcę i życzliwego rozmówcę ponad 20 lat temu w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo jego wyrazistych i surowych nieraz sądów nie widziałem w nim człowieka, który chciałby innym zamykać usta. Po prawdzie, w czasach gdy liberałowie i staro-nowa lewica straszyli nim inteligenckie dzieci, nie miał nawet takich możliwości. „Rekapitulacja" pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego tak było. Po latach łatwiej też spostrzec, jak nieciekawą dziedziną staje się akademicki humanizm. I nie jest to wcale konserwatywny zamordyzm. Przeciwnie, hunwejbini w tęczowych krawatach, sprawnie obsługujący i wykorzystujący grantowe systemy nagród i kar za dobrze i źle widziane poglądy, wprawiają dziś w konsternację nawet część swoich starszych kolegów i koleżanek,

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl a3976d4b30

którzy przygotowali dla nich grunt. Czy uczelnie stały się dzięki temu mniej feudalne czy zachowawcze? Czy zyskała jakość nauczania? Nie jestem pewien, czy środowisko podejmie się polemiki z tezami przedstawionymi na kartach najnowszej książki profesora. Chyba wygodniej będzie im ją przemilczeć.

Z rozdziału na rozdział w „Rekapitulacji" przybywa coraz wyraziście opisywanej polityki. Cezurę stanowi marzec 1968 roku, widziany z perspektywy Krakowa, i jego konsekwencje dla wydziałów humanistycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Legutko pisze o atmosferze społecznego przebudzenia, które dotyczyło nie tylko studentów, o „wybuchach pragnienia poznania prawdy", nie tylko o ciemnych zakamarkach PRL-owskiego ustroju w jego ówczesnej formie, lecz także o jego kłamstwach i zbrodniach założycielskich. Opisuje atmosferę – inną przecież od warszawskiej – nadziei na zmianę na lepsze. A równocześnie, z perspektywy czasu, pisze o objawach społecznej zachowawczości, koniunkturalizmie, przestrachu. I o czymś więcej: nie tyle o apatii ludzi przestraszonych i zastraszonych, ile o woli współpracy z reżimem nie tak małego grona osób: „Zawsze w takich razach – tak stało się w Marcu, a także, jak żywo pamiętam, w stanie wojennym – nagle pojawiają się jakby spod ziemi […] ludzie nijacy i wcześniej nieznani lub mało znani, którzy chętnie wykonują brudną robotę, kontrolują, spisują, donoszą, kłamią, straszą, a czynią to bez widocznych objawów wstrętu do wykonywanej roboty". Legutko nie stroni od oceny postaw kadry uczelnianej w marcu i później. Dodam, że surowiej ocenia przepoczwarzający się przez dekady system, łagodniej zaś obchodzi się z bliźnimi, choć parę razy da się słyszeć ton eleganckiego szyderstwa i nieźle maskowanego obrzydzenia. Przejścia od PRL do III RP nie postrzega ani jako rewolucji, ani jako kontrrewolucji, raczej jako ewolucję bardzo łagodną dla uczelnianych kadr.

Niektóre ślady i tropy znalazłem dla siebie zaskakującymi. Przy okazji marcowych wspomnień profesor przywołuje postać Jana Szewczyka, dobrze zapowiadającego się fenomenologa, pupila Romana Ingardena, który rozgrywał studentów, a później publicznie i po nazwiskach domagał się czystek wśród kadry naukowej na UJ. Po chwili namysłu doznałem przykrego olśnienia: filozof, który umiał wówczas ująć studentów wizerunkiem ni to starszego, zatroskanego kolegi, ni to brata-łaty, co „k...wą" w rozemocjonowany tłum rzuci, to nie tylko autor wspomnianej przez Legutkę „Filozofii pracy". Jan Szewczyk był tłumaczem ważnej dla mnie lektury, czyli „Teologii wyzwolenia" zmarłego przed ponad rokiem Gustavo Gutiérreza OP. Trudno czasem dziwić się ludziom, którzy na dobre rezygnują z czytania książek, skoro spotykają ich tak przykre niespodzianki.

Liberalizm, autorytaryzm, postkomunizm

Zostawmy na boku smutne żarty – od historii Marca '68 zaczyna się ideowo i politycznie trudniejsza część opowieści o przemianach polskości w ostatnich dekadach: im więcej nadziei, tym większe rozczarowania; im większy entuzjazm, tym silniejsze poczucie zwątpienia. Coraz wyraźniej zaznacza się również przekonanie Legutki, że żadna ideologia, głęboko żłobiąca rzeczywistość świata i Europy w ostatnich wie-

Konserwatyzm etatysty, zniechęconego do liberalizmu, pryncypialnie krytycznego wobec postkomunizmu, mocno nieufnego wobec rodzimej inteligencji i intelektualistów, politycznego outsidera, który nie lubi kadzić bliźnim, chyba skazuje Legutkę na ideową samotność.

kach, nie przynosi Polsce dobrych rozwiązań. Zdecydowanie krytyczny wobec komunizmu i socjalizmu filozof zasmuci także narodowych i europejskich liberałów. Jego osąd liberalizmu jako ideologii gospodarczej i obyczajowej jest bez złudzeń. Legutko mówi nie tylko o wolnorynkowym utopizmie, ukazuje też jawnie autorytarne tendencje w myśleniu Ludwiga von Misesa i Murraya Rothbarda. Analizując poglądy radykalnie liberalnych amerykańskich myślicieli wskazuje na tkwiące w nich geopolityczne pułapki, śmiertelnie niebezpieczne także z polskiego punktu widzenia: „Ponieważ głównym wrogiem wolnego rynku jest rząd, a rząd staje się tym mocniejszy i rozleglejszy, im bardziej rozbudowuje system bezpieczeństwa, wobec tego system bezpieczeństwa należy rozmontować. W przypadku amerykańskim oznaczało to likwidację armii oraz wszystkich służb strzegących kraju przed zagrożeniem zewnętrznym".

Możemy ripostować, że były to niezobowiązujące intelektualne wprawki ludzi, którzy nie mieli najmniejszego wpływu na polityczną rzeczywistość. Tyle że po dekadach

eprasa.pl a3976d4b30

wolnorynkowa ideologia doprowadziła do apoteozy taniego państwa, koncepcji władzy jako nocnego stróża, co – szczególnie z naszej dzisiejszej perspektywy – jawi się jako nadzwyczaj szkodliwe. Państwa takie jak Rzeczpospolita, położone na skraju geopolitycznych płyt tektonicznych, nie mogą sobie pozwolić na instytucjonalną słabość i społeczny nieład, przedstawiany jako rzekomy duch swobody i wolności. Zbagatelizowaliśmy tę wiedzę u początków III RP. Teraz odczuwamy gorzkie tego skutki. Mówiąc publicystycznym skrótem: jako obywatele, którzy nie mogą doczekać się budowy czy też renowacji sieci schronów cywilnych, mamy pełne prawo podejrzewać, że rządzący nami politycy bardziej obawiają się deweloperów niż rosyjskiej napaści.

Dla lepszego pokazania rodzimego kontekstu ważniejsza jest inna postać – zapoznanego dzisiaj krakowskiego myśliciela Mirosława Dzielskiego. Pamiętam, że w czasach moich studiów w Instytucie Filozofii UJ, tuż po 2000 roku, w gabinecie profesorskim, który dzielili do pewnego czasu profesorowie Legutko, Jan Skoczyński i Miłowit Kuniński, na wielkim zielonym biurku kurzył się dostojnie tom jego pism zebranych, czyli „Odrodzenie ducha – budowa wolności". Czasem do niego zaglądałem, ni to rozbawiony, ni to rozgniewany, bo realia przeistoczenia byłych członków PZPR w łagodne kapitalistyczne baranki w duchu chrześcijańskiego wybaczenia i rzetelnej pracy u podstaw oglądałem z dość bliska. Wychowałem się w tzw. domu nauczyciela w byłym wzorcowym PGR Manieczki w Wielkopolsce, kilkanaście kilometrów od pustego dziś grobu Józefa Wybickiego, i znałem niejedną transformacyjną opowieść, w której gniew na staro-nowe elity III RP rozkładał się mocno niejednoznacznie.

Po upadku komunizmu

Legutko w „Rekapitulacji" powiada, że nie podzielał pięknych marzeń Dzielskiego, a intelektualistów podsumowuje srogo: „Po upadku komunizmu i powstaniu III RP akademicy, już całkowicie wyzwoleni z pokutnego ambarasu wobec robotników, nabrali pewności siebie i zaczęli odgrywać rolę recenzentów społeczeństwa i autorytatywnych doradców". Profesor idzie dalej, mówiąc rzecz, której oczywistość nie do wszystkich dociera nawet dzisiaj. Przeciwnie, widzimy raczej zakorzenienie się potransformacyjnych hierarchii w burzliwym przecież świecie mutującego nieustannie kapitalizmu. Akademickie elity chętnie przyklaskiwały reedukacji niższych warstw społecznych, rzekomo beznadziejnie zakażonych chorobami „sowieckiego człowieka" („homo sovieticusa"), same jednak nie chciały rozliczać się z własnym uwikłaniem w poprzedni ustrój i zdecydowanie postawiły raczej na ciągłość przywilejów i układów niźli bolesną dla ogółu transformacyjną zmianę. Mówiąc złośliwie: państwo przetrwało najsilniej tam, gdzie było to najkorzystniejsze dla staro-nowo elit. Obumarło i obumiera wciąż tam, gdzie zagraża interesom wilków w owczych skórach. Myślę, że Dzielski uciekłby z krzykiem na widok karykatury jego koncepcji, którą realnie wcielono w życie. Ale pewnie tak samo z wrzaskiem od współczesnej lewicy wiałby Kazimierz Pużak.

Zapewne wielu czytelników „Rekapitulacji" skupi się na przedstawionej na jej kartach krytyce Unii Europejskiej. Mnie bardziej uderzają analizy stanu polskiej państwowości, które Legutko podsumowuje lakonicznie: „Ostatecznie wszystkie klęski, jakie na Polskę spadły w ciągu ostatnich wieków, brały się z niemocy struktur państwowych". Konserwatyzm etatysty, zniechęconego do liberalizmu, pryncypialnie krytycznego wobec postkomunizmu, mocno nieufnego wobec rodzimej inteligencji i intelektualistów, politycznego outsidera, który nie lubi kadzić bliźnim, chyba skazuje Legutkę na ideową samotność. Wiem doskonale, że wielu przy okazji zaufa samemu nazwisku, jeszcze innym spodoba się mocno wyczuwany ton antyukraińskiej krytyki, ale wmyślenie się w książkę profesora nikomu nie ułatwi zadania. To gorzki chleb. Choć z drugiej strony – żyjemy w czasach, gdy z całych akapitów wycina się zdania, z długich wypowiedzi pozostawia grymas lub zająknięcie i gwiżdże lub klaszcze. Tak, to może ułatwiać odbiór i lekturę.

W czasach gdy studiowałem filozofię na UJ, do najważniejszych konserwatystów na uczelni należeli Ryszard Legutko i Bronisław Łagowski. Obaj byli nieco później recenzentami mojej pracy magisterskiej, napisanej u prof. Skoczyńskiego, zatytułowanej skromnie, choć rzeczowo: „Rosja jako problem w filozofii Henryka Kamieńskiego". Zaliczałem się wówczas do tzw. łagowszczyków, choć byliśmy już tylko karłami na plecach gigantów. Z wdzięcznością wspominam fascynujące wykłady prof. Łagowskiego z filozofii polskiej i jego seminarium, na którym dyskutowaliśmy o liberalizmie i konserwatyzmie (za marksizmem autor „Ducha i bezduszności III Rzeczypospolitej" nie przepadał, czego powody – subtelnie – wyłuszczył w słynnym tekście „Filozofia rewolucji czy filozofia państwa?" z początku lat 80.). Profesor Legutko znalazł kilka dobrych słów dla autora klasycznej pracy o Maurycym Mochnackim, choć jasno wyjaśnia, co go uwiera po latach w publicystyce Łagowskiego. Cieszy jednak życzliwy ton dla adwersarza w świecie, w którym nie tylko dawni znajomi nie kłaniają się sobie na ulicy, lecz także byli przyjaciele mają dla siebie tylko milczenie i pogardę, a opresja stała się elementarnym narzędziem dyskusji publicznej.

Polska, jaką opisuje Ryszard Legutko w „Rekapitulacji", to nieustanne agony, czyli walka z największym wytężeniem sił po stronie dobrego i złego. To obraz niemal manichejski. Ale taką przebodli nas ojczyzną demiurgowie III RP. ■

eprasa.pl a3976d4b30



Hanna Shen

Japońska „Żelazna Dama”, której boi się Pekin

eprasa.pl a3976d4b30



Donald Trump twierdzi, że nowa szefowa japońskiego rządu ma potencjał, aby stać się jednym z najlepszych premierów Kraju Kwitnącej Wiśni. Chiny już dwukrotnie próbowały pozbawić ją władzy.

FOT. WIKIPEDIA

Sanae Takaichi objęła urząd premiera Japonii 21 października 2025 roku, co stanowiło kamień milowy w historii tego kraju, ponieważ była pierwszą kobietą na tym stanowisku. Jako zagorzała konserwatystka i protegowana nieżyjącego premiera Shinzo Abe, przełamała wiele schematów obowiązujących w japońskim społeczeństwie dzięki swojemu nieelitarnemu pochodzeniu, odważnemu stylowi osobistemu oraz wyrazistym poglądom. To zaowocowało nadaniem jej przydomku „Żelazna Dama" oraz porównaniami do heavymetalowej buntowniczki.

Nieelitarne pochodzenie

Urodzona w 1961 roku Sanae Takaichi dorastała w rodzinie mieszczańskiej, apolitycznej i nieelitarnej. To pochodzenie wyraźnie odróżnia ją od wielu liderów w Japonii, gdzie większość premierów i czołowych działaczy partyjnych wywodzi się z wielopokoleniowych dynastii politycznych lub zamożnych rodzin. Wiele znaczących postaci Partii Liberalno-Demokratycznej (PLD), której obecnie przewodzi Takaichi, wychowało się w dużych domach rodzinnych lub w posiadłościach w Tokio. Takaichi spędziła dzieciństwo w niewielkim domu jednorodzinnym w mieście Nara, położonym około 500 kilometrów od stolicy. Jej ojciec pracował w małym lokalnym przedsiębiorstwie zajmującym się produkcją części samochodowych. Takaichi, jako dziecko, czasami w weekendy pomagała ojcu w dostarczaniu części samochodowych jego klientom. Jej matka była policjantką – jedną z nielicznych kobiet w Japonii w tym zawodzie w latach 60. i 70. XX wieku. „Nie pochodzę ani z rodziny politycznej, ani bogatej, a po prostu z normalnego domu pracownika zatrudnionego na etacie" – to zdanie, które przyszła premier Japonii często powtarzała w wywiadach. To skromne, prowincjonalne pochodzenie było jednym z powodów, dla których starsi konserwatyści z Partii Liberalno-Demokratycznej początkowo patrzyli na nią z góry. Jednak z czasem stało się ono ogromnym atutem, gdy Takaichi, ubiegając się o mandat, prezentowała się jako „konserwatystka niezwiązana z establishmentem", która potrafiła nawiązać kontakt ze zwykłymi wyborcami, sfrustrowanymi politykami dziedzicznymi.

Niezależna heavymetalówka na motocyklu

Sanae Takaichi jest jednym z nielicznych japońskich premierów, którzy nie ukończyli elitarnych prywatnych szkół, w których kształci się większość klasy politycznej i biurokratycznej Kraju Kwitnącej Wiśni. Po szkole średniej podjęła naukę na dobrym, aczkolwiek państwowym Uniwersytecie w Kobe, mimo że jej wyniki akademickie pozwalały na aplikację do najbardziej prestiżowych japońskich uczelni, takich jak tokijskie Keio czy

eprasa.pl a976d4b30

Waseda. Decyzja o wyborze Uniwersytetu w Kobe, zamiast drogich elitarnych szkół, była bezpośrednio związana z tym, że jej rodzice faworyzowali jej brata, uznając, że wykształcenie córki jest mniej istotne. Wyraźnie chcieli przeznaczyć pieniądze na edukację i przyszłość syna, co odzwierciedla powszechne w tamtych czasach preferencje na rzecz chłopców. Takaichi dojeżdżała sześć godzin dziennie z Nary do Kobe, aby uczestniczyć w zajęciach na Wydziale Ekonomicznym, który ukończyła w 1984 roku. Opłacała czesne i inne wydatki, podejmując się prac dorywczych, co świadczyło o jej samodzielności i budowało odporność na życiowe wyzwania. To doświadczenie ukształtowało także jej przekonanie o konieczności równości płci w edukacji. Już jako premier stwierdziła: „Chcę stworzyć społeczeństwo, w którym ludzie nie będą musieli rezygnować ze swojej kariery" z powodu uprzedzeń rodzinnych.

Heavy metal, perkusja i motocykle – to nie tylko pasje Sanae Takaichi; to fundament, na którym zbudowała swój wizerunek publiczny jako niezwykle niezależnej kobiety, jeszcze zanim zaangażowała się w politykę. Premier Japonii od lat jest fanką brytyjskiego i amerykańskiego hard rocka oraz heavy metalu, w tym zespołów takich jak Black Sabbath, Iron Maiden czy Deep Purple. Wciąż uczęszcza na koncerty; na przykład w 2024 roku była na występie Iron Maiden w Tokio. Kiedy w latach 80. rozpoczęła pracę w mediach jako prezenterka wiadomości, a później komentatorka polityczna, szybko zyskała uznanie widzów. W tamtych czasach japońscy komentatorzy telewizyjni byli niemal wyłącznie mężczyznami w średnim wieku, ubranymi w garnitury. Młoda kobieta, otwarcie pasjonująca się „diabelską muzyką", natychmiast przyciągała uwagę.

Takaichi nie tylko słucha muzyki, lecz także grała na perkusji w żeńskim zespole hardrockowym na Uniwersytecie w Kobe. Wciąż ma w domu zestaw perkusyjny i od czasu do czasu publikuje filmiki, na których ćwiczy partie muzyczne. Wybór perkusji nie był przypadkowy – chciała udowodnić, że kobiety potrafią być silne i głośne. Japońskie media nadały jej przydomek „ekonomistka od headbangingu"[1]. Swój pierwszy motocykl Takaichi kupiła za samodzielnie zarobione pieniądze w wieku 19 lat, w czasach, gdy w Japonii kobiety jeżdżące na dużych motocyklach były rzadkością. Odniesienia do swoich pasji Takaichi wielokrotnie wykorzystywała w karierze politycznej. Jej plakat z kampanii z 1993 roku przedstawia 32-letnią Takaichi w czarnej skórzanej kurtce, siedzącą na motocyklu, z hasłem „Idę własną drogą". W przemówieniu w parlamencie w 2002 roku powiedziała: „Kiedy byłam młoda, rodzice mówili mi, że dziewczyna nie potrzebuje uniwersytetu. Więc kupiłam motocykl, pracowałam na nocnych zmianach i sama się utrzymywałam. Właśnie takiego ducha dziś potrzebuje Japonia". Podczas tegorocznej debaty w kampanii na szefa PLD, zapytana o „kobiecy styl przywództwa", odpowiedziała: „Nauczyłam się przywództwa przy perkusji – wyczucia rytmu, siły i nieustannego powtarzania".

[1] Headbanging to energiczne machanie głową w rytm muzyki, najczęściej heavy metalu.

Jak Margaret Thatcher

Sanae Takaichi jest wielbicielką Margaret Thatcher, pierwszej kobiety, która objęła urząd premiera Wielkiej Brytanii. Często określa ją mianem „wzoru do naśladowania" za umiejętne połączenie niezłomnych przekonań z „kobiecym ciepłem". Takaichi miała okazję poznać Thatcher w Londynie w 2013 roku, zaledwie kilka miesięcy przed jej śmiercią. Opisała to spotkanie jako „przełomowe" i podkreśliła radę, jaką otrzymała od Thatcher w kwestii radzenia sobie z seksizmem w polityce: „Powiedziała mi, żebym nigdy nie przepraszała za to, że jestem kobietą o silnych poglądach". Takaichi nie ukrywa, że pragnie być „Żelazną Damą", tak jak Margaret Thatcher, dążąc do budowy silnej Japonii poprzez swoje przekonania i odwagę. Nawet w kwestiach stylu Thatcher stanowi inspirację dla Takaichi, która często, podobnie jak brytyjska premier, wybiera niebieskie kostiumy i nosi naszyjniki z pereł.

Obie polityk łączy znacznie więcej niż tylko wspólne pochodzenie z klasy średniej. „Margaret Thatcher wywarła ogromny wpływ na moje osobiste przekonania polityczne. Udowodniła, że córka kupca może zmienić oblicze narodu – podobnie jak ja: pochodzę ze skromnej rodziny z Nary i dążę do odrodzenia potęgi Japonii" – powiedziała Takaichi. Zarówno premier Wielkiej Brytanii, jak i premier Japonii musiały przebijać szklane sufity w zdominowanej przez mężczyzn polityce. Obie stanęły na czele partii konserwatywnej. Margaret Thatcher prezentowała zdecydowane stanowisko wobec Związku Sowieckiego, podczas gdy Sanae Takaichi określana jest mianem chińskiego jastrzębia. Obie słyną z silnego uścisku dłoni, co zwróciło uwagę prezydenta USA Donalda Trumpa podczas spotkania z premier Japonii w Tokio w październiku bieżącego roku. Właśnie wtedy, tuż po ogłoszeniu przez Trumpa i Takaichi „nowej złotej ery" w relacjach japońsko-amerykańskich, trudno było nie dostrzegać analogii do partnerstwa z czasów Reagana i Thatcher.

Proamerykańska premier

Sanae Takaichi postrzega sojusz USA–Japonia jako kluczowy fundament japońskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Uważa go za niezbędny do odstraszania zagrożeń ze strony Chin, Korei Północnej i Ro-

eprasa.pl a3976d4b30

sji, a także do promowania idei „wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku". Czerpiąc z doświadczeń swojego mentora, nieżyjącego już premiera Shinzo Abe, widzi ten sojusz nie tylko jako pakt obronny, lecz także jako dynamiczne partnerstwo na rzecz bezpieczeństwa gospodarczego, integracji technologicznej oraz stabilności regionalnej. Takaichi podkreśla konieczność przyspieszenia wydatków na obronę, dążąc do osiągnięcia poziomu 2 proc. PKB do marca 2026 roku, co oznacza dwa lata przed planowanym terminem. Ma to na celu uczynienie sojuszu „jeszcze silniejszym i bardziej prosperującym". Retoryka japońskiej premier przekłada się na konkretne działania: szczyt z Donaldem Trumpem, który odbył się 28 października bieżącego roku, zaowocował porozumieniami w zakresie kluczowych minerałów (zmniejszenie zależności od Chin), technologii jądrowej oraz handlu.

Konserwatywna premier Japonii opowiada się też za tworzeniem „quasi-sojuszy" jako uzupełnienia, a nie alternatywy dla relacji z USA. „Potrzebujemy quasi-sojuszu z Tajwanem, Australią, Indiami i innymi krajami, aby wspólnie utrzymać gwarancje bezpieczeństwa, jednocześnie wzmacniając więzi z USA" – powiedziała Takaichi podczas seminarium w Tajpej w kwietniu bieżącego roku. Podkreśla również, że Chiny stanowią „główne zagrożenie egzystencjalne" dla Japonii, zwłaszcza w kontekście rozbudowy swojego potencjału militarnego, taktyki szarej strefy[2] na Morzu Południowochińskim oraz potencjalnej inwazji na Tajwan, która – jej zdaniem – mogłaby bezpośrednio zagrozić przetrwaniu Japonii.

Pekin kontra „Żelazna Dama"

Właśnie to stanowisko Takaichi wobec Tajwanu wywołało furię w Pekinie oraz działania mające na celu osłabienie rządów japońskiej „Żelaznej Damy", a nawet ich obalenie. 7 listopada Sanae Takaichi, podczas sesji parlamentarnej, oświadczyła, że atak Chin na Tajwan stanowiłby „sytuację zagrażającą przetrwaniu" Japonii, w związku z czym japońskie Siły Samoobrony musiałyby zostać wysłane, aby wesprzeć Tajwan. Wkrótce potem chiński konsul w Oslo zasugerował, że głowa japońskiej premier powinna zostać odcięta. W ciągu kilku dni Chiny przeprowadziły lot dronem między Tajwanem a japońską wyspą Yonaguni, a okręty chińskiej straży przybrzeżnej przepłynęły w pobliżu grupy wysp Morza Wschodniochińskiego, które są kontrolowane przez Japonię, ale do których Chiny roszczą sobie prawa. Chiński rząd odradził swoim obywatelom podróże do Japonii, wskazując, że obecnie „bezpieczeństwo Chińczyków w Japonii jest zagrożone". Była to dobrze skoordynowana akcja. Tuż po ogłoszeniu przez Pekin tego zalecenia chińskie linie lotnicze poinformowały, że rezerwacje lotów do Japonii można anulować bezpłatnie. To tylko kilka z działań, które Chiny podjęły, aby osłabić pozycję Takaichi. Pekin liczył, że gospodarcze sankcje oraz polityczna i wojskowa presja wzmocnią głosy niezadowolenia wobec premier w Japonii na tyle, by udało się obalić jej rząd. Jednakże twarda postawa Takaichi przyniosła jej znaczące poparcie wśród Japończyków.

Sanae Takaichi jest wielbicielką Margaret Thatcher, pierwszej kobiety, która objęła urząd premiera Wielkiej Brytanii. Często określa ją mianem „wzoru do naśladowania" za umiejętne połączenie niezłomnych przekonań z „kobiecym ciepłem".

To już drugie uderzenie Pekinu w kierunku Takaichi. W październiku, tuż przed głosowaniem nad jej kandydaturą na stanowisko premiera w japońskim parlamencie, doszło do spotkania ambasadora Chin w Japonii z przewodniczącym partii Komeito, głównym koalicjantem Partii Liberalno-Demokratycznej (PLD), której przewodniczy Takaichi. Wydawało się, że w wyniku ingerencji Pekinu wybór Takaichi będzie niemożliwy. Jednak PLD udało się w ciągu kilku dni zawrzeć koalicję z inną konserwatywną partią i przegłosować kandydaturę Takaichi. Dwie próby pokrzyżowania politycznych planów japońskiej „Żelaznej Damy" pokazują, jak bardzo w strategicznym i egzystencjalnym sensie Komunistyczna Partia Chin obawia się Sanae Takaichi. Podobnie jak Margaret Thatcher jest ona nieustępliwą konserwatywną przywódczynią, której jastrzębia postawa i zdolności do budowania sojuszy zagrażają globalnym ambicjom autorytarnego reżimu. ■

[2] „Taktyka szarej strefy" to celowe działania państwa, które są agresywne i prowokacyjne, ale celowo poniżej progu otwartej wojny.

eprasa.pl a3976d4b30

opracował Antoni Rybczyński

Nowy atomowy wyścig zbrojeń?

Głównym celem Traktatu o całkowitym zakazie prób jądrowych (CTBT) jest zakazanie wszelkich prób jądrowych, a tym samym ograniczenie prób obejścia limitów ilościowych arsenałów poprzez zwiększenie zaawansowania głowic bojowych. Jeśli Stany Zjednoczone wznowią testy, ryzykują wywołanie efektu kaskadowego, skłaniając wszystkie państwa posiadające broń jądrową do podjęcia podobnych działań.

W czerwcu 2019 roku dyrektor głównej agencji wywiadowczej Pentagonu wygłosił zaskakujące zarzuty dotyczące Rosji i jej programów jądrowych: Moskwa testuje broń atomową. „Rząd Stanów Zjednoczonych, w tym służby wywiadowcze, oceniły, że Rosja przeprowadziła testy broni jądrowej, które spowodowały wybuch jądrowy" – powiedział generał broni Robert Ashley. Ashley dodał, że Chiny również mogą przeprowadzać własne testy, prawdopodobnie przy użyciu metod „zerowej mocy", w których nie dochodzi do rzeczywistej eksplozji atomowej, czyli reakcji łańcuchowej rozszczepienia jądrowego. Sześć lat później Stany Zjednoczone i Rosja są na skraju nowego wyścigu zbrojeń. Kreml chwali się, że opracowuje nową superbroń o zdolnościach nuklearnych, a prezydent Donald Trump grozi wznowieniem amerykańskich testów jądrowych (Mike Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie? Co groźba Trumpa oznacza dla globalnych testów nuklearnych", Radio Free Europe/Radio Liberty, 5 listopada 2025).

Atomowa deklaracja Trumpa

„Stany Zjednoczone posiadają więcej broni jądrowej niż jakikolwiek inny kraj. Rosja zajmuje drugie miejsce, a Chiny trzecie, ze znaczną stratą, ale dogonią nas w ciągu pięciu lat. Ze względu na programy testowe innych krajów poleciłem ministerstwu obrony rozpoczęcie testów naszej broni jądrowej na równych zasadach. Proces ten rozpocznie się natychmiast". Prezydent USA Donald Trump, jak zwykle, wygłosił oświadczenie w serwisie społecznościowym Truth – na godzinę przed spotkaniem z przywódcą ChRL Xi Jinpingiem (Walentyn Barsznikow, „Próba Trumpa, 18 minut Bigelow. Broń jądrowa ponownie w centrum uwagi", Radio Swoboda, 30 października 2025). Chociaż Trump miał właśnie wejść do sali, w której czekał na niego Xi, to prawdopodobnie miał na myśli prezydenta Rosji Władimira Putina, kiedy wygłaszał swoje oświadczenie. W niedzielę Rosja ogłosiła – w miejscu przeznaczonym dla międzynarodowej publiczności – że jej nowy pocisk manewrujący o napędzie jądrowym i zdolnościach jądrowych, Buriewiestnik/Skyfall, przeleciał i manewrował na odległość 7800 mil. System ten ma na celu wykrywanie słabych punktów w obronie powietrznej, co Trump chce osiągnąć dzięki planowanemu projektowi Golden Dome, szeroko zakrojonej inicjatywie obrony przeciwrakietowej z wykorzystaniem przechwytujących pocisków naziemnych i kosmicznych (Erin D. Dumbacher, „Czy rozkaz Trumpa dotyczący przeprowadzenia testów nuklearnych wywoła globalny wyścig zbrojeń?", Council on

eprasa.pl a3976d4b30

Foreign Relations, 30 października 2025). „Rosja przeprowadza testy, Chiny przeprowadzają testy, ale nie mówią o tym" – powiedział Trump w wywiadzie dla CBS News nagranym 31 października. „Nie, my też będziemy przeprowadzać testy, ponieważ oni przeprowadzają testy, a inni też przeprowadzają testy". Powtórzył to stwierdzenie 5 listopada, kilka godzin po tym, jak prezydent Władimir Putin zorganizował posiedzenie Rady Bezpieczeństwa poświęcone właśnie tej kwestii. „Ze względu na programy testowe innych krajów poleciłem Departamentowi Wojny rozpoczęcie testów naszej broni jądrowej na równych zasadach" – powiedział Trump. Sekretarz ds. energii Christopher Wright, którego departament nadzoruje National Nuclear Security Administration (NNSA), która zarządza magazynowaniem i testami amerykańskiego arsenału jądrowego, wyjaśnił później wypowiedź Trumpa. „Myślę, że testy, o których teraz mówimy, to testy systemowe" – powiedział Wright w wywiadzie dla Fox News 2 listopada. „Nie są to wybuchy jądrowe. Są to tak zwane wybuchy niekrytyczne" (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"...).

Według doniesień amerykańskich mediów, administracja Donalda Trumpa podczas pierwszej kadencji w 2020 roku rozważała możliwość powrotu do podziemnych testów jądrowych z powodu możliwego naruszenia moratorium przez Chiny i Rosję. Wówczas chodziło o to, że przy pewnych dodatkowych wysiłkach potencjalnego sprawcy naruszenia międzynarodowy system monitorowania wybuchów jądrowych może nie wykryć testu o zbyt małej mocy, powiedzmy poniżej jednej kilotony, a Stany Zjednoczone miały rzekomo informacje, że Chiny i Rosja mogą przeprowadzać takie testy. Sprawa nie miała żadnego zakończenia (Aleksiej Iżak, „Koniec tabu nuklearnego? Dlaczego Trump mówi o nowych testach?", Dzerkało Tyżnia, 5 listopada 2025). W kwietniu Departament Stanu USA opublikował coroczny raport dotyczący krajów przestrzegających traktatów o kontroli zbrojeń. W raporcie stwierdzono, że Rosja przeprowadziła w ostatnich latach „nadkrytyczne" testy broni jądrowej, ale nie powiadomiła o tym Stanów Zjednoczonych ani innych krajów, jak wymaga tego traktat z 1974 roku, który nakłada również ograniczenia na wielkość podziemnych wybuchów. „Obawy pozostają ze względu na te przeszłe działania oraz niepewność i brak przejrzystości w odniesieniu do działań Rosji na Nowej Ziemi" – stwierdzono w raporcie. Ogólnie rzecz biorąc, termin „nadkrytyczny" odnosi się do reakcji rozszczepienia, kiedy izotop ulega rozpadowi i powoduje pełną reakcję łańcuchową. Terminy „niekrytyczny" lub „podkrytyczny" nie odnoszą się do tego zjawiska. Kilka dni po wypowiedzi Trumpa dyrektor CIA John Ratcliffe napisał w poście na X, że Trump „miał rację" co do testów chińskich i rosyjskich (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"...).

▶ Co na to Rosja?

Trump prawdopodobnie zareagował na ostatnie oświadczenia prezydenta Rosji Władimira Putina dotyczące testów nowych środków przenoszenia: rakiety skrzydłowej Buriewiestnik i torpedy Posejdon z napędem jądrowym i zdolnością, jak się podaje, do przenoszenia głowic jądrowych. W Moskwie rosyjscy urzędnicy skrytykowali obietnicę Trumpa dotyczącą wznowienia testów i zaprzeczyli oskarżeniom, że przeprowadzili rzeczywiste testy jądrowe. Podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Putin nakazał urzędnikom przygotowanie propozycji dotyczących „możliwego rozpoczęcia prac przygotowawczych do testów broni jądrowej" (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"...). W wywiadzie udzielonym rosyjskiej telewizji publicznej (WGTRK) Pieskow oświadczył, że przywódca Rosji Władimir Putin „nie wydał rozkazu rozpoczęcia przygotowań" do prób nuklearnych. Pytanie o taką decyzję pojawiło się w związku z ubiegłotygodniowym spotkaniem rosyjskiego lidera z członkami Rady Bezpieczeństwa. Wtedy minister obrony Andriej Biełousow zaproponował, aby Putin natychmiast rozpoczął przygotowania do prób nuklearnych na archipelagu Nowa Ziemia, powołując się na wypowiedzi Trumpa, że USA zamierzają przeprowadzić próby z bronią jądrową, ponieważ inne kraje również je przeprowadzają. Pieskow przekonywał, że jest jeszcze za wcześnie na podejmowanie takich decyzji. „Najpierw musimy zrozumieć, czy musimy to zrobić. Musi to być bardzo poważna, dobrze uzasadniona i starannie przemyślana decyzja. Nad tym będą teraz pracować nasi specjaliści" – oświadczył rzecznik Kremla („Rosja/ Kreml: Będziemy zmuszeni przeprowadzić próby jądrowe, jeśli USA zrobią to pierwsze", PAP, 10 listopada 2025). „Nie ogłaszamy, że przeprowadzamy testy jądrowe" – podkreślił Ławrow na spotkaniu z rosyjskimi mediami. Przypomniał, że przywódca Rosji Władimir Putin już w 2023 roku zapowiedział, iż jeśli jedno z mocarstw jądrowych przeprowadzi testy broni jądrowej, Rosja zrobi to samo. „Jesteśmy gotowi omówić podejrzenia naszych amerykańskich kolegów, że potajemnie robimy coś głęboko pod ziemią" – powiedział Ławrow. Ocenił jednak, że zapowiedzi USA o wznowieniu prób są „alarmujące". „Jaki może być cel geopolityczny Stanów Zjednoczonych? Dominacja. Jeśli w tym celu wykorzystuje się broń jądrową, jest to alarmujące" – oświadczył („Rosja/ Szef MSZ: jeśli jakiś kraj wznowi testy broni jądrowej, zrobimy to samo", PAP, 11 listopada 2025).

Ostatni raz Stany Zjednoczone użyły materiałów wybuchowych ze swojego arsenału, aby rozbić izotop uranu lub plutonu i wywołać reakcję łańcuchową znaną jako rozszczepienie jądrowe w 1992 roku, na pustynnym terenie Nevady. Nie była to chmura grzybo-

eprasa.pl a3976d4b30

wa, jak te, które można zobaczyć w filmach – te wyszły z użycia w latach 60. wraz z podpisaniem traktatu – ale podziemny wybuch. Ostatni test rozszczepienia broni przeprowadzony przez Moskwę? Miało to miejsce w 1990 roku, rok przed upadkiem Związku Sowieckiego, na Nowej Ziemi. Pekin przeprowadził swój test w 1996 roku w Lop Nur, na smaganych wiatrem terenach na dalekim zachodzie prowincji Xinjiang. W tym samym roku wszedł w życie Traktat o całkowitym zakazie prób jądrowych (CTBT). Od tego czasu tylko Pakistan i Indie przeprowadziły podobne testy, a Korea Północna przeprowadziła sześć, ostatnio w 2017 roku (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"...).

Co testują Amerykanie?

Testowanie głowicy jądrowej nie jest tym samym co testowanie systemu przenoszenia broni jądrowej. Historycznie rzecz biorąc, za pierwsze z tych zadań odpowiada Departament Energii. Departament nie przeprowadzał testów głowic nuklearnych od 1992 roku. W latach 1945–1990 Stany Zjednoczone przeprowadziły ponad tysiąc detonacji; naukowcy wykorzystują dane i modele komputerowe z tych testów do dziś, nie powodując żadnego skażenia radiologicznego na terenie poligonu testowego ani poza nim. Prezydent George H.W. Bush ogłosił moratorium na testy w 1992 roku. Z drugiej strony Departament Obrony rutynowo testuje systemy, które mogą przenosić broń jądrową, takie jak międzykontynentalna rakieta balistyczna Minuteman III, testowana w maju w bazie sił kosmicznych Vandenberg w Kalifornii (E.D. Dumbacher, „Czy rozkaz Trumpa dotyczący przeprowadzenia testów nuklearnych wywoła globalny wyścig zbrojeń?"...). Amerykańska triada nuklearna przechodzi regularne kontrole, podczas których środki przenoszenia są testowane w określonych kombinacjach z makietami głowic nuklearnych. Stany Zjednoczone robią to nie rzadziej niż Rosja, ale zazwyczaj bez medialnego szumu i w innych celach. Amerykańskie testy sprawdzają gotowość starych systemów i oceniają decyzje dotyczące nowych systemów. W dniach 17–21 września przeprowadzono serię udanych startów międzykontynentalnych rakiet balistycznych Trident II z pokładu okrętu podwodnego klasy Ohio. We wrześniu do testów trafił drugi egzemplarz strategiczny bombowca B-21. W czerwcu 2025 roku zaprezentowano zdjęcia nowej rakiety skrzydlatej dalekiego zasięgu z głowicą jądrową – AGM-181. Nawet poprzednia wersja B-21 rzekomo była w stanie bez przeszkód zbombardować infrastrukturę nuklearną Iranu, który jako członek SzOW miał pewne gwarancje ze strony Chin. 21 maja Stany Zjednoczone przeprowadziły testy międzykontynentalnych pocisków balistycznych Minuteman III na poligonie na Wyspach Marshalla na Pacyfiku (A. Iżak, „Koniec tabu nuklearnego?"...).

Władze USA utrzymują poligon testowy w Nevadzie, gdzie nadal prowadzone są eksperymenty podkrytyczne. Jednak przeprowadzenie pełnej eksplozji rozszczepialnej nie jest możliwe od razu. „Stany Zjednoczone nie byłyby w stanie przeprowadzić testu w ciągu kilku dni lub tygodni, ale w zależności od szczegółów testu i diagnostyki, moglibyśmy wznowić testy w ciągu kilku miesięcy lub kilku lat" – powiedziała Jill Hruby, była dyrektor Sandia National Laboratories w Nowym Meksyku i była szefowa NNSA (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"...). W raporcie dla Kongresu z 2011 roku podano następujące terminy: 24–36 miesięcy na przeprowadzenie pełnowymiarowego testu jądrowego, związane z nowymi opracowaniami – do 60 miesięcy, „bardzo prosty test w celach politycznych można przeprowadzić w ciągu 6–10 miesięcy" (W. Baryszнikow, „Próba Trumpa"...). Według Hruby władze USA dysponują bogatymi danymi z poprzednich testów podziemnych, a także testów laboratoryjnych i eksperymentów podkrytycznych, co jej zdaniem stanowi argument przeciwko wznowieniu pełnych testów. „Ponadto, jeśli zaczniemy testy, jasne jest, że inni również wznowią lub rozpoczną testy" – powiedziała. „Moim zdaniem po wznowieniu testów istnieje duże prawdopodobieństwo, że będą badane nowe typy urządzeń, co spowoduje eskalację wyścigu zbrojeń" (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"...).

„Konserwacja" arsenału jądrowego

Grupa amerykańskich specjalistów ostrzega, że infrastruktura nuklearna kraju – oraz broń, którą utrzymuje – niszczeje. Od 1989 roku nie wprowadzono do użytku żadnych nowych konstrukcji głowic, co sprawia, że plutonowe rdzenie w istniejących arsenałach są niebezpiecznie przestarzałe. Jak ostrzegał Siegfried Hecker, były dyrektor Los Alamos National Laboratory, ta przestarzałość budzi realne wątpliwości, czy urządzenia te nadal będą wybuchać zgodnie z zamierzeniami. Biorąc pod uwagę eskalację napięć nuklearnych między Rosją a Chinami, a także rosnący potencjał Korei Północnej – choćby skromny – Mark Schneider, wybitny analityk, twierdzi, że przewaga Stanów Zjednoczonych słabnie. Druga grupa argumentów za wznowieniem testów ma charakter czysto polityczny. Jak stwierdza Robert Peters, czołowy pracownik Heritage Foundation, nawet jeśli nie ma żelaznych naukowych lub inżynieryjnych uzasadnień dla badania głowicy bojowej, prawdziwą korzyścią jest przekazanie przeciwnikom informacji o determinacji. Moment, w którym Trump opublikował swój post tuż przed rozmową z Xi, jasno to pokazuje. W kręgach republikańskich zakłada

eprasa.pl a3976d4b30

się, że groźba testów w połączeniu ze zwiększoną produkcją materiałów rozszczepialnych skłoni Rosję i Chiny do podjęcia rozmów na temat kontroli zbrojeń. Przeciwnicy testów przeciwstawiają się twierdzeniom, że zaufanie do stanu arsenału faktycznie rośnie dzięki najnowocześniejszym symulacjom komputerowym, najnowocześniejszym urządzeniom eksperymentalnym oraz badaniom wykazującym, że pluton w głowicach pozostaje stabilny przez 85 lat lub dłużej. Pracownicy laboratoriów jądrowych twierdzą, że ich narzędzia – niemające sobie równych na świecie – pozwalają im certyfikować broń bez przeprowadzania rzeczywistych wybuchów. Richard Correll, wiceadmirał wybrany przez Trumpa na stanowisko szefa Dowództwa Strategicznego Stanów Zjednoczonych, zapewnił Senacką Komisję Sił Zbrojnych o swoim „absolutnym zaufaniu" do solidności i niezawodności arsenału. Zapewnienie to znajduje potwierdzenie w corocznych tajnych ocenach Departamentu Energii i STRATCOM. Co więcej, głowice z 1989 roku reprezentują szczyt niezawodności, ponieważ przeszły wyczerpujące testy przed wprowadzeniem zakazu (Maksym Starczak, „Amerykańskie testy nuklearne przypieczętują koniec kontroli zbrojeń", Riddle Russia, 5 listopada 2025).

Jeśli chodzi o amerykański program utrzymania niezawodności, ma on swoje odpowiedniki w innych krajach posiadających broń jądrową. Jednak to właśnie program amerykański jest wzorcowy pod względem poziomu technologicznego. W podziemnych instalacjach poligonu w stanie Nevada przeprowadza się eksperymenty podkrytyczne z plutonem. W takich eksperymentach materiał wybuchowy ściska próbkę materiału jądrowego, ale jego ilość i forma są dobrane tak, aby nie doszło do samopodtrzymującej się reakcji jądrowej. Oznacza to, że nie dochodzi do wybuchu – mierzy się jedynie zachowanie substancji pod ciśnieniem i w temperaturze zbliżonej do warunków bojowych. W specjalnych instalacjach Los Alamos National Laboratory dwie potężne stacje rentgenowskie rejestrują w skali mikrosekund, jak przebiega implozja ładunku jądrowego bez uwolnienia energii jądrowej. W Laboratorium Narodowym Livermore pracuje bardzo mocny laser do badań syntezy termojądrowej; w grudniu 2022 roku po raz pierwszy osiągnięto tam stan zapłonu (ignition), kiedy energia uzyskana z reakcji przewyższyła energię dostarczoną przez laser. W lipcu 2024 roku Stany Zjednoczone przeprowadziły udany eksperyment podkrytyczny w nowym kompleksie PULSE. Uzyskane dane są przetwarzane przez system superkomputerów, gdzie procesy fizyczne są modelowane na poziomie poszczególnych atomów z dokładnością do mikrosekundy. Teraz Stany Zjednoczone mogą obejść się bez testów nawet dla znacznej części spektrum amunicji, w tym termojądrowej (A. Iżak, „Koniec tabu nuklearnego?"…).

Nuklearna puszka Pandory

Głównym celem Traktatu o całkowitym zakazie prób jądrowych (CTBT) jest zakazanie wszelkich prób jądrowych, a tym samym ograniczenie prób obejścia limitów ilościowych arsenałów poprzez zwiększenie zaawansowania głowic bojowych. Jeśli Stany Zjednoczone wznowią testy, ryzykują wywołanie efektu kaskadowego, skłaniając wszystkie państwa posiadające broń jądrową do podjęcia podobnych działań – nie tylko w celu weryfikacji niezawodności istniejących zapasów, lecz także w celu przesunięcia granic rozwoju zaawansowanej broni (M. Starczak, „Amerykańskie testy nuklearne przypieczętują koniec kontroli zbrojeń"…). Jeśli administracja Trumpa rzeczywiście przystąpi do pełnych testów, prawdopodobnie wywoła to wyścig zbrojeń, ponieważ inne kraje – przede wszystkim Chiny – również podejmą działania w celu wznowienia testów. Doprowadziłoby to do całkowitego załamania porozumienia CTBT. Rosja „wycofała ratyfikację" traktatu w 2023 roku; Waszyngton podpisał go, ale nie ratyfikował. Niektórzy urzędnicy administracji wzywają do „wycofania podpisu" pod traktatem. Chiny podpisały pakt, ale go nie ratyfikowały (M. Eckel, „Grzyby atomowe na horyzoncie?"…).

Przed podpisaniem CTBT Pekin przeprowadził zaledwie 45 testów jądrowych – około 23 razy mniej niż liczba zgromadzona przez Waszyngton w tym momencie. Ponadto, ponieważ infrastruktura technologiczna Chin pozostawała daleko w tyle za czołową dwójką mocarstw jądrowych, Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim (obecnie Rosją), prawdopodobnie brakowało jej solidnych podstaw empirycznych dla modeli symulacyjnych. Rozpad CTBT i związane z tym zezwolenie na wznowienie testów dałoby Chinom niezrównaną okazję do zdobycia kluczowej wiedzy na temat konstrukcji głowic i systemów przenoszenia, co w konsekwencji znacznie wzmocniłoby ich pozycję nuklearną. Dynamika ta miałaby głębokie konsekwencje dla Azji Południowej. Sojusznicy Stanów Zjednoczonych – Korea Południowa i Japonia – borykający się już z rosnącą presją militarną ze strony Chin i Korei Północnej, mogliby przyspieszyć realizację własnych ambicji nuklearnych lub domagać się wzmocnienia obecności nuklearnej Stanów Zjednoczonych w regionie. W tej niestabilnej sytuacji chińskie testy mogłyby wywołać nową rundę testów w Indiach, szybko powtórzoną przez Pakistan, niwecząc pokolenia żmudnej dyplomacji na rzecz nierozprzestrzeniania broni jądrowej (M. Starczak, „Amerykańskie testy nuklearne przypieczętują koniec kontroli zbrojeń"…). ■

eprasa.pl a3976d4b30





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Idąc ulicą w Delhi na każdym kroku napotykamy na proszących o jałmużnę.

Okaleczeni

Jeszcze w 2011 roku było ich tu nieco ponad 2 tys. W ciągu jednej tylko dekady liczba żebraków wzrosła o blisko 900 proc. Dziś na ulicach hinduskiego Delhi trudno przejść, nie będąc zaczepionym przez proszącego o pomoc. O jałmużnę. Część z nich to współcześni niewolnicy. Ciemiężeni przez żebracze mafie.

eprasa.pl a3976d4b30

Ma na imię Suresh. Suresh Manjhi. Nie skończył jeszcze 30 lat. Jako biharski robotnik pracujący na budowach stara się przyjmować każdą pracę. Zazwyczaj wynajmują go lokalni brygadziści budowlani, którym akurat tego dnia brakuje ludzi. Ktoś się rozchorował, ktoś nie przyszedł do pracy. Nie każdego jednak dnia znajduje się ktoś, kto akurat chce podnająć Suresha. A ostatnimi czasy jest z tym jeszcze gorzej. Tygodnie bezrobotnego czasu przeistaczają się już w miesiące. Dłużej Suresh tego nie zniesie. Pakuje manatki i łapiąc pierwszego wolnego busa, udaje się w podróż do Delhi. Przed nim ponad 20-godzinna podróż. Z ulokowanego na północnym-wschodzie kraju Biharu do stolicy jest 1130 kilometrów.

Po dwóch dobach jazdy Suresh wreszcie opuszcza autobus. I widzi miasto, w jakim nigdy nie był. Rozhisteryzowane. Wyjące. Brudne i zakurzone. Nieznające spokoju ani pojęcia ciszy. W ciągłym amoku. Przy budynku dworca na ziemi siedzą ludzie. Są zmęczeni. Ktoś położył się na wyciągniętym ze sklepowego śmietnika kartonie. Wokół snuje się jakieś dziecko. Dla zabicia nudy kopie plastikową butelkę. Jedna z kobiet dostaje ataku padaczki. Dwóch mężczyzn podbiega do chorej, aby udzielić jej pomocy. Suresh obserwuje całą tę scenkę z nieukrywanym zdumieniem. Nie takiego Delhi się spodziewał.

Domyśla się, że jeśli się nie postara, wkrótce na przydworcowym bruku może wylądować również on. Udaje się więc do dzielnicy Gulabi Building. Polecił mu to miejsce znajomy z rodzinnego Biharu. Twierdził, że ponoć tam łatwiej o zajęcie. Suresh, tak jak setki tysięcy podobnych jemu, przybywa do drugiego największego miasta świata bez żadnych znajomości. Nie wie nic. Prócz brata nie ma tu nikogo. Prócz swoich rąk i gotowości do podjęcia pracy od zaraz.

Niewolnik za 20 tys. rupii

Mężczyzna przedstawił się jako Vijaya. W sumie to Suresh nie wie nawet, jak ten człowiek go znalazł. I czy czasem nie obserwował go jeszcze na autobusowym terminalu, jak wysiadał. Postanawia jednak porzucić podejrzliwość, gdyż Vijaya wydaje się budzić zaufanie. Tym bardziej że Vijaya oferuje mu pracę. Twierdzi, że chce pomóc. Suresh się zgadza. Podejmując jednocześnie, jak się wkrótce okaże, najgorszą decyzję swojego życia.

– Zaprowadził mnie do domu jakiejś kobiety – przywołuje tragiczne wspomnienia Suresh. – Tam wszystko się zmieniło. Pojawili się jacyś ludzie. Zaczęto mnie torturować żelaznym prętem. Odcięto mi palce. Następnie siłą wstrzyknęli mi środki odurzające. By finalnie oślepić. Wszystko po to, abym lepiej i skuteczniej żebrał na ulicach Delhi.

Okaleczony, oślepiony i otumaniony środkami Suresh zostaje następnie sprzedany żebraczej mafii. Zapłacą za niego 20 tys. rupii (równowartość około 800 zł). Uwięziony w żebraczej mafii działającej na ulicach stolicy ma od tej pory prosić o jałmużnę, obchodząc wszystkie większe skrzyżowania miasta. Jego oprawcy będą zaś systematycznie kontrolować jego pracę i odbierać mu wszystkie użebrane datki. Każdego dnia.

Suresh będzie miał jednak szczęście. Uda mu się uciec. I przy pomocy dobrych ludzi trafić do domu brata. Gdzie wezwą policję. Będzie bezpieczny.

Litość

Takiego szczęścia nie mają jednak tysiące podobnych Sureshowi. Im zwykle nie udaje się uciec. Mafijna machina pracuje zbyt szczelnie, aby takich sytuacji mogło być więcej. Wszak gra toczy się o naprawdę dużą stawkę. Ostrożne szacunki mówią, że hinduski przemysł żebraczy generuje dziś ponad 1,5 bilionów rupii rocznie. Dorównując w ten sposób niektórym z największych sektorów gospodarki tego państwa. Spis powszechny z 2011 roku wykazał, że 21 proc. z 400 tys. żebraków w Indiach ukończyło XII klasę szkoły podstawowej, a ponad 3 tys. z nich posiada dyplomy lub stopnie naukowe. Dane zadają kłam krzywdzącemu stereotypowi przedstawiającemu żebrzących ludzi jako niezdolnych czy niewykształconych. W przypadku Indii to coraz częściej problem narastających różnic społecznych. Ubóstwa i wynikającego z niego bezrobocia i wyzysku.

Pomysłowość i taktyka zarządzających żebraczą mafią jest taka sama od lat. Od pomysłów wynajmowania dzieci od biednych rodziców za 300 rupii dziennie (przypadek typowy choćby dla południowego stanu Andhra Pradesh), przez opłacanie kobiet przebierających się w świątyniach i meczetach w Ćennaju w żebracze łachmany, po okaleczanie porwanych dzieci i osadzanie ich na ulicach Delhi.

Mafiosi mają świadomość sprawczości, jaką u ludzi wywołuje spotęgowane współczucie. Wykorzystują ten przejaw dobra z przerażającym wyrachowaniem. I szatańską pomysłowością zarazem. Głodzą dzieci. Pozostawiają na zalanej deszczem ulicy. Wszystko w jednym celu. By wzbudzały jeszcze większą litość u przechodnia. I rzeczywiście wzbudzają. Swego czasu głośnym echem w hinduskich mediach odbiła się historia pewnej dwuletniej dziewczynki o imieniu Pooja. Dziecko zmuszano do żebrania w siarczystym deszczu. Finalnie Pooja zmarła z powodu hipotermii. W dniu śmierci „opiekujący się" nią

eprasa.pl a3976d4b30



Część z bezrobotnych najmuje się przy segregacji śmieci i odpadów.



Niby wszystko podobnie, a jednak inaczej. Życie bez jednocześnie domem. A sąsiedzi rodziną...

mafioso zarobił od współczującego kierowcy 100 rupii (około 4 zł).

Przywódcy gangów dzielą miasta na strefy. Strategicznie rozmieszczając „swoich" żebraków w miejscach o dużym natężeniu ruchu. Zwykle są to świątynie, meczety, dworce kolejowe, skrzyżowania dużych arterii z sygnalizacją świetlną. Tam, gdzie będą iść ludzie. Najlepiej obcokrajowcy. I tam, gdzie wraz z nimi pojawi się litość. I współczucie. Wtedy pieniądze będą wpadać najszybciej. I zwykle wpadają.

Działka na przeżycie

Według badań z 2021 roku średni utarg dzienny żebraka na ulicy Delhi wynosił między 100 a 200 rupii (czyli między 4 a 8 zł). W Raporcie Instytutu Rozwoju Człowieka oraz Departamentu Pomocy Społecznej Delhi widnieje, że na taką kwotę może liczyć statystycznie 33 proc. badanych; 32 proc. wyżebrze już poniżej tej kwoty. Dla porównania: minimalne wynagrodzenie dla robotników niewykwalifikowanych pracujących w Delhi wynosi dziś 15 908 rupii.

Pomimo tak miernych kwot, żebracza mafia czerpie ogromne zyski ze swej działalności. W tej sytuacji liczy się bowiem przelicznik ludzi, którzy każdego dnia wychodzą na ulicę, prosząc o jałmużnę. A tych z roku na rok jest w Delhi więcej.

Takich jako choćby 14-letni Javed. Chłopiec żebrze zwykle w pobliżu świątyni Hanumana w Delhi. Jest już mocno uzależniony od narkotyków. Oczywiście nieprzypadkowo. Nad wciągnięciem małoletniego w nałóg pracowali swego czasu jego mafijni „opiekunowie". W ten sposób dzienny zarobek Javeda (10–20 rupii) bardzo często jest przeznaczany na zakup kolejnej działki narkotyków. Javed staje się dłużnikiem mafii. I zarazem głęboko uzależnionym nastoletnim narkomanem.

Poranny prysznic uliczny

Codzienność mafijnych gangów żebraczych przeplata się z obrazkiem najzwyklejszej szarzyzny dnia przeciętnego mieszkańca Delhi. I choć często zamieszkującego ulicę, to niekoniecznie od razu porywanego przez żebraczą mafię, aby zasilić 400-tysięczną armię włóczących się po ulicach z papierowym kubeczkiem w dłoni. Wielu z nich to po prostu hinduscy bezdomni. Bo tych w mieście – można odnieść takie wrażenie – jest chyba najwięcej.

Nadeszła jego kolej. Dziś i tak nie czekał zbyt długo. W kolejce do kranu ubiegło go raptem trzech innych. Musieli tu być jeszcze przed świtem. To dość nietypowe. Kolejki do ulicznych kranów pojawiają się zazwyczaj dopiero po wschodzie słońca.

Za dwie godziny będzie nieznośnie. Fala upału zmyje ludzi z otwartych, rozgrzanych przestrzeni, spychając ich pod ściany obdrapanych zębem czasu, walących się chałup. Tam przynajmniej znajdą cień. A do

eprasa.pl a3976d4b30



asfaltu i bez chodników. Gdzie sklep staje się



Bezdomny ze sztuczną ręką chciał jeszcze chwilę pospać. Huk porannego miasta mu na to jednak nie pozwolił.

tekturowych domów czy zrujnowanych lepianek i tak nie ma co wracać. W nich jest przecież jeszcze goręcej.

Woda leci cienką strużką. Mężczyzna rozbiera się do majtek. To dla niego jedyna kąpiel dnia. Jedyna, ale jakże ważna. To absurdalne, że w miejscu, gdzie bałagan i brud stanowią kwintesencję obrazu codziennego ulicy, obrządek kąpieli urasta do rangi niemal oczyszczenia duchowego. Najlepiej, gdy kąpieli towarzyszy jeszcze dodatkowa medytacja i modlitwa. I coś jeszcze.

„Gghhhrrrhhh!!!". Głośny, obrzydliwy odgłos charczenia słuchać z pewnością trzy ulice dalej. Charczenie i spluwanie jest dla Hindusów tym, czym gwizdanie dla Latynosów. Tym, czym pełne gestykulacji wymowne składanie dłoni u Włochów. Czym „ole" na hiszpańskiej corridzie. Plują wszyscy: mężczyźni i kobiety. Młodzi i starcy. Bez względu na wyznanie. Bez względu na wykształcenie, pochodzenie i poglądy. To drugi oddech Delhi.

Ostrzeżenie

Jeszcze nie ma szóstej. Pora wczesna, choć miasto już szykuje się do kolejnego dnia. Dla większości mieszkańców – kolejnego dnia walki o przetrwanie. Bo życie w Delhi nie zaprasza do kontemplowania codzienności. I nie chodzi tu już tylko o biednych niewolników żebraczych mafii. Także o pozostałych ludzi ubogich. Dla nich zaczynający się właśnie dzień to początek kolejnej rundy w wykrwawiającej batalii o jutro.

Uliczka Beriwari Gali. Obdrapane budynki. Pełne śmieci zaułki. Leżący na ziemi starcy. Zewsząd dochodzi niezidentyfikowany swąd.

– Ej, ty! Co ty robisz?! Co ty robisz?! – słyszę zza placów. Ktoś woła mnie po angielsku.

– Co się stało? – pytam, oglądając się i widząc upominającego mnie z niefrasobliwą miną fryzjera, który aż opuścił swój gabinet, aby dogonić mnie na ulicy.

– Gdzie ty się pchasz? Życie ci niemiłe?! – kontynuuje.

– Nie rozumiem.

– Facet, tam się nie wchodzi, rozumiesz? Zawracaj stąd czym prędzej. Jeszcze z tym aparatem na wierzchu. Palnij ty się w łeb – słyszę na koniec, a brodaty fryzjer odwraca się na pięcie i wraca do klienta.

Spokojny niepokój

Nie wiem, co robić. Z jednej strony czuję się ciut nieswojo. Z gigantycznym plecakiem na ramionach nie zdążyłem jeszcze znaleźć miejsca na nocleg na najbliższą dobę. Przyjechałem tutaj prosto z lotniska. Nieprzygotowany, trochę zdziwiony. Jednocześnie zafascynowany widokiem. Okazuje się bowiem, że widok przeraźliwej biedy i rozgardiaszu nie wprowadza w człowieku nastroju lęku, jaki odczuwałem choćby w latynoskich favelach. Ostrzeżenie fryzjera nieco chłodzi mój zapał. Póki co nie spotykam się jednak z wrogo obserwującymi mnie parami oczu. Nikt za

eprasa.pl a3976d4b30





Publiczny szalet. Raczej wyłącznie dla mężczyzn...

mną nie idzie. Widzę raczej uśmiechy, czasem nawet radosne pozowanie do fotografii. Z dachu mijanego budynku woła na mnie Hinduska z charakterystyczną czerwoną kropką na czole:

– Hej ty, turysta! Zapraszam do mnie!

– Nie, nie... Dzięki... – odpowiadam, uśmiechając się.

– Chodź, chodź. Nie chodzi mi o wcale o seks. Chodź!

Z przeciwnej strony słyszę równocześnie chichoczący komentarz do całej tej scenki. To czterech nastolatków przerwało poranne gierki w kapsle, by poobserwować, co to ciekawego dzieje się pod ich oknem. Idę dalej. Każda kolejna godzina w Delhi jest głośniejsza od poprzedniej.

Około ósmej miasto żyje już pełnią swej – specyficznie rozumianej – energii. Rozbuchanej, nieokiełznanej, nieskoordynowanej. Trudno nawet nazwać Delhi wyświechtanym mianem „miasta kontrastu". Miejsc zadbanych i bogatych jest tutaj tak niewiele, że trudno pisać o jakiejkolwiek równowadze i wynikającym z tego kontraście.

▶ Delhi

Na chodniku wije się jakiś mężczyzna. Chyba przebudził się z przykrótkiego snu. Dzisiejszą noc spędził najprawdopodobniej na ulicy. Jak większość ostatnich, zresztą. Z tą różnicą, że wczoraj udało mu się znaleźć lepszą miejscówkę, bo w okolicy dworcowego parku. Dziś wylądował niedaleko ronda. Dźwięk klaksonów, pokrzykiwanie przekupni, ryk silników nie pozwalały na dłuższy sen. W tych warunkach trudno o odpoczynek. Mężczyzna jednak się nie poddaje. Kilka przeturlań i ląduje pod nieodległym murkiem, w cieniu. Spoczywając twarzą do jezdni. Nienaturalnie wygięty. Sztuczna ręka zostaje gdzieś z tyłu sylwetki. Nikt z przechodniów nie zatrzymuje się przy biedaku. Ludzi są zajęci. Wszak jest robota do wykonania.

Tak, to trzeba oddać mieszkańcom Delhi. Od biedy aż piszczy, ale wszyscy jednak coś robią. Tuktukarze szukają kolejnych klientów do przewiezienia. Rykszarze w pocie czoła podjeżdżają na most ponad linią kolejową z przyciężkawymi pasażerami z tyłu. Jakiś pan przewozi na rowerze szklane ramy: szerokie na pół pasa jezdni. Mijają mnie robotnicy z dziwną konstrukcją drewnianego wozu. Dokądś go taszczą. Na mój widok zaczynają żartować i poszturchiwać się. Wreszcie pozdrawiają, machając rękami.

W Delhi życie toczy się na ulicy. Większość zajęć tych ludzi, pochodzących z najuboższych warstw społecznych, odbywa się właśnie tutaj. Przed oczami reszty. Dekarz wyrównuje deskę, unikając potrąceń mijających go przechodniów. Obok spawający robotnik. Uliczny handlarz zaczepia każdego, proponując owoce

eprasa.pl a3976d4b30





Chaos, bezład, brak nadziei. Dla mafii żebraczych takie miejsca stają się często najlepszym kierunkiem na „łowy".

po promocyjnej cenie. Musi uważać, by jego mobilny kramik nie wykoleił się o morze śmieci, jakie przed nim.

To kolejna wizytówka stolicy Indii. Śmieci są niemal wszędzie. Kilogramy walających się butelek, plastikowych kubeczków, puszek, opakowań, skórek po owocach. Kałuże obrzydliwie cuchnących mazi. I do tego fekalia. Ludzkie i zwierzęce. Ludzkie, bo po drugiej stronie mamy publiczny szalet. Niezakrytą niczym latrynę z podłużnym korytem do oddawania moczu. Panowie stają tyłem do ulicy, załatwiają potrzebę niejako na oczach wszystkich, a następnie wszystko zlatuje do pobliskiego rynsztoka płynącego wzdłuż ulicy.

Przez ulicę co rusz powolnym krokiem przechodzi krowa. Święte zwierzę, któremu nic nie można zrobić. Nawet obtrąbić. Wychudzone zwierzaki szukają jedzenia. Rozgrzebują śmieci, węszą pośród kopczyków pełnych pozostałości ludzkiej cywilizacji. I to też nikomu nie przeszkadza.

Najlepsze rekolekcje

Jedna pani wystawia przez drzwi swojego domu kilkuletnie dziecko, pomagając mu, aby spokojnie załatwiło swoje potrzeby fizjologiczne wprost na chodnik. Goła pupka ponad stertami śmieci i leżących gdzieniegdzie bezdomnych. To przecież i tak nikomu nie zrobi różnicy. Kilka domostw dalej inna kobieta myje włosy przed wejściem do domu. Na oczach przechodniów. Bo tutaj tak można. A czasem wręcz trzeba.

W Delhi wszystko robi się na ulicy. Je się, śpi, myje, kocha, nienawidzi, rozmawia, pracuje. Dopiero teraz, przebywając nieco dłużej w tym chaotycznym półświatku zamętu i beznadziei, można spróbować zrozumieć to choćby ociupinkę lepiej. Zobaczyć, jak wygląda tragiczne w dziejach cywilizacji człowieka koło zamachowe uniemożliwiające wyrwanie się z zaklętego wiru przestrzeni wychowania. To dziecko trzymane w tej chwili na rękach matki i robiące pod siebie na ulicy, tutaj się urodziło. I tutaj najprawdopodobniej umrze. Nie poznawszy nigdy, że można inaczej.

Podobnie jak wszyscy ci żebracy, którzy co rusz podchodzą po jałmużnę. Każdy budzący litość. Każdy wymagający wsparcia, opieki, pocieszenia. Budząca się w przypływie gniewu świadomość dziejowej niesprawiedliwości za kilka godzin zapewne uleci. Bo musi ulecieć. Bo nie da się żyć z wiecznym poczuciem winy. Połączonej z bezsilną świadomością niemożności.

I tak oto zapewne za kilka lat liczba 400 tys. hinduskich żebrzących ponownie wzrośnie. Bo skoro komuś to się opłaca... Bo skoro świat tak funkcjonuje... I byle tylko sumienie nadal nam zadziałało, kiedy będzie potrzeba. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–USA–akta Epsteina

Kilka e-maili, które ujrzały światło dzienne przed podpisaniem przez prezydenta Donalda Trumpa ustawy o ujawnieniu pełnej dokumentacji dotyczącej Jeffreya Epsteina, dotyczy korespondencji z amerykańskim ekonomistą Lawrencem Summersem. Dokumenty te ukazują stopień powiązania zachodnich elit z „czerwoną arystokracją" w Chinach. Z e-maili wynika, że Summers, były sekretarz skarbu w administracji Clintona, rektor Harvardu w latach 2001–2006 oraz dyrektor Narodowej Rady Ekonomicznej za czasów Obamy, w 2018 roku nawiązał relację seksualną z Keyu Jin, chińską ekonomistką i ówczesną wykładowczynią London School of Economics. Summers miał wówczas 64 lata i był żonaty, natomiast Jin miała 36 lat. Keyu Jin jest córką Jin Liquna, byłego wiceministra finansów w Chinach, a obecnie szefa Azjatyckiego Banku Inwestycji Infrastrukturalnych, międzynarodowej instytucji finansowej utworzonej z inicjatywy Chin, mającej na celu promowanie interesów Pekinu jako narzędzia geopolitycznego. E-mailowa „dyskusja" między Summersem a Epsteinem rozpoczęła się, gdy Summers poprosił Epsteina o pomoc w nawiązaniu relacji z Jin, którą wówczas określił jako „uczennicę". Desmond Shum, biznesmen i autor książki „Czerwona ruletka. Wielkie pieniądze, władza i zemsta we współczesnych Chinach", zwraca uwagę, że w czasie relacji z Jin Summers konsekwentnie prezentował w zachodnich mediach prochińską narrację. Mówił m.in., że „teatralne działania Waszyngtonu dotyczące ceł były strategicznie niespójne" oraz że „wzrost Chin był strukturalnie trwały". Krytykował strategię handlową Trumpa, twierdząc, że nazywanie Chin manipulatorem walutowym szkodzi wiarygodności USA.

W latach 2018–2019 – szczytowym okresie napięć między USA a Chinami (wojna handlowa, sankcje na Huawei, debata o pochodzeniu COVID-19) – zaangażowana postawa Summersa była zgodna z interesami rodziny Jin. E-maile Jin do Summersa, dołączone do korespondencji z Epsteinem, zawierają podziękowania dla Summersa za wsparcie działalności jej ojca w AIIB, co sugeruje konflikt interesów.

Tajwan

12 listopada tajwański poseł Puma Shen, uznawany przez Chiny za osobę „poszukiwaną" z powodu rzekomego promowania niepodległości Tajwanu, wystąpił przed berlińską komisją parlamentarną, gdzie przedstawił sposób, w jaki Chiny prowadzą wojnę dezinformacyjną. Shen podkreślił, że Tajwan jest poligonem doświadczalnym chińskich operacji informacyjnych i jest narażony na różnorodne formy ataków. Aby zrozumieć model chińskich działań, Shen zaproponował ich kategoryzację na trzy grupy: bezpośrednie operacje manipulacji informacjami, inicjowane przez chińskich aktorów; pośrednie inwestycje w lokalnych mieszkańców Tajwanu; oraz podejście oparte na ideologii, które wykorzystuje ludzi jako broń na rynku dezinformacji. Tajwański parlamentarzysta określił tę koncepcję mianem 3I.

Bezpośrednie działania manipulacji informacjami są prowadzone przez różne podmioty. Na najwyższym szczeblu, zazwyczaj za pośrednictwem Departamentu Propagandy Komunistycznej Partii Chin (KPCh) oraz Departamentu Pracy Zjednoczonego Frontu (UFWD), organu Komitetu Centralnego KPCh, który zajmuje się koordynacją działań propagandowych, dyplomatycznych oraz wpływów politycznych zarówno w kraju, jak i za granicą. Zmanipulowane przez te instytu-

eprasa.pl a3976d4b30

cje informacje można śledzić w mediach państwowych lub na kontach urzędników w mediach społecznościowych, takich jak portal X. Na niższym poziomie bezpośrednie działania dezinformacyjne prowadzone są przez tzw. małych różowych – trolli, którzy rozpowszechniają fake newsy, zazwyczaj o niewielkiej szkodliwości społecznej. Tym, co naprawdę szkodzi społeczeństwu tajwańskiemu, jest działalność dezinformacyjna farm treści kontrolowanych przez Chiny. Artykuły oraz całe strony internetowe zakładane przez te farmy składają się z teorii spiskowych, stronniczych doniesień i jednostronnych informacji o kontrowersyjnych tytułach. Często oferują one rozrywkę, wróżby lub zdjęcia uroczych zwierząt, co przyciąga obywateli Tajwanu. Jednak między wierszami rozpowszechniają stronnicze narracje, potępiające wszystkie inne kraje poza Chinami.

Druga kategoria, czyli pośrednie inwestycje, również odgrywa istotną rolę w obszarze dezinformacji. W tym przypadku Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego lub UFWD mogą przekazywać darowizny lub sponsorować określone grupy już *stricte* tajwańskie, które mają zdolność do tworzenia i rozpowszechniania dezinformacyjnych treści. Na przykład jedna z lokalnych gazet, dystrybuowana bezpłatnie na Tajwanie, okazała się mieć powiązania z UFWD. Tego rodzaju inwestycje są ukryte i pośrednie, a bez odpowiednich badań trudno dostrzec obcy wpływ.

W przypadku podejścia opartego na ideologii Chiny nie muszą dokonywać specjalnych inwestycji, ponieważ grupa docelowa jest już prochińska. W ten sposób tworzą „rynek ideologii", który przyciąga osoby krytycznie nastawione do rządu Tajwanu. Na przykład w danej grupie czatowej mogą działać pracownicy UFWD, którzy regularnie udostępniają filmy lub zdjęcia o antyrządowym przesłaniu. Prochińscy wolontariusze, dołączając do grupy i zgadzając się z tym przesłaniem, w naturalny sposób rozpowszechniają dezinformację.

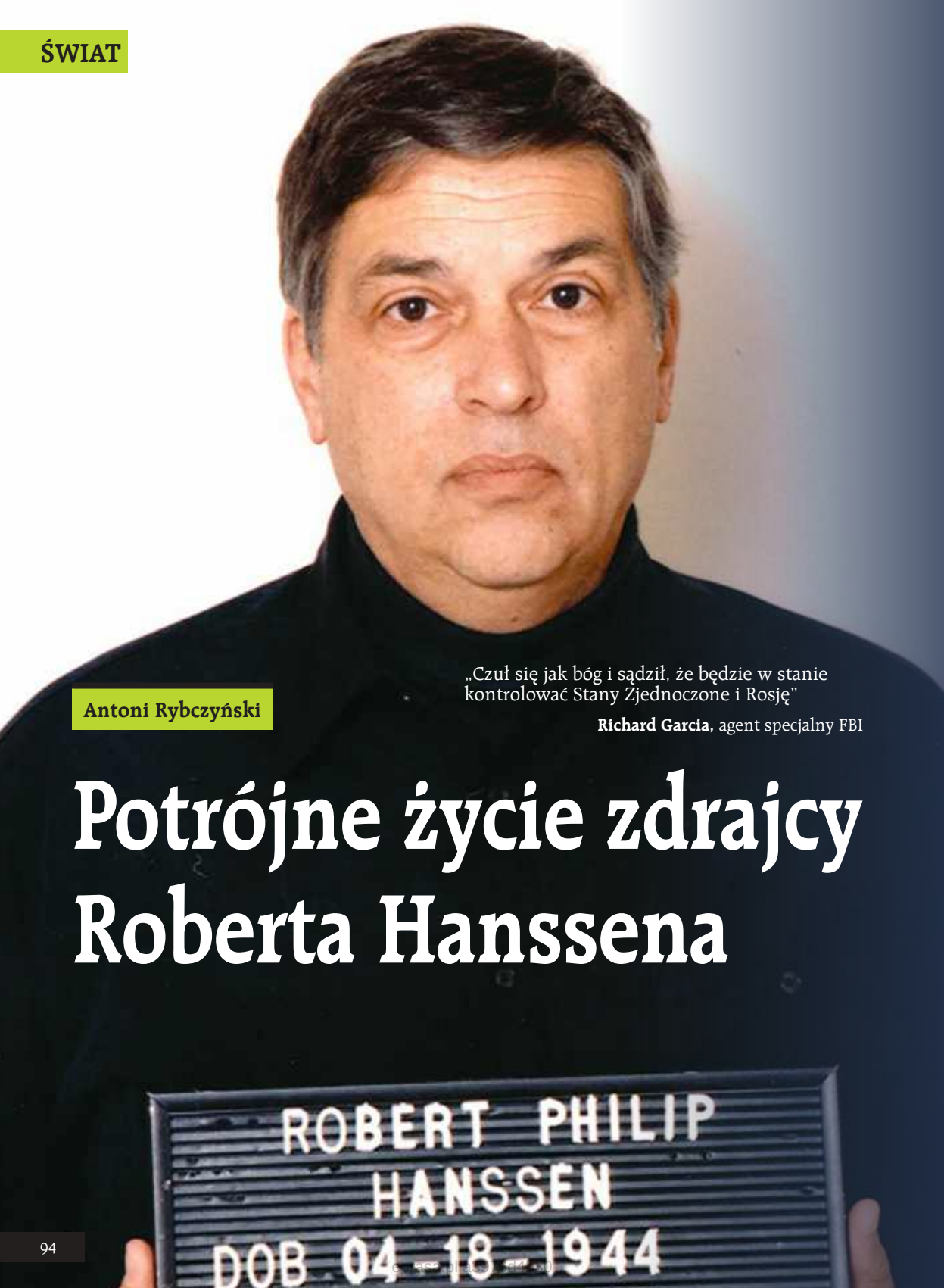
Jeden z przykładów działania chińskiego aparatu dezinformacyjnego, przedstawiony przez Pumę Shena podczas jego wystąpienia przed komisją Bundestagu, wzbudził szczególne zainteresowanie. Shen opisał, jak Pekin zaoferował jednemu z tajwańskich influencerów 1500 dolarów miesięcznie za krytykowanie Chin, a następnie za stopniowe łagodzenie tej krytyki, aby po roku zacząć głosić, że ChRL wcale nie jest taka zła. Shen określił tę metodę jako niezwykle szkodliwą, ale jednocześnie bardzo skuteczną formę dezinformacji.

▶ Korea Południowa

W listopadzie 2025 roku prezydent USA Donald Trump potwierdził zgodę na budowę okrętów podwodnych z napędem jądrowym dla Korei Płd., obejmującą również współpracę w zakresie dostaw paliwa jądrowego (uran wzbogacony). Wstępne porozumienie w tej sprawie ogłoszono podczas szczytu APEC w Korei Płd., który odbył się w październiku, podczas spotkania Trumpa z prezydentem Republiki Korei Lee Jae-myungiem. Budowa okrętów ma mieć miejsce w amerykańskich stoczniach, w tym w Filadelfii, która została nabyta przez koreańską firmę Hanwha w 2024 roku. Plan zakłada budowę czterech–pięciu jednostek o wyporności 5000 ton do połowy lat 30. Umowa jest wynikiem 30-letnich starań Seulu, które wcześniej były blokowane z powodów związanych z proliferacją broni jądrowej. Ma to daleko idące implikacje strategiczne, geopolityczne i gospodarcze. Korea Południowa dołącza do elitarnego grona państw dysponujących okrętami podwodnymi z napędem jądrowym (USA, Chiny, Rosja, Wielka Brytania, Francja, Indie, Australia), choć jej jednostki będą konwencjonalnie uzbrojone (bez głowic nuklearnych). Ma to daleko idące implikacje strategiczne, geopolityczne i gospodarcze.

Umowa zmienia dynamikę w regionie Indo-Pacyfiku, wzmacniając jego stabilność w obliczu zagrożeń ze strony Pjongjangu i Pekinu. Korea Północna od lat intensywnie rozwija program okrętów podwodnych, koncentrując się na zdolnościach do wystrzeliwania pocisków balistycznych oraz manewrujących, w tym z głowicami nuklearnymi. W 2025 roku program ten zyskał na intensywności, szczególnie w kontekście współpracy z Rosją. Z perspektywy zagrożenia ze strony Chin dłuższe patrole podwodne (trwające miesiące zamiast dni) umożliwiają skuteczniejsze śledzenie chińskich okrętów oraz ochronę szlaków żeglugowych. Szef Operacji Morskich USA, admirał Daryl Caudle, podkreślił, że okręty podwodne o napędzie atomowym w służbie Korei Płd. stanowią „naturalne oczekiwanie" w ramach planu odstraszania Chin, które są głównym długoterminowym wyzwaniem dla Waszyngtonu. Porozumienie ma istotne znaczenie również z perspektywy interesów gospodarczych obu krajów. Wpisuje się w politykę „America First" Donalda Trumpa, ożywiając zaniedbany amerykański sektor stoczniowy – Stany Zjednoczone budują jedynie 1 proc. globalnych statków, podczas gdy Korea Płd. aż 50 proc. Umowa dotycząca okrętów jest częścią większego dealu, który zakłada inwestycje Seulu w USA w wysokości 350 mld USD, w tym 150 mld USD w przemysł stoczniowy i 200 mld USD w inne sektory (AI, nuklearny). To przedsięwzięcie stworzy tysiące nowych miejsc pracy i stanowi przeciwwagę dla chińskiej dominacji w łańcuchach dostaw. Dla Seulu to „dyplomatyczny sukces" prezydenta Lee Jae-myunga, przekształcający zagrożenie taryfowe w szansę na technologie nuklearne, większą integrację gospodarczą z USA i redukcję zależności od Chin. ■

eprasa.pl a3976d4b30



„Czuł się jak bóg i sądził, że będzie w stanie kontrolować Stany Zjednoczone i Rosję"

Richard Garcia, agent specjalny FBI

Antoni Rybczyński

Potrójne życie zdrajcy Roberta Hanssena

Robert Hanssen był jednym z najbardziej szkodliwych kretów w historii nie tylko FBI, lecz także całej amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej. Skończył jak wielu agentów, których wydał Moskwie. Wpadł, bo pewien Rosjanin sprzedał materiały, które naprowadziły kontrwywiad na jego trop. „Nigdy nie wiesz, kto wie o tobie" – mówi stara wywiadowcza zasada.

12 stycznia 1976 roku Robert Philip Hanssen przysięga, że będzie egzekwował prawo i chronił naród, że będzie „wspierał i bronił Konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wszystkimi wrogami, zagranicznymi i wewnętrznymi", oraz że „będzie jej wierny i lojalny". Niemal dokładnie 25 lat później ten agent Federalnego Biura Śledczego zostaje aresztowany i oskarżony o szpiegostwo na rzecz Rosji i byłego Związku Sowieckiego. 6 lipca 2001 roku Hanssen przyznaje się do 15 zarzutów zdrady i spiskowania przeciwko USA – unikając w ten sposób egzekucji. Co spotkało kilku wydanych przez niego agentów – wynika z opisującego jego działania, 100-stronicowego oświadczenia FBI. 10 maja 2002 roku Hanssen zostaje skazany na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego. 5 lipca 2023 roku, niemal co do dnia, 22 lata po przyznaniu się do winy, jeden z największych zdrajców w historii USA i jeden z najbardziej wartościowych szpiegów Moskwy zostaje znaleziony martwy w celi w więzieniu ADX Florence w Kolorado.

Ponieważ zajmował kluczowe stanowiska w kontrwywiadzie, miał autoryzowany dostęp do informacji niejawnych. Pracował kolejno dla GRU, KGB, a wreszcie SWR, następcy Pierwszego Zarządu Głównego (wywiadu) KGB. Informacje, które dostarczał Rosjanom, narażały na szwank liczne źródła ludzkie, techniki kontrwywiadowcze, dochodzenia, dziesiątki tajnych dokumentów rządu USA oraz operacje techniczne o niezwykłym znaczeniu i wartości. Oto historia jednego z największych zdrajców w historii Stanów Zjednoczonych.

Krótki romans z GRU

Robert Philip Hanssen urodził się 18 kwietnia 1944 roku w Chicago, jego ojcem był Howard Hanssen, policjant, który zajmował się działalnością operacyjną. Jako jedynak, który był postrzegany jako kujon i nigdy nie pasował do otoczenia, Robert miał trudne relacje z ojcem. Zrobił licencjat z chemii w 1966 roku w Knox College w Illinois, gdzie uczył się też rosyjskiego. Od dzieciństwa marzył o pracy w służbach specjalnych. Starał się o pracę w kryptografii w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale podanie odrzucono. Zapisał się wtedy do szkoły stomatologicznej na Northwestern University, ale później przeniósł się do szkoły biznesu i zdobył MBA. Gdy uczył się leczyć zęby, poznał Bonnie Wauck. W 1968 roku wzięli ślub – wcześniej Hanssen porzucił protestantyzm i przeszedł na jej wiarę – była zagorzałą katoliczką. Po roku pracy w firmie księgowej poszedł w ślady ojca, podejmując pracę w policji w Chicago.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl a976d4b30

Specjalizował się w rachunkowości sądowej. I był w tym na tyle dobre, że gdy cztery lata później – w 1976 roku – złożył papiery do FBI, został przyjęty. Po krótkim okresie pracy w biurze terenowym w Gary (Indiana), Hanssen awansował do ekstraklasy, czyli trafił do NYFO, nowojorskiego biura, miejsca pracy jednej dziesiątej wszystkich agentów FBI. Co najważniejsze – także tych zajmujących się kontrwywiadem na kierunku sowieckim.

Jedną z pierwszych akcji Hanssena w kontrwywiadzie było wejście do nowojorskich biur Amtorgu, powołanej jeszcze przez Lenina sowieckiej organizacji handlowej, która była przykrywką dla działań GRU. I to właśnie sowieckiemu wywiadowi wojskowemu – trzy lata po zaprzysiężeniu na agenta – Hanssen zaoferował sprzedaż tajemnic FBI, w tym ściśle tajnych informacji o tym, co amerykańskie służby wiedziały o sowieckich wywiadowczych działaniach w kilku krajach. Hanssen ujawnił Sowietom m.in. dane oficerów GRU pracujących dla Amerykanów, w tym generała Dmitrija Polakowa. To był najwyższy rangą oficer sowieckiego wywiadu wojskowego współpracujący z USA w czasie zimnej wojny. Pogrążył go jednak nie donos Hanssena (GRU nie uwierzyło), lecz innego zdrajcy, równolegle działającego w CIA Aldricha Amesa. W 1988 roku, po długim śledztwie, Polakow został stracony. Współpraca Hanssena z GRU trwała zaledwie rok. W 1980 roku żona przyłapała go w piwnicy, gdy ukrywał jakieś papiery. Bonnie zaczęła podejrzewać, że mąż koresponduje z byłą dziewczyną. Zapytała go o to wprost. I zdębiała, gdy mąż wyjaśnił, że „tylko szpieguje dla Moskwy". Zszokowana kobieta nalegała, by przestał to robić, wyznał swoje grzechy Kościołowi i przekazał uzyskane od Sowietów pieniądze na katolicką organizację charytatywną. Bob solennie obiecał, że to wszystko uczyni. Niedługo później, w 1981 roku, Hanssen został przydzielony do kwatery głównej FBI w Waszyngtonie, co dało mu jeszcze większy dostęp do tajemnic.

„Martwe zrzuty" pod Waszyngtonem

Wkrótce Hanssen stał się jednym z najlepszych ekspertów od sowieckiego wywiadu i jego globalnej działalności. W październiku 1985 roku wysłał anonimowy list do rezydentury KGB z propozycją sprzedaży tajemnic kontrwywiadowczych za 100 tys. dolarów. Jako próbkę swych możliwości wymienił w liście trzech oficerów KGB, którzy szpiegowali dla amerykańskiego wywiadu. Te trzy nazwiska podane na tacy przekonały Sowietów. Tym razem Hanssen był dużo ostrożniejszy. Sowieci nie wiedzieli, z kim mieli do czynienia. Zacierał ślady, używał szyfrowanej komunikacji. W Moskwie znali go tylko jako „B", a później „Ramon Garcia". W 1991 roku upadł Związek Sowiecki. KGB zostało rozwiązane. Sowiecki wywiad, czyli Pierwszy Zarząd Główny, pozostał jednak nietknięty. Zmienił nazwę na Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR) i działał dalej. Hanssen z wznowieniem dostarczania tajemnic Moskwie czekał jednak aż do 1999 roku. Wciąż odmawiał bezpośrednich spotkań, pozostając w kontakcie ze swoimi oficerami prowadzącymi za pośrednictwem „martwych skrzynek" (nazywane też w terminologii służb „martwym zrzutem", ang. dead drop) – w umówionych miejscach zostawiał materiały oraz odbierał pieniądze. Wybierał zwyczajne miejsca w podmiejskich okolicach Waszyngtonu. Rosjanie w końcu doszli do wniosku, że musi być w FBI, ale to wszystko. Hanssen pozostawał nieuchwytny dla obu stron.

Do dziś FBI opisuje go jako „najbardziej szkodliwego szpiega w historii biura". Przekazał Moskwie ponad 6 tys. dokumentów, z których wiele było ściśle tajnych. Szkody, jakie wyrządził amerykańskiemu wywiadowi, były ogromne, ponieważ miał dostęp do szerokiej gamy danych z wielu agencji, a nie tylko raportów kontrwywiadowczych. Ujawnił m.in., że Amerykanie wykopali pod budynkiem ambasady sowieckiej w Waszyngtonie tunel, w którym zainstalowali aparaturę podsłuchową. Ujawnił dane trzech oficerów KGB pracujących dla Amerykanów, dwóch z nich zostało później straconych. Niektóre ze ściśle tajnych dokumentów, które Hanssen przekazał, zawierały ocenę amerykańskiego wywiadu dotyczącą sowieckich prób gromadzenia danych wywiadowczych na temat amerykańskich programów nuklearnych.

Po aresztowaniu Aldricha Amesa, FBI i CIA zdały sobie sprawę, że ktoś jeszcze dostarczał Rosji tajne informacje. Rozpoczęło się polowanie na nieznanego podwójnego agenta – operacja „Greysuit". Obie agencje początkowo skupiły się – jak się okazało, błędnie – na pewnym weteranie CIA, który był sprawdzany przez prawie dwa lata. Tymczasem FBI było poza podejrzeniem. Dlaczego? Otóż gdy odszyfrowano tajne sowieckie depesze wywiadowcze z lat 40. XX wieku (Venona), okazało się, że podczas II wojny światowej Moskwa spenetrowała niemal wszystkie agencje wywiadowcze i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych – tylko w Biurze Służb Strategicznych, poprzedniku CIA, był co najmniej tuzin sowieckich szpiegów – z wyjątkiem FBI i Biura Wywiadu Marynarki Wojennej. Jak pisze były pracownik NSA John Schindler, „zostało to potraktowane przez J. Edgara Hoovera i jego następców jako dowód na to, że Biuro, zdyscyplinowana i elitarna kadra, z natury była odporna na penetrację i poza po-

eprasa.pl a3976d4b30

dejrzeniami. W kontrwywiadzie, podobnie jak we wszystkim innym, pycha kroczy przed upadkiem i było tylko kwestią czasu, zanim KGB dostanie się również do FBI". I faktycznie, w następnych dekadach także w szeregach Biura znaleźli się zdrajcy, tacy jak Richard Miller (aresztowany w 1984 roku) czy Earl Edwin Pitts (aresztowany w 1996 roku). Mimo to skupiano się w poszukiwaniach kreta na CIA, a nie FBI.

Pułapka na wilki

Punkt zwrotny nastąpił w 2000 roku. Amerykanie zwerbowali byłego oficera wywiadu KGB Aleksandra Szczerbakowa, który w zamian za 7 mln dolarów i nowe życie w USA wyniósł z siedziby rosyjskiego wywiadu i przekazał im kompletną dokumentację współpracy w latach 1985–1991 z agentem ps. Ramon Garcia. To, do czego nie mogli dojść Rosjanie, Amerykanom udało się dość szybko. W materiałach było nagranie rozmowy telefonicznej. Dwóch analityków FBI, którzy znali Hanssena, rozpoznało jego głos. Do tego były w materiałach worki na śmieci, w których Hanssen zostawiał Rosjanom materiały. A na nich jego odciski palców. W listopadzie 2000 roku FBI nie miało już wątpliwości. Hanssen miał przejść na emeryturę, więc śledczy musieli działać szybko. Od 1995 roku zdrajca był oddelegowany do Biura Misji Zagranicznych w Departamencie Stanu. W swoim biurze miał pełny dostęp do systemu Automated Case Support (ACS) FBI oraz systemów komputerowych Departamentu Stanu. Ustalono później, że szpieg spędzał dużo czasu na przeczesywaniu ACS w poszukiwaniu informacji.

Kierownictwo FBI zdecydowało, że Hanssen musi zostać usunięty ze swojego tymczasowego stanowiska i przeniesiony z powrotem do centrali FBI. „Chcieliśmy zdobyć wystarczające dowody, aby go skazać, a ostatecznym celem było złapanie go na gorącym uczynku" – wspomina Debra Evans Smith, ówczesna zastępczyni dyrektora Wydziału Kontrwywiadu. Agent specjalny Don Sullivan, który w tym czasie był kierownikiem oddziału w biurze terenowym FBI w Waszyngtonie, zgłosił się na ochotnika, aby zastąpić Hanssena. Kluczową rolę w operacji odegrało jednak dwóch innych pracowników Biura. W grudniu 2000 roku do agenta Richarda Garcii przyszedł jego kolega z działu zajmującego się kierunkiem rosyjskim. „Czy znasz faceta o nazwisku Robert Hanssen?" – zapytał. „Nie" – odpowiedział Garcia. „To dobrze. Bo zaraz go poznasz" – usłyszał. Richard Garcia miał się stać fałszywym przełożonym Hanssena. Eric O'Neill, 26-letni tajny agent operacyjny, spec od hakowania, miał być zaś administracyjnym asystentem Hanssena. „Było to jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu – podjęcie pracy jako tajny agent w stosunkowo młodym wieku i zmierzenie się z najbardziej szkodliwym szpiegiem w historii Stanów Zjednoczonych" – opowiadał później O'Neill w wywiadzie dla BBC.

Kolejnym krokiem był telefon ówczesnego wicedyrektora Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego, Neila Gallaghera, do Hanssena, aby poinformować go o przydziale do jego personelu na stanowisku specjalnego asystenta ds. projektu technologicznego. Gallagher powiedział również Hanssenowi, że dyrektor FBI Louis Freeh zatwierdził dwuletnie przedłużenie jego służby i awans. W styczniu 2001 roku Hanssen przeprowadził się do małego biura w kwaterze głównej FBI przy Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie, potajemnie wyposażonego w kamery i mikrofony. Jego asystent miał za zadanie informować śledczych o ruchach Hanssena. O'Neill opisał swój cel jako narcyza z ogromnym ego: „Chciał być mentorem. Chciał przekazać komuś całą swoją wiedzę". Tym łatwiej było się do Hanssena zbliżyć. O'Neill zaczął nawet towarzyszyć rodzinie Hanssena w wyjściach do kościoła. Z kolei Garcia zabierał podwładnego (którego opisywał jako „świra na punkcie broni") na strzelnicę, podczas gdy agenci przeprowadzali przeszukania, w tym jego samochodu. Pewnego dnia wywabił Hanssena z biura na strzelnicę, podczas gdy O'Neill skopiował zawartość należącego do Hanssena Palm Pilota – prekursora BlackBerry i smartfonów. Do lutego 2001 roku w operacji wzięło udział w sumie około 300 osób. Hanssen był inwigilowany 24 godziny na dobę, w pracy i w domu. Wreszcie agenci dowiedzieli się, że zamierza dokonać „martwego zrzutu" 18 lutego 2001 roku w miasteczku Vienna, na zachodnich krańcach aglomeracji waszyngtońskiej. Ekipa FBI przeniosła się do Foxstone Park, rejonu, w którym Hanssen był już wcześniej obserwowany. Mężczyzna zaparkował auto dosłownie parę ulic od swojego domu, po czym ruszył na spacer ścieżką w stronę płynącego przez park Wolftrap Creek. Pod pazuchą niósł coś zawiniętego w worek na śmieci. Pozostawił pakunek pod drewnianą kładką nad potokiem i zawrócił do auta. W tym momencie otoczyli go liczni agenci FBI. Nie wydawał się zaskoczony. Miał nawet powiedzieć: „Dlaczego tak długo?". W pobliżu „martwej skrzynki", gdzie Hanssen zostawił materiały dla Rosjan, znaleziono przesyłkę od SWR: 50 tys. dolarów w gotówce.

„Czuł się jak bóg"

Przez wszystkie lata działalności szpiegowskiej Hanssen otrzymał łącznie co najmniej 600 tys. dolarów w gotówce i diamentach. Kolejne 800 tys.

eprasa.pl a3976d4b30

dolarów miało się zgromadzić na specjalnym koncie w jednym z moskiewskich banków – ustalili amerykańscy prokuratorzy. Po aresztowaniu Hanssen zapewnił, że to właśnie pieniądze były główną motywacją dla jego działalności. Ale choć gotówki rodzina zdrajcy (Bob i Bonnie dorobili się szóstki potomstwa) na pewno potrzebowała, to jednak chyba nie jest jedyny powód, dla którego Hanssen zdecydował się współpracować z Moskwą. Hanssen podobno pałał urazą, że nie otrzymał szacunku i zadań, na które – jak uważał – zasługuje. Mając sześcioro dzieci w szkołach parafialnych lub college'ach, swoją decyzję o szpiegowaniu dla Moskwy przypisywał pieniądzom, chociaż jego powody nigdy nie zostały w pełni zrozumiane. „Wiele czynników, które motywowały lub wpływały na zdrajców w przeszłości – takich jak chciwość, ideologia, rozczarowanie karierą i uraza oraz nadużywanie narkotyków i alkoholu – nie ma zastosowania do Hanssena lub nie w pełni wyjaśnia jego zachowanie" – mówił raport inspektora generalnego Departamentu Sprawiedliwości w 2003 roku. A może rację ma „przełożony" Hanssena, agent specjalny Garcia, mówiąc: „Czuł się jak bóg i sądził, że będzie w stanie kontrolować Stany Zjednoczone i Rosję."

Zresztą Hanssen pozował na gorliwego katolika: krucyfiks na biurku, aktywność wraz z Bonnie w Opus Dei. Co ciekawe, rodzina Hanssenów uczęszczała na nabożeństwa w tej samej parafii co dyrektor FBI Louis Freeh. Bonnie miała optymistyczne usposobienie i była uważana przez kościelnych przyjaciół pary za wzorową żonę i matkę. W przeciwieństwie do niej, Bob miał opinię ponuraka. Nie był towarzyski, typowy „jajogłowy", tak często zakładający do pracy ciemne garnitury, że współpracownicy żartowali, iż wygląda jak grabarz. To była oficjalna wersja Boba. Była też ta druga strona, która byłaby szokiem dla znajomych z kościoła czy z pracy. Życie seksualne pary Hanssenów było bardziej niekonwencjonalne niż sugerowały pozory. Bob miał kilka fetyszy. Lubił na przykład filmować seks z żoną, najwyraźniej bez wiedzy Bonnie, i dzielić się nagraniami ze swoim najlepszym przyjacielem. Często odwiedzał też kluby ze striptizem.

Wspomniany Louis Freeh nazwał współpracę Hanssena z Rosjanami „najbardziej zdradzieckimi działaniami, jakie można sobie wyobrazić przeciwko państwu prawa". Ta była jedna z największych kompromitacji w historii Biura. Spowodowała zmiany w procedurach bezpieczeństwa. Po aresztowaniu Hanssen bezpieczeństwo w FBI określił jako „przestępcze zaniedbanie". Powiedział, że uzyskanie dostępu do materiałów niejawnych na oficjalnych komputerach z rutynowymi poświadczeniami bezpieczeństwa było prostą sprawą. Zdolność Hanssena do uniknięcia wykrycia była porażką całego systemu. Zdradzał za rządów czterech prezydentów USA i trzech dyrektorów FBI. Jego szwagier, który również pracował w Biurze, zgłosił podejrzenia dotyczące Hanssena do biura dekadę przed jego aresztowaniem, ale przełożony, któremu to powiedział, odrzucił jego obawy. Dlaczego przez ponad dwie dekady „Ramon Garcia" pozostawał nieuchwytny dla amerykańskiego kontrwywiadu? Po pierwsze, sam w nim pracował, więc mógł z wyprzedzeniem neutralizować potencjalne zagrożenie dekonspiracją. Po drugie, wiedział, jak skutecznie działać, bo był doświadczonym i znakomicie wyszkolonym agentem FBI, specjalistą od tropienia takich jak on. Po trzecie, nawet w Jasieniewie, siedzibie rosyjskiego wywiadu, nie wiedziano, kim jest to niesłychanie cenne źródło informacji w samym sercu amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej (intelligence community).

Aresztowanie Hanssena na krótko gwałtownie pogorszyło stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Prezydent George W. Bush polecił wydalić około 50 rosyjskich dyplomatów, a prezydent Rosji Władimir Putin w odwecie wydalił 50 amerykańskich dyplomatów. Obie strony były jednak zdeterminowane, by zakończyć sprawę na tym etapie. Hanssen przyznał się do 15 zarzutów szpiegostwa i spisku w celu uniknięcia kary śmierci i wyraził skruchę z powodu swojej zdrady. „Wstydzę się tego" – powiedział podczas przesłuchania, na którym został skazany na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego. Od 17 lipca 2002 roku Hanssen przebywał we Florence (stan Kolorado), ośrodku o zaostrzonym rygorze, uważanym za najbezpieczniejsze więzienie w systemie federalnym i wykorzystywanym w ostatnich latach do przetrzymywania skazanych terrorystów. Osadzeni są tam zazwyczaj przetrzymywani w izolatce przez 24 godziny na dobę. Nigdy nie zgodził się na wywiad rzekę, o co wielu zabiegało – m.in. jego „asystent" O'Neill, kiedy pisał książkę o tej historii. Ale i tak Hanssen stał się bohaterem wielu książek i filmów, w tym telewizyjnej produkcji „Master Spy: The Robert Hanssen Story" (główną rolę zagrał William Hurt) z 2002 roku oraz kinowego filmu „Breach" z 2007 roku, w którym szpiega zagrał Chris Cooper. Robert Philip Hanssen miał 79 lat, gdy Federalne Biuro Więziennictwa poinformowało, że znaleziono go bez oznak życia w celi. Został uznany za zmarłego po próbie reanimacji przez ratowników medycznych. W oświadczeniu nie podano przyczyny zgonu. ■

eprasa.pl a3976d4b30

Tomasz Sakiewicz

Czego boją się Niemcy

Polacy wielokrotnie są oskarżani za Odrą o to, że budują swoją politykę na antyniemieckich nastrojach. Dowodem tego ma być domaganie się reparacji za II wojnę światową i uprzedzenia do proniemieckich polityków. To całkowite odwrócenie rzeczywistości. Tolerowanie braku odszkodowań najlepiej pokazuje, że te relacje są naprawdę dobre. Wyobraźmy sobie, jakby wyglądały stosunki niemiecko-izraelskie, gdyby Berlin nie zadośćuczynił obywatelom Izraela za II wojnę światową. Rząd niemiecki pewnie miałby kłopoty nie tylko w kontaktach bilateralnych, lecz także wszędzie tam, gdzie Izrael i jego sojusznicy mają wpływy. A trochę ich mają. Tak więc to, że wszystkie rządy w Polsce starają się utrzymywać w tej sytuacji dobre kontakty z Niemcami, jest raczej dowodem naszego przesadnie dobrego serca. To samo dotyczy proniemieckich polityków nad Wisłą. Fakt zauważenia ich istnienia przez obserwatorów sceny politycznej nie jest niczym nadzwyczajnym i nawet nie wymaga przesadnej bystrości. Krytyka tego czy innego kierunku działania, nawet gdyby nasze stosunki były równoprawne, to też nie obsesja, a norma w demokracji. Tymczasem stosunki równoprawne nie są i Niemcy nawet nie potrafią udawać, że jest inaczej. Zachowania ich lobby w Polsce są tak bezczelne i jednocześnie szkodliwe, że może to kiedyś narazić ich na realne problemy. Widać Berlin ma kłopot z subtelniejszym uprawianiem polityki.

Pytanie o uprzedzenia należy jednak postawić. Z tym że odwróciłbym kierunek zainteresowania. Na ile w polityce niemieckiej istnieją uprzedzenia wobec Polaków?

Mam wrażenie, że jest tu sporo na rzeczy. Budowanie – jako jedynej koncepcji politycznej wobec Polski – naszej pozycji jako „junior partnera" jest strategicznym błędem Berlina. Doraźnie się opłaca, ale skazuje polską politykę na sojusze, które są co najmniej konkurencją wobec zachodniego sąsiada. A przewagi bywają przemijające. To prawda, że Niemcy to największa gospodarka Europy. Dzisiaj są najwięksi przede wszystkim dlatego, że są najludniejsi. Różnica potencjałów na przykład wobec Polski się zmniejsza. Sojusz Polski z USA może tu wiele zmienić, a antyamerykańskość niemieckich elit daje przestrzeń Warszawie. Dominacja Niemiec w UE może tylko być jedynie czasowym rozwiązaniem problemu utrzymania pozycji regionalnego imperium, bo UE w pewnym momencie zamiast być – jak obecnie – lewarem Berlina, stanie się kosztownym ciężarem. Potulność różnych państw wobec polityki niemieckiej będzie miała rosnącą cenę.

BUDOWANIE – JAKO JEDYNEJ KONCEPCJI POLITYCZNEJ WOBEC POLSKI – NASZEJ POZYCJI JAKO „JUNIOR PARTNERA" JEST STRATEGICZNYM BŁĘDEM BERLINA. DORAŹNIE SIĘ OPŁACA, ALE SKAZUJE POLSKĄ POLITYKĘ NA SOJUSZE, KTÓRE SĄ CO NAJMNIEJ KONKURENCJĄ WOBEC ZACHODNIEGO SĄSIADA.

Niemiec nie stać na taką politykę, jaką obecnie uprawiają, szczególnie wobec Polski, ale to właśnie uprzedzenia powodują, że nie chcą jej zmienić. Powinni to zrobić we własnym interesie. Jednak tradycyjnie niemiecki sposób widzenia naszych stosunków kompletnie przesłania im ten horyzont. Wkrótce może być za późno na zmiany, bo świat im ucieknie, a oni zostaną w swoim postnacjonalistycznym grajdołku, w którym będzie coraz mniej chętnych na słuchanie ich i przyjmowanie połajań. ■

eprasa.pl a3976d4b30

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl a3976d4b30